

CHARLES BUKOWSKI

HOLLYWOOD



Dla Barbet Schroeder

W parę dni później miałem telefon od Pinchota. Chciałby ruszyć ze scenariuszem. Może byśmy wpadli do niego.

Wytłumaczył nam co i jak, więc wsiedliśmy w garbusa i podskoczyli w stronę Marina del Rey. Jakbym się znalazł na nieznanym lądzie.

Jechaliśmy koło przystani, mijając łodzie, w większości żagłówki. Na pokładach objęli się ludzie wystrojeni w żeglarskie ciuchy, czapki, daszki przeciwsłoneczne. Wyglądali, jakby jakimś cudem nie dotyczył ich trud codziennego życia. Wyglądali, jakby ich nigdy nie dopadł ani nie miał dopaść kołowrót. Cóż - przywileje Wybrańców w krainie wolnych ludzi. Na mój gust zresztą wyglądali dość głupio. Oni o moim istnieniu naturalnie nie mieli nawet pojęcia.

Od doków odbiliśmy w prawo. Mijaliśmy teraz uliczki o wymyślnych nazwach ułożonych alfabetycznie. Znaleźliśmy naszą uliczkę, skręciliśmy w prawo, znaleźliśmy numer, wjechaliśmy na podjazd. Pod nogami mieliśmy piach, przed oczami, w bezpiecznej odległości, ocean. Piasek wydawał się czystszy niż znane mi piaski, woda błękitniejsza, a wietrzyk bardziej łagodny.

- Zobacz - powiedziałem do Sary. - Wylądowaliśmy na przyczółku śmierci. Moja dusza puszcza pawia.

- Kiedy wreszcie przestaniesz się cackać ze swoją duszą? - usłyszałem w odpowiedzi.

Nie musiałem zamykać garbusa. Ja jeden potrafiłem go uruchomić.

Stanęliśmy na progu. Zastukałem.

Otworzył wysoki, szczupły delikacik, z gatunku tych, co to rozsiewają wokół siebie woń *sztuki*. Widać było na kilometr, że przyszedł na świat Tworzyć, Tworzyć wiekopomne dzieła, nie nękany przez przyziemne troski, jak ból zęba, pieskie szczęście czy brak wiary we własne siły. Miał wygląd geniusza. Ja sam wyglądam jak pomywacz w knajpie i tego rodzaju typki zawsze mnie lekko wkurwiają.

- Przyjechaliśmy po brudną bieliznę do prania powiedziałem.

- Nie zwracaj na niego uwagi - pośpiesznie włączyła się Sara. - Jesteśmy zaproszeni przez Pinchota.

- Eu - odpowiedział. - Wejdźcie, *bardzo* proszę...

Poszliśmy śladem jego zajęcej mordki. Nagle przystanął z wdziękiem, jakby wyrosła przed nim niewidzialna krawędź.

- Należę sobie teraz WOD - KI - rzucił przez lewe ramię, jakby cały świat z zapartym tchem słuchał jego subtelnej deklaracji.

Zniknął w kuchni.

- To Paul Renoir, Jon wspomniał o nim któregoś wieczoru - powiedziała Sara. - Pisze opery. Robi też w gatunku zwanym Kino - Operą. Ścisła awangarda.

- Niech sobie będzie kim chce, ale nie życzę sobie, żeby mi ćwiakał nad uchem.

- Każdego skreślasz od razu. Nie wszyscy mogą być tacy jak ty.

- Wiem, ale to ich problem.

- Twój lęk przed światem - stwierdziła Sara - to główne źródło twojej siły.

- Szkoda, że nie ja to wymyśliłem.

Paul wrócił z apetycznym drinkiem. W środku pływał kawałeczek limony, Paul mieszał całość szklaną pałeczką. Ekstraklasa.

- Paul - zagadnąłem - znajdzie się tam coś do picia?

- Eu, przepraszam - odpowiedział. - *Bardzo* proszę, obsłużcie się.

Depcząc Sarze po piętach, wparowałem do kuchni. Wszędzie stały butelki. Czekaając na decyzję, otwarłem puszkę z piwem.

- Darujmy sobie lepiej mocniejsze trunki - zaproponowała moja dobra pani. - Wiesz, co się z tobą potem dzieje.

- Racja. Strzelmy sobie po winku.

Znalazłem korkociąg i wybrałem zachęcającą butelkę czerwonego wina.

Strzeliliśmy po jednym, dolaliśmy do pełna i wyszliśmy na pokoje.

Był czas, kiedy lubiłem porównywać nas z Sarą do Zeldy i Scotta. Sarę to denerwowało. Nie podobało jej się, jak skończyła Zeldę. Mnie z kolei nie podobało się to, co wypisywał Scott. Dowcip przestał nas bawić.

Paul Renoir stał przy wielkim oknie, w skupieniu wpatrując się w Pacyfik.

- Jon się spóźnia - zwrócił się do okna, i do oceanu. - Mam wam przekazać, że niedługo przyjdzie. Prosił, żebyście zaczekali.

- W porządku, stary.

Usiedliśmy z Sarą przy winku, z widokiem na zajęczy pyszczyk. On z kolei miał widok na Pacyfik. Popadł w zadumę.

- Chinaski - odezwał się - czytałem sporo twoich rzeczy. Są kurewsko dobre. Trzeba ci przyznać, że jesteś niezły...

- Dziękuję. Obaj jednak wiemy, kto jest lepszy. Ty jesteś lepszy.

- Eu - skwitował, nie odwracając twarzy od oceanu - jest mi niezmiernie miło, że to... dostrzegasz.

Otarły się drzwi. Bez stukania wkroczyła młoda dziewczyna z długimi czarnymi

włosami. Zanim zdążyliśmy się obejrzeć, leżała już na oparciu sofy, wyciągnięta na całą długości jak kot.

- Nazywam się Popppy - oświadczyła. - Przez 4 p.
- Ja jestem Scott, a to jest Zelda - odbiło mi znowu.
- Przestań pieprzyć - zezłościła się Sara.

Podaliśmy nasze prawdziwe imiona.

Paul oderwał wzrok od oceanu.

- Popppy należy do grona sponsorów twojego scenariusza.
- Jeszcze słowa nie napisałem.
- Ale napiszesz...

- Czy byłabyś tak dobra? - Z wymownym spojrzeniem podałem Sarze pusty kieliszek.

Sara to kochana dziewczyna. Wzięła kieliszek i wyszła do kuchni. Wiedziała, że gdybym poszedł sam, wetknąłbym nos do każdej butelki, po czym niechybnie bym narozrabiał.

Dopiero później dowiedziałem się, że Popppy miała również ksywę „Księżniczka z Brazylii” i na rozruch wrzuciła dziesięć tysięcy dolarów. Nie było to zbyt wiele, ale w sam raz, żeby opłacić czynsz i od czasu do czasu zafundować sobie drinka.

Księżniczka zaszczyciła mnie spojrzeniem z kociego legowiska na oparciu kanapy.

- Czytałam pańskie rzeczy. Jest pan bardzo dowcipny.
- Dziękuję. - Popatrzyłem, na Paula. - Słyszałeś, stary, co ona mówi? Jestem dowcipny.
- Z pewnością - powiedział - należy ci się *jakiś* miejsce...

Na widok Sary wracającej z pełnymi kieliszkami zerwał się i popędził do kuchni. Sara usiadła koło mnie. Golnałem jednego.

Właściwie, przyszło mi do głowy, mógłbym udawać, że pisze scenariusz i miesiącami kręcić się po Marina del Rey, popijając drinka za drinkiem. Zanim zdążyłem na dobre rozsmakować się w tym pomysle, trzasnęły drzwi i w progu stanął Jon Pinchot.

- O, jesteście!
- Eu - odparłem.
- Chyba znalazłem sponsora! Nic, tylko sięść i pisać!
- To może potrwać kilka miesięcy.
- Ależ naturalnie...

Wrócił Paul, niosąc dla Księżniczki kieliszek czegoś dziwnie różowego.

Pinchot popędził do kuchni po drinka dla siebie.

Było to pierwsze z wielu spotkań, które, przynajmniej dla mnie, kończyły się ciężką popijawą. Uznałem tę sytuację za niezbędny bodziec do pracy, bo naprawdę interesowały mnie jedynie poezja i opowiadania. Pisanie scenariuszy uważałem za skończony idiotyzm. Niemniej lepsi ode mnie dawali się wpuścić w ten żaloszny proceder.

Jon Pinchot wrócił z drinkiem i usiadł.

To miał być długi wieczór. Gadaliśmy bez końca, nie bardzo wiem o czym. Ostatecznie wypiliśmy z Sarą tyle, że nie byliśmy w stanie wracać samochodem. Uprzejmie zaoferowano nam sypialnię.

W tej właśnie sypialni, w ciemnościach, kiedy na dobranoc nalewaliśmy sobie porządnego czerwonego wina, Sara spytała mnie, czy napiszę scenariusz.

- Ani mi się śni - odpowiedziałem.

2

Po 3 czy 4 dniach Jon Pinchot odezwał się znowu. Jego znajomy, Danny Server, młody reżyser i producent, miał w Venice całe studio filmowe. Danny obiecał udostępnić salę projekcyjną, żebyśmy mogli obejrzeć dokument Pinchota *Śmiech Bestii*, o czarnym kacyku, który dogadzał swoim krwawym zachciankom. Najpierw jednak mieliśmy wypić parę kieliszków u Pinchota. W ten sposób kolejny raz wyładowaliśmy na Sailboat Lane...

Otworzył Jon. Weszliśmy z Sarą do środka. Jon nie był sarn. Stał przy nim jakiś facet. Miał zadziwiającą czuprynę - sprawiała jednocześnie wrażenie siwej i blond. Twarz różową, a właściwie czerwonawą, niesamowite, okrągłe niebieskie oczka, bardzo okrągłe i bardzo niebieskie. Wyglądał jak uczeń, który szykuje tęgiego psikusa. Z czasem przekonałem się, że zawsze miał taką minę. Wzbudzał sympatię od pierwszego wejrzenia.

François Racine - przedstawił go Jon. - Grywał w wielu filmach, moich i cudzych.

- W cudzych mi *placono*... - Ukłonił się. - Jak się macie?

Jon wyszedł po drinki.

- Przepraszam was na chwilę - powiedział François. - Zaraz skończę.

Na stole stała mała elektryczna ruletka. Kręciła się za przyciśnięciem guzika. Obok leżał stos żetonów i długi arkusz papieru z obliczeniami. Była też tabela zakładów. François ułożył żetony i nacisnął guzik.

- Moja Pani z Wirującą Głową. Kocham ją - wyznał.

Wyłonił się Jon z drinkami.

- Kiedy François nie gra, to ćwiczy, a przynajmniej myśli o ruletce.

Koło zatrzymało się. François zgarnął wygraną.

- Udało mi się rozgryźć permutacje koła - odezwał się François. Wygrywam, bo

zawsze przewidzę, gdzie się zatrzyma.

- Jego system się sprawdza - dorzucił Jon - tylko że czasem po wejściu do kasyna lubi się przerzucić na inny system.

- Często padam ofiarą Chęci Samounicestwienia - wyjaśnił François.

- Hank też lubi hazard - powiedziała Sara. - Gra na wyścigach. Nie opuszcza ani jednej gonitwy.

- A, konie! - François przyjrzał mi się. - Wygrywasz?

- Tak mi się przynajmniej wydaje...

- Musimy się kiedyś wybrać razem!

- Jasne.

François z powrotem zajął się swoim kółkiem, a my siedliśmy popijając.

- Wygrał i przegrał setki tysięcy - poinformował Jon. - Zgadza się występować, tylko kiedy jest splukany do suchej nitki.

- Bardzo rozsądnie pochwaliłem.

- A propos wtrącił Jon - rozmawiałem z producentem Haroldem Pheasantem. Zainteresował się scenariuszem. Gotów zainwestować w film.

- Harold Pheasant! ucieszyła się Sara. - Słyszałam o nim. Jeden z najpoważniejszych producentów w branży.

- Zgadza się - potwierdził Jon.

- Przecież nie *napisałem* jeszcze żadnego scenariusza zaoponowałem.

- Nieważne. Pheasant wie, że piszesz. Jest zdecydowany.

- To chyba niezbyt uczciwe.

- Zawsze działa w ten sposób i zawsze wychodzi na swoje.

Jon poszedł po butelkę.

- Może jednak powinieneś napisać jakiś scenariusz - podsunęła Sara.

- Przypomnij sobie tylko, jak pisanie scenariusza posłużyło F. Scottowi Fitzgeraldowi.

- Nie jesteś Fitzgeraldem.

- Nie, bo on przestał pić. To go zabiło.

François dalej sterczał przy miniaturowej ruletce. Jon wrócił z butelką.

- Jeszcze po jednym i będziemy musieli lecieć.

- O.K.

- François, zabierzesz się z nami? - spytał Jon.

- Bardzo żałuję, ale mam jeszcze pewien problem do przestudiowania.

Sala projekcyjna okazała się bardzo przyjemnym miejscem. Z jednej strony wychodziła na spory barek, w którym królował barman. W samej sali królował operator. Danny Server się nie pokazał.

Przy barze siedziało z 7, 8 osób. Przerzuciłem się na wódkę 7's. Sara piła coś fioletowego czy też zielonego, a może zielono - fioletowego. Jon wyszedł zakładać taśmę z operatorem.

Przy końcu baru siedział jakiś gość; gapił się na mnie bez ustanku.

W końcu popatrzyłem na niego.

- Dobra, czym się zajmujesz? - spytałem.

Chwilę pomilczał, napił się i znowu wpatrzył się we mnie.

- Cholernie wstydzę się przyznać, ale... robię filmy.

Gość okazał się Wennerem Zergogiem, znanym niemieckim reżyserem. Miał trochę, jak to mówią, pojebane w głowie, przy każdej okazji lubił narażać życie własne i cudze.

- Powinieneś sobie znaleźć jakieś uczciwe zajęcie - poradziłem mu.

- Wiem - przyznał - ale nie umiem robić nic innego.

Akurat wrócił Jon.

- Chodźcie, zaraz się zacznie...

Oboje z Sarą poszliśmy za nim do sali projekcyjnej. Parę osób też wstało od baru, między innymi Wenner ze swoją towarzyszką.

- Ten facet w barze to Wenner Zergog - oświadczył Jon, kiedy usiedliśmy. - W zeszłym tygodniu pojedynkowali się z żoną na pistolety. Wystrzelali się do ostatniego naboju, ale nie udało im się ani razu trafić...

- Mam nadzieję, że jego filmy są celniejsze...

- Absolutnie.

Światła pogasły. Na ekranie ukazał się tytuł: *Śmiech bestii*.

Jak chodzi o wzrost i ambicje, Lido Mamin był wielkim człowiekiem, niestety jego kraj był nędzny i mały. Flirtował zarówno z lewicą, jak i z prawicą znaczniejszych krajów, handlując z jednymi i z drugimi, żeby zdobyć pieniądze, żywność i broń. Tak naprawdę jednak Lido chciał rządzić światem. Kawał skurwysyna, miał niebywałe poczucie humoru. Wierzył, że wszelkie życie, poza jego własnym, jest pozbawione wartości. W jego państwie natychmiast mordowano każdego, na kogo padł najlżejszy cień podejrzenia. Zwłoki wrzucano do rzeki. W rzece roiło się od ludzkich ciał; spalone krokodyle nie były w stanie się z nimi uporać.

Lido Mamin uwielbiał kamerę. Zezwolił Pinchotowi na sfilmowanie posiedzenia rady państwa. Członkowie marionetkowego rządu z drzeniem wpatrywali się w Mamina, który zadawał pytania i deklarował zasady swojej polityki. Z twarzy nie schodził mu uśmiech, odsłaniający żółte popsute zęby. Chwile wolne od zabijania i wydawania wyroków śmierci upływały mu na pieprzeniu. Miał najmniej tuzin żon i więcej dzieci, niż mógł spamiętać.

Co jakiś czas w trakcie posiedzenia Mamin przestawał się uśmiechać. Jego twarz stawała się ucieleśnieniem Woli Najwyższego, W takich chwilach był zdolny do wszystkiego. Zdawał sobie sprawę z postrachu, jaki siał w swojej ekipie, płał w nim i wiedział, jak go wykorzystać.

Posiedzenie dobiegło korku. Tym razem obyło się bez trupów.

Potem Mamin zwołał posiedzenie wszystkich lekarzy swojego kraju. Zgromadził ich w sali operacyjnej największego szpitala.

Doktorzy siedzieli kręgiem na podwyższeniu, patrząc z góry na Mamina, który przemawiał do nich z dołu.

- Jesteście lekarzami a zarazem nikim, dopóki wam nie powiem, że jesteście kimś. Wydaje się wam, że umiecie to i owo. Mylicie się. Macie tylko specjalistyczne wykształcenie, które ma służyć waszemu krajowi, a nie wam samym. Żyjemy w świecie, w którym rację przyznaje się zwycięzcom. To ja decyduję, jaki użytek zrobicie z waszego życia i z waszych lancetów. Miejcie dosyć rozumu, żeby nie sprzeciwiać się moim życzeniom. Szkoda byłoby, gdyby wasze wykształcenie i umiejętności miały pójść na marne. Nie wolno wam nigdy zapomnieć, że wiecie tylko to, czego was nauczono. Ja wiem *więcej*. Macie zawsze robić, co wam każę, chciałbym, żeby to było JASNE. Zrozumiano?

Cisza.

- A może - podjął Mamin - ktoś z obecnych jest odmiennego zdania?

Znowu cisza.

Mamin był kukłą, monstrualną kukłą. Jego styl, groźny i rubaszny, mógłby się spodobać każdemu, kto nie wiedział o morderstwach i torturach, których był sprawcą.

Następnie, na użytek filmu, Mamin dokonał przeglądu Wojsk Lotniczych. Nie miał przy tym w ogóle żadnych Wojsk Lotniczych. Jeszcze nie miał. Miał za to lotników i mundury.

- Oto - oznajmił - nasze Wojska Lotnicze.

Pojawił się pierwszy lotnik. Z wielką gracją przebiegł po ułożonym z desek pasie startowym. W miejscu, w którym pas się urywał, wykonał podskok w górę, trzepocąc rękami.

Na pasie pojawił się kolejny lotnik. Znów to samo.

Jeszcze jeden.

I jeden.

Było ich z 14 czy 15. Podskakiwali z krótkim okrzykiem, a na ich twarzach malowała się ekstaza i kpina. Jak się bliżej przyjrzeć, było w tym coś niesamowitego: każdy z nich wyśmiewał się z całego przedstawienia, a jednocześnie każdy z nich głęboko *wierzył*.

Kiedy ostatni lotnik wylądował, Mamin zwrócił się do kamery:

- Choć pokaz mógł się państwu wydać komiczny, posiada głębsze znaczenie. Na to, czego jeszcze nie mamy w rzeczywistości, jesteśmy już duchowo przygotowani. Nadejdzie dzień, kiedy doczekamy własnych Wojsk Lotniczych. Do tego czasu nie zamierzamy beczynnie tkwić w mrokach zwątpienia. Dziękuję państwu.

Potem następowało kilka, przebitek na cele tortur. Żadnych ludzi. 'Tylko nieczystości. Łańcuchy. Krew na ścianach.

- Tutaj - oznajmił Mamin - zdrajcy i oszuści przyznają się do winy.

W końcowej scenie Mamin ze świtą goryli, z wszystkimi żonami i wszystkimi dziećmi, stoi w wielkim ogrodzie. Dzieci nie uśmiechają się ani nie dokazują. Podobnie jak ochroniarze w milczeniu patrzą w obiektyw. Wszystkie żony uśmiechają się, niektóre trzymają na rękach niemowlęta. Lido Mamin uśmiecha się, szczerząc wielkie żółte zęby. Wzbudza sympatię, może wręcz miłość.

Ostatnie ujęcie przedstawiało rzekę, w której roi się od tłustych krokodyli. Krokodyle unoszą się na wodzie, opasłe i apatyczne, leniwie odprowadzając wzrokiem przepływające ciała. Koniec.

Z całą przyjemnością mogłem powiedzieć Pinchotowi, że uważam dokument za fascynujący.

- Zgadza się - odparł. - Lubię dziwnych ludzi. Dlatego właśnie zgłosiłem się do ciebie.

- Być stawianym na równi z Lido Maminem to dla mnie prawdziwy zaszczyt - powiedziałem.

- To prawda - zgodził się i z powrotem zawiózł nas do siebie.

4

Po powrocie zastaliśmy François Racine'a pochylonego nad miniaturową ruletką. Widać było, że wypił sporo wina. Twarz miał zaczerwienioną, piętrzył się przed nim okazały stos żetonów, Z cygara François zwiślał wielki kawał popiołu, który w końcu ukruszył się na stół.

- Wygrałem milion czterysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów... Kuleczka zatrzymała się na numerze. François zgarnął żetony.

- Dosyć... Nie powinienem być taki zachłanny.

Weszliśmy do frontowego pokoju. Usiedliśmy. Jon poszedł po wino i kieliszki.

- Co zrobisz z wygraną? - spytała Sara.

- Rozdam. Nie potrzebuję forsy. Życie nie ma wartości. Pieniądz nie ma wartości.

- Pieniądze są jak seks - powiedziałem. - Kiedy ich w ogóle nic masz, wydają się szalenie ważne...

- Mówisz jak pisarz - stwierdził François.

Wrócił Jon. Otworzył pierwszą butelkę. Nalał wszystkim po kieliszku.

- Przyjedź koniecznie do Paryża - powiedział. - Bardzo cię tam cenią. Tymczasem we własnym kraju uchodzisz za wyrzutka.

- Czy mają tam tor wyścigowy?

- Jak najbardziej! - potwierdził François.

- Nie cierpi podróżować - ostrzegła Sara. - Tutaj też są tory wyścigowe.

- Nie ma to jak Paryż - wychwalał François. - Przyjedź do Paryża. Razem wybierzemy się na wyścigi.

- Muszę napisać ten cholerny scenariusz.

- Pogramy na wyścigach, potem napiszemy scenariusz.

- Muszę to przemyśleć.

Jon zapalił cygaro. François też wyciągnął kolejne cygaro. Cygara były długie i pękate, skwierczały rozżarzonymi końcami.

- Boże, zmiłuj się nade mną - westchnęła Sara.

- Którejś nocy wyskoczyliśmy z François do Vegas.

- Jak wam poszło? - spytała Sara.

François upił haust wina, zaciągnął się cygarem i wypuścił z płuc ogromny, bajkowy pióropusz dymu.

- No więc uważajcie, uważajcie tylko. Mam pięć tysięcy dolarów do przodu, jestem panem całego świata, trzymam Przeznaczenie jak zapalniczkę w dłoni. Wiem Wszystko. Jestem Wszystkim. Nic nie jest w stanie mnie zatrzymać. Kontynenty drżą w posadach. Nagle Jon klepie mnie po ramieniu. „Chodźmy zobaczyć Taba Jonesa”. „Co to za jeden?” - pytam. „Nieważne - mówi. - Chodźmy go zobaczyć.”

François osuszył kieliszek do dna. Jon dolał wina.

- No więc idziemy do sąsiedniej sali i tam jest ten Tab Jones. Śpiewa. Przez nie

dopiętą koszulę wystają mu czarne kudły na piersi, całe mokre od potu. Spomiędzy zapoconych kudłów połyskuje wielki srebrny krzyż. Zamiast ust ma upiorny, wycięty w naleśniku otwór. Obcisłe gacie z przyprawionym sztucznym fiutem. Chwyta jaja w garść i śpiewa o tym, jak potrafi dogodzić hubom, Śpiewu okropnie, w ogóle jest *koszmarny*. Cały czas opowiada, co by to niby robił z kobietami, kiedy w rzeczywistości marzy o tym, żeby wsadzić jęzor w dupę drugiemu facetowi. Można się zrzygać od samego słuchania. W dodatku musieliśmy za to nieźle wybulić. Trzeba być *skończonym* idiotą, żeby płacić za taki koszmar. Co to w ogóle za jeden, ten Tab Jones? Płacą gościowi grube tysiące za to, że łapie się za sztucznego fiuta i puszcza bliki swoim srebrnym krzyżem. Porządni ludzie mrą na ulicach z głodu, a tutaj ten BĘCWAŁ jest przedmiotem... UWIELBIENIA! Kobietki *piszczą*, są *przekonane*, że ten tekturowy *pajac*, który obsysa gówna w snach, jest *prawdziwy*. „Jon - - - mówię - proszę cię, chodźmy stąd, zanim mi mózg wypłynie. Czuję się znieważony, zaraz puszczę pawia na własne spodnie!” „Zaczekaj - on na to. - Może się poprawi.” Nie tylko że się nie poprawia, ale robi się coraz gorszy. Śpiewa jeszcze głośniej, koszula rozchyła mu się po sam pępek. Kobietka, która siedzi obok mnie, zaczyna jęczeć i wkłada rękę do majtek. „Proszę pani pytam czy pani coś zgubiła?” Pępek jest obleśny. Wygląda jak oko nieboszczyka. Nawet ptak brzydziłby się do niego nasrać. Teraz Tab Jones obraca się i pokazuje nam swój tyłek. Tyłków mogę się naogładać, ile tylko zechcę, co zresztą nieczęsto mi się zdarza a tu nagle mam DOKŁADAĆ do tego, żeby patrzeć na wstrętne rozlazłe, tłuste dupsko! W życiu przeżyłem niejedno. Zdarzyło mi się oberwać od policji za nic. No, powiedzmy, za nic. Ale patrząc na te kretyńskie pośladki, czułem się gorzej niż wtedy, kiedy gliniarze pałowali mnie za niewinność. „Jon - powiedziałem jeśli stąd nie wyjdziemy, skonam”.

- No to poszliśmy stamtąd. Chciałem po prostu zobaczyć Taba Jonesa - uśmiechnął się Jon.

François był naprawdę wściekły. Piana wykwitła mu w kącikach ust. Koniec cygara zgasł.

- Tab Jones! CÓŻ TO ZA JEDEN, TEN TAB JONES? Co mnie obchodzi jakiś Tab Jones? Tab Jones to skończony debil! Pięć tysięcy dolarów do przodu i co w związku z tym robimy? Idziemy obejrzyć Taba Jonesa! Co to za jeden, ten Tab Jones? Nie znam nikogo nazwiskiem Tab Jones! Mój brat nie nazywa się Tab Jones! Moja, matka też nie nazywa się Tab Jones! Tab Jones to skończony debil!

- No więc - powiedział Jon - wróciliśmy do stolika.

- Tak - ciągnął François byłem do przodu o pięć tysięcy i miałem za sobą występ tego

złamasa! Całą moją koncentrację diabli wzięli! Cóż to za jeden, ten Tab Jones? Lepszych od niego widywałem, juk zbierali ptasie guano. Gdzie ja jestem? Ruletka obraca się, jakbym jej w życiu na oczy nie widział. Rozumiem tyle, co noworodek wrzucony w beczkę tarantuli! Liczby nic mi nie mówią! Kolory nic mi nie mówią! Biała kuleczka skacze i trafia mnie prosto w serce, wierząc w nim dziurę od środka! Nie mam szans. Moją koncentrację diabli wzięli! Sztuczne fiuty paradują przy oklaskach kretynów! Miesza mi się w głowie! Wyrывam się z całą furą żetonów! Mam wypisane na czole, że jestem skończonym durniem. Co to za jeden, ten Tab Jones? Przegrywam. Nie wiem, gdzie jestem. Jak raz stracisz koncentrację i zaczynasz lecieć w dół, to koniec. Wiedziałem, że jestem bez szans, ale grałem do ostatniego żetonu. Wszystko robiłem na opak, jakby najgorszy wróg zawładnął moją duszą i ciałem. Byłem skończony. Dlaczego? DLATEGO, ŻE KONIECZNIE MUSIELIŚMY ZOBACZYĆ TABA JONESA? KIM JEST TEN PIERDOLONY TAB JONES, ja się pytam!

François umilkł, wyczerpany. Cygaro wypadło mu z ust. Sara podniosła je i włożyła do popielniczki. François natychmiast wyjął z kieszonki koszuli nowe. Zsunął srebrzystą banderolę, oblizał koniec i przyciął, wreszcie ugniół cygaro i włożył je do ust. Zebrał się w sobie i podpalił z fasonem. Sięgnął po butelkę, nalał każdemu po jednym, siadł prosto, uśmiechnął się.

- Pewnie bym, cholera, i tak wszystko stracił. Hazardzista, który nie umie znaleźć dla siebie usprawiedliwienia, przestaje być hazardzistą.

- Mówisz jak pisarz - powiedziałem.

- Gdybym jeszcze umiał pisać jak pisarz, napisałbym za ciebie ten scenariusz.

- Dziękuję.

- Ile ci płaci? - Wykonałem w powietrzu nieokreślony gest, który miał zastąpić odpowiedź.

- Napiszę za ciebie i weźmiemy pół na pół, dobra?

- Dobra.

- Nic z tego - oświadczył Jon - od razu poznam różnicę.

- W porządku - zgodził się François - niech wobec tego całość napisze Tab Jones swoim sztucznym fiutem.

Pomysł przypadł nam do gustu. Wznieśliśmy zbiorowy toast. Zaczynała się dobra noc.

5

Siedziałem oparty o bar u Musso. Sara wyszła do damskiej toalety. U Musso lubiłem sam bar jako bar, natomiast nie lubiłem sali, w której się znajdował. Mówiło się o niej:

„Nowa Sala”. Osobiście wolałem jadać w „Starej Sali” po drugiej stronie, gdzie było ciemniej i ciszej. Za dawnych czasów robiłem tak, że siadałem w Starej Sali i udawałem, że będę jeść. Cały czas studiowałem menu, mówiłem: „Jeszcze nie” i zamawiałem kolejne drinki. Panie, które ciągałem ze sobą, nie zawsze cieszyły się najlepszą reputacją. W trakcie popijawy dochodziło niekiedy do głośnych awantur, połączonych z rzucaniem szkłem i obelgami przeplatanyymi żądaniem kolejnych drinków. Zwykle dawałem moim paniom na taksówkę i kazałem im zabierać się w diabły, po czym wracałem pić samotnie. Wątpię, czy którakolwiek z tych kobiet pieniędzy na taksówkę użyła na taksówkę. U Musso jedno było naprawdę fajne - kiedy po takiej chryi wracałem do stolika, zawsze witano mnie ciepłymi uśmiechami. Dziwne, nie?

Wracając do rzeczy. Siedziałem oparty o bar. Nowa Sala była pełna po brzegi, głównie z powodu turystów. Paplali, rozglądali się na boki i wydzielali częstotliwości, od których wszystko wokół wędło. Ktoś położył mi rękę na ramieniu.

- Co u ciebie, Chinaski?

Obejrzałem się za siebie. Miałem straszne kłopoty z zapamiętywaniem ludzi. Mogłem spędzić z tobą wieczór i nie poznać cię nazajutrz rano. Własnej matki bym nie poznał, gdyby wyszła z grobu.

- W porządku - odpowiedziałem. - Postawić ci drinka?

- Dziękuję, nie. Nie znamy się jeszcze. Jestem Harold Pheasant.

- Naprawdę? Jon napomknął mi, że pan...

- Zgadza się, zamierzam sfinansować pański scenariusz. Czytałem pańskie utwory. Ma pan niezwykle wycucie dialogu. Czyniłem pańskie utwory: *szalenie* filmatyczne!

- Na pewno nie chce pan drinka?

- Nie. Muszę wracać do stolika.

- Rozumiem. Czym się pan aktualnie zajmuje, Pheasant?

- Skończyliśmy realizację filmu o życiu Macka Derouaca.

- Naprawdę? Jak się będzie nazywał?

- *Pieśń serca*.

Pociągnąłem z kieliszka.

- Zaraz, zaraz... chwileczkę... Pan chyba *zartuje!* Nie nazwie pan przecież filmu *Pieśń serca!*

- Właśnie taki będzie miał tytuł.

Uśmiechnął się.

- Robi mnie pan w konia, Pheasant. Rany boskie, *Pieśń serca!* To dopiero numer!

- Nie - zaprzeczył. - Mówię poważnie.

Odwrócił się gwałtownie i odszedł.

Na to właśnie wróciła Sara.

- Z czego się śmiejesz? - Popatrzyła na mnie.

- Najpierw zamówię ci drinka, potem ci powiem.

Zawołałem barmana i sobie też kazałem przynieść jednego.

- Zgadnij, kogo widziałam w Starej Sali? - spytała.

- Kogo?

- Jonathana Wintersa.

- Coś takiego. Zgadnij, z kim rozmawiałem, kiedy ciebie nie było.

- Z jedną z twoich dawnych kurew.

- Gorzej.

- Co może być gorszego?

- Rozmawiałem z Haroldem Pheasantem.

- Producentem?

- Tak, siedzi przy stoliku w rogu.

- Aha, *widzę* go.

- Proszę, nie *patrz się*, tam. Nie rób żadnych gestów. Pij jak gdyby nic.

- Co ci jest, u diabła?

- Widzisz, on chce nakręcić scenariusz, którego ja nie napisałem.

- Wiem.

- Jak cię nie było, przyszedł ze mną porozmawiać.

- Mówiłeś już.

- Nie chciał nawet drinka.

- Dlatego musiałeś wszystko spieprzyć i sam nie jesteś nawet pijany.

- Zaczekaj. On chciał rozmawiać o filmie, który właśnie skończył.

- No to w jaki sposób wszystko spieprzyłeś?

- Niczego nie spieprzyłem. To *on* wszystko spieprzył.

- Akurat, Mów, jak było.

Popatrzyłem w lustro. Podobam się sobie, ale nie w lustrze. Wcale tak nie wyglądam.

Dopiłem drinka.

- Dopij drinka rozkazałem.

Dopiła.

- Mów, jak było.
 - Drugi raz mówisz: mów, jak było.
 - Masz nadzwyczajną pamięć, chociaż nie jesteś nawet pijany.
Skinąłem znowu na barmana.
 - No więc Pheasant tu przylazł i opowiadał o filmie, który właśnie zrobił. O pisarzu, co nie umiał pisać, ale zdobył sławę, bo wyglądał jak kowboj z rodeo.
 - Który to?
 - Mack Derouac.
 - I to cię tak wkurzyło?
 - Nie, nie to. Wszystko było dobrze, dopóki nie zdradził mi tytułu filmu.
 - Mianowicie?
 - Zlituj się, właśnie próbuję wymazać ten tytuł z pamięci. Jest wręcz kretyński.
 - Ale powiedz...
 - No dobra...
- Ciągle miałem przed sobą to lustro.
- Powiedz, powiedz, powiedz...
 - No dobra. *Kudłaty Rój*.
 - Podoba mi się.
 - A mi wcale. Powiedziałem mu to i się zmył. Straciliśmy jedyne go sponsor.
 - Powinieneś podejść i go przeprosić.
 - Mowy nie ma. Co za koszmarny tytuł!
 - Po prostu chciałbyś, żeby jego film był o *tobie*.
 - *Świetny pomysł!* Napiszę scenariusz o sobie!
 - Masz już tytuł?
 - Ta - ak: *Kudłaty Ryj*.
 - Chodźmy stąd.
- Tak też zrobiliśmy.

6

Z Pinchotem byliśmy umówieni w hallu Beverly Hills Cheshire o 2 po południu, znakiem czego miał mi przepaść dzień na torze wyścigowym. Byłem trochę zły, ale Jon się uparł. Miał tam być pewien facet, który posiadał umiejętność zdobywania funduszy na produkcję filmów. Ten gość, niejaki Jean - Paul Sanrah, podobno nie miał żadnej własnej forsy, a mimo to zawsze potrafił ja skołować. Mówiono o nim, że gdyby obtargał laskę pomnikowi w parku, z genitaliów poleciałyby pieniądze. Bardzo dobrze. Apartament 530.

Prawdę mówiąc, miałem ochotę dać nogę.

W apartamencie 530 mieliśmy też zastać Jon - Luc Modarda, francuskiego reżysera filmowego. Moje utwory, twierdził Pinchot, szalenie podobają się Modardowi. Bardzo dobrze.

Droga Sara towarzyszyła mi na wypadek, gdybym nie mógł potem trafić do domu. Dodatkowo podejrzewała, że w apartamencie 530 może się roić od błyskających obnażonymi pępkami starletek.

Dotarliśmy na miejsce. Jon siedział w hallu, w wielkim skórzanym fotelu, wypatrując szaleńców i świrów. Na nasz widok wstał, wypinając pierś, Jon to kawał chłopca, ale lubi się wydawać jeszcze większy.

Wymieniliśmy słowa powitania i poszliśmy za Pinchotem do windy.

- Jak ci idzie scenariusz?
- Nabiera wstępnych kształtów.
- O czym będzie?
- O pijakach. O całej masie pijaków.

Drzwi windy rozsunęły się. W środku było bardzo przyjemnie. Wszystko obite puszystą zieloną tkaniną.

Jak się lepiej wpatrzyło w tę zielen, to wychodziło na to, że roi się tam od pawi. Pawie na ścianach i pawie na suficie.

- Klasa - pochwaliłem.
- Za dużo tego - powiedziała Sara.

Winda zatrzymała się na 5. Wysiedliśmy. Dywan leż był puszysty i zielony i również roił się od pawi. Deptaliśmy po pawiach. Wreszcie dotarliśmy do apartament u 530. Prowadziły do niego ciężkie czarne odrzwia, o wiele większe od zwyczajnych drzwi, kto wie, czy nie 2 razy większe. Wyglądały jak brama zamkowa.

Jon zastukał zieloną kołatką w kształcie głowy Balzaca.

Nic.

Zastukał głośniej.

Czekaliśmy.

Powolutku drzwi otwarły się. Otwierał je malutki człowieczek u kredowobiałej twarzy.

- Henri - Leon! - ucieszył się Jon Pinchot.

Weszliśmy. Pokój był ogromny, a wszystko w nim jakby ciut za duże, Wielkie krzesła, wielkie stoły. Długie ściany. Wysokie sufity. Mimo to nad wszystkim unosił się dziwny odór stęchlizny. Tyle przestrzeni, a czuleś się jak w grobie.

Zostaliśmy sobie wszyscy przedstawieni.

Koleś o twarzy białej jak kreda okazał się Henri - Leonem Sanrah, bratem Jean - Paula Sanrah, tego od kołowania forsy. Był też Jon - Luc Modard. Stał bardzo spokojnie. Nic nie mówił. Wyglądało, że pozuje na geniusza. Niski, śniady, robił wrażenie, jakby się niedokładnie ogolił tanią maszynką elektryczną.

- O! - ucieszył się Henri - Leon Sanrah. - Widzę, że przyprowadziłeś córkę. Słyszałem o twojej córce Reenie!

- Nie, nie sprostowałem. - To jest Sara. Moja żona.

- Alkohol jest na stole. Mnóstwo różnych win. Jedzenie też jest. Częstujcie się. Przyprowadzę Jean - Paula - powiedział Henri.

To mówiąc Henri - Leon wyszedł do drugiego pokoju po Jeana - Paula. Jednocześnie Jon - Luc Modard zrobił obrót i powędrował w róg pokoju. Zaszły się w ciemnym kącie i stamtąd gapił się na nas. Podeszliśmy do stołu...

- Otwórz czerwone - poradziłem Pinchotowi. - Od razu kilka butelek.

Pinchot złapał korkociąg i ruszył do dzieła. Na srebrnych półmiskach leżało pełno żarcia.

- Nie jedz mięsa - ostrzegła mnie Sara. - Ani ciasta: za dużo cukru.

Dobre bogi zesłały Sarę, żeby dodać mi dziesięć lat życia. Te same bogi pchały moją głowę pod nóż, po to żeby w ostatniej chwili zdjąć ją z szafotu. Dziwne jakieś to były bogi. Teraz popychały mnie do pisania scenariusza. Bynajmniej się do tego nie paliłem. Oczywiście wiedziałem, że jak już napiszę, to będzie niezłe. Nie znakomite. Ale niezłe. Miałem łatwość słowa.

Pinchot nalał nam wina. Wszyscy troje wzięliśmy kieliszki do ręki.

- E - hę powiedziała znacząco Sara.

- Francuskie - skostatował Pinchot.

- Wybaczam ci - ja na to.

Pijąc miałem widok na wnętrze drugiego pokoju. Drzwi były, jak to się mówi, otwarte na oścież. Henri - Leon usiłował wskrzesić olbrzymie cielsko spoczywające na olbrzymim łożu. Cielsko nie dawało się wskrzesić.

Zobaczyłem, że Henri - Leon sięga do miski i nabiera pełną garść kostek lodu. Dwie pełne garści. Kostkami lodu okłada policzki i czoło. Rozpina koszulę i wciera lód w pierś.

Cielsko nadal nie daje znaków życia.

Nagle siada z wrzaskiem:

- CO MI ROBISZ, SUKINSYNU? BĘDĘ SIĘ MUSIAŁ ROZMRAŻAĆ!

- Jean - Paul, Jean - Paul... masz... gości!

- GOŚCI? NA CO MI GOŚCIE? POTRZEBNI MI JAK PSU ROBAKI! IDŹ I NA WPYCHAJ IM ŻAB DO GĘBY! NASZCZAJ NA NICH! PODPAL ICH!

- Jean - Paul... Jean - Paul... byłeś umówiony z Jonem Pinchotem i jego scenarzystą...

- Dobra... kurwa... zaraz do nich wyjdę... tylko zwałę konia... Albo nie... odłożę to na później... będę miał jakiś cel w życiu...

Henri - Leon wyszedł z pokoju i przemówił do nas.

- Zaraz przyjdzie. Przeżył ogromny szok. Myślał, że żona go opuściła. Dziś rano przychodzi telegram z Paryża: zmieniła zdanie. To był śmiertelny cios, jakby sfera wściekłych psów rwała wielkiego bawołu na sztuki...

Nie wiedzieliśmy, co powiedzieć.

Wreszcie wtoczył się sam Jean - Paul. Białe gacie w szerokie żółte pasy. Bez butów, tylko w różowych skarpetkach. Brązowe loki z takich, co nie wymagają grzebienia. Coś z tym brązem było nie tak. Wyglądał, jakby zanikał i nie mógł się zdecydować, w jaki by przejść kolor. Koszula nie dopięta. Drapał się po piersi. Drapał i drapał. Był wielki, w przeciwieństwie do brata, i różowy na twarzy... a raczej czerwony, czerwienią, która zapalała się i gasła. Jego twarz w jednej chwili przybierała biel twarzy brata, po to żeby zaraz zapłonąć jeszcze żywszą czerwienią.

Przedstawiliśmy się po kolei.

- Aha, aha, aha - odpowiadał. A potem: - Gdzie jest Modard?

Rozejrzał się i wypatrzył go w kącie.

- Znów się zaszyłeś, co? Rany boskie, kiedy on wreszcie zrobi coś nowego?

Nagle Jean - Paul odwrócił się i pobiegł do sypialni, zatrzaskując drzwi za sobą.

Modard kaszlnął cicho ze swojego narożnika i wszyscy dolaliśmy sobie wina. Było naprawdę znakomite. Życie też było w porządku, Po to żeby się kręcić w tym światku, wystarczyło być pisarzem, malarzem czy tancerzem i już miałeś prawo wysiadywać z wszystkimi bądź z wszystkimi wystawać. Wdech, wydech, ciągniesz winko i udajesz, że wiesz, co jest grane.

Wrócił Jean - Paul, zawadzając o drzwi. Wyglądało, że walnął się w ramię. Przystanął, pomacał ramię, zostawił ramię w spokoju, zaczął się drapać i znów ruszył przed siebie. Krążąc wokół stołu szybkim, miarowym krokiem, wykrzykiwał:

- KAŻDY Z NAS MA DZIURĘ W ZADKU, TAK CZY NIE? CZY JEST W TYM POKOJU KTOŚ, KTO NIE MA DZIURY W ZADKU? BARDZO PROSZĘ, ŻEBY NATYCHMIAST SIĘ PRZYZNAŁ. NATYCHMIAST! ZROZUMIANO?

- A nie mówiłem, że to geniusz? - Jon Pinchot walnął mnie łokciem w bok. Jean - Paul nadal krążył w tym samym tempie, wrzeszcząc:

- KAŻDY Z NAS MA SZPARĘ Z TYŁU! TAK CZY NIE? NA SAMYM DOLE, POŚRODKU! TAK CZY NIE? TAMTĘDY WYLATUJE Z NAS GÓWNO! TAK CZY NIE? NA TO W KAŻDYM RAZIE LICZYMY! BEZ GÓWNA NIE MOGLI MYŚMY ŻYĆ! POMYŚLCIE, ILE GÓWNA WYSRYWAMY W ŻYCIU! SRAMY, A ZIEMIA TO NATYCHMIAST POCHŁANIA! ALE RZEKI I MORZA ŁYKAJĄC NASZE GÓWNA PAWIUJĄ WŁASNYM ŻYCIEM! JESTEŚMY NIECZYŚCI, NIECZYŚCI, NIECZYŚCI! NIENAWIDZĘ NAS WSZYSTKICH! ZA KAŻDYM RAZEM, KIEDY WYCIERAM TYLEK, NIENAWIDZĘ NAS WSZYSTKICH!

Przerwał, jakby dopiero zauważył Pinchota.

- Chcesz forsy, tak?

Pinchot uśmiechnął się.

- Załatwię ci twoją pieprzoną forszę, sukinsynu - obiecał lenn Paul.

- Dziękuję. Właśnie opowiadałem obecnemu tu Chinaskiemu, że jesteś geniuszem.

- Stul pysk.

Jean - Paul przeniósł wzrok na mnie.

- O twoim pisarstwie można tylko tyle powiedzieć, że podnieca mieszkańców zakładów zamkniętych. Czyli dokładnie tych, którzy potrzebują podniety. Są ich miliony. Jeśli uda ci się zachować dotychczasową głupotę w czystej postaci, niewykluczone, że któregoś dnia doigrasz się telefonu z piekiel.

- Jean - Paul, odbierałem już stamtąd telefony.

- Co? Naprawdę? Od kogo?

- Od byłych dziewczyn.

- ŁZESZ JAK PIES! - wykrzyknął i podjął marsz wokół stołu, drapiąc się nadal.

Po ostatnim okrążeniu rzucił się do sypialni, zatraskując drzwi, i tyleśmy go widzieli.

- Mój brat - wyjaśnił Henri - Leon - jest dzisiaj w kiepskiej formie. Ma zmartwienie.

Dolałem wszystkim dokoła. Pinchot nachylił się do mnie.

- Siedzą w tym apartamencie od Bóg wie kiedy, chleją, żrą i nie płacą za to ani grosza... - poinformował szeptem.

- Niemożliwe?

- Rachunki płaci Frances Ford Lopalla. Uważa, że Jean - Paul jest geniuszem...

- Miłość i Geniusz to dwa najbardziej nadużywane słowa w ludzkiej mowie - zauważyłem.

- Już zaczynasz głupio gadać - ostrzegła Sara. - Już ci idzie do głowy.

Jean - Luc Modard wychynął z kąta. Podszedł do nas.

- Dajcie tego pieprzonego wińska - zaordynował.

Nalałem z czubem. Jean - Luc uporał się jednym haustem. Nalałem jeszcze raz.

- Czytałem twoje dyrdymały - oświadczył. - Zachwycająco proste. Masz ubytki w mózgu, prawda?

- Niewykluczone. W pięćdziesiątym siódmym wykrwawiłem się prawie na śmierć. Przez 2 dni leżałem przed izbą przyjęć państwowego szpitala, zanim znalazł mnie jakiś poczciwy, świrnięty internista. Myślę, że przy okazji utraty krwi utraciłem jeszcze parę innych rzeczy, i to nie tylko w ciele, ale przede wszystkim na umyśle.

- To jedna z jego ulubionych opowieści wtrąciła Sara, - Kocham go, ale nie macie pojęcia, ile razy musiałam tego słuchać.

- Ja też cię kocham, Saro - odparłem ale opowiadanie tych samych historii w kółko dziwnym trafem przybliża je do tego czym miały być w zamyśle.

- Już dobrze, Popsy, nie gniewaj się powiedziała Sara.

- Słuchaj - odezwał się Jon - Luc - chciałem cię prosić o napisanie angielskich dialogów do mojego ostatniego filmu. Poza tym chciałem w nim wykorzystać scenę z twojego opowiadania. Facetowi obciążają pod biurkiem druta, a on dalej robi swoje, odbiera telefony jakby nigdy nic i takie tam duperele. Poszedłbyś na to?

- Poszedłbym na to.

Posunęliśmy krzesła i wzięliśmy się do picia. Jon - Luc rozgadał się na dobre. Gadał i gadał, nie spuszczał ze mnie oka. Z początku czułem się tym mile polechtany, potem nieco mniej.

Jon - Luc gadał bez wytchnienia. Przedstawiał się nam jako mroczny Geniusz. Może i był Geniuszem, kto go tam wie; nie będę się sprzeczał. Niestety, przez całą szkołę karmiono mnie Geniuszami: Szekspir, Tolstoj, Ibsen, G.B. Shaw, Czechow - banda przeklętych nudziarzy. A to jeszcze nie koniec: Mark Twain, Hawthorne, siostry Bronte, Dreiser, Sinclair Lewis - jakbyś legł pod betonową płytą: chcesz się wyrwać i zmykać gdzie oczy poniosą, a ta zgraja zidiociałych ojców i matek usiłuje zaprowadzić porządku, od których zmarły przewróciłby się w grobie.

Jon - Luc gadał i gadał. Tyle tylko zapamiętałem. I jeszcze moją poczciwą Sarę, mówiącą co jakiś czas:

- Hank, nie powinieneś tyle pić. Zbastuj trochę, jutro będziesz nieżywy.

Tymczasem Jon - Luc gadał jak najęty.

Nie rozumiałem już ani słowa z tego, co mówił, widziałem tylko poruszające się wargi. Nie przeszkadzał mi, po prostu - istniał. Był nie ogolony. Na dodatek znajdowaliśmy się w jakimś dziwnym hotelu w Beverly Hills, hotelu, w którym stąpało się po pawiach. Zaczarowany świat. Dobrze się w nim czułem. Nie przypominał żadnego ze znanych mi światów. Niepojęty, bezpieczny, doskonały.

Wino krążyło, a Jon - Luc nie ustawał.

Z przykrością wyczepiłem, co mi się od czasu do czasu zdarza. Bywa, że kiedy obcuje z istotami ludzkimi, bez względu na to, czy są to dobrzy ludzie, czy łobuzy, moje zmysły ulegają przeciążeniu i wyłącza się. Nic nie mogę na to poradzić. Jestem uprzejmy. Potakuję. Udaję, że rozumiem, bo nie chcę robić przykrości rozmówcy. Ta właśnie słabość przysparza mi najwięcej kłopotów. Kiedy usiłuję być miły dla bliźnich, przyplącam to starciem mojej duszy na papkę.

Nieważne. Mózg się odłącza. Studium. Reaguję. A oni są zbyt tępi, żeby zauważyć, że mnie w ogóle nie ma.

Alkohole krążyły, a Jon - Luc gadał i gadał. Jestem pewien, że powiedział wiele zdumiewających rzeczy, ale ja po prostu patrzyłem mu między brwi.

Następnego ranka, około 11, kiedy leżałem u siebie w łóżku, które dzielę z Sarą, zadzwonił telefon.

- Halo?

Dzwonił Pinchot.

- Słuchaj, muszę ci coś powiedzieć. - Tak?

- Modard NIGDY SIĘ NIE ODZYWA, NIGDY DOTĄD PRZY NIKIM NIE MÓWIŁ TYLE CO PRZY TOBIE! GADAŁ PRZEZ ILEŚ GODZIN BEZ PRZERWY! WSZYSCY BYLI ZASZOKOWANI!

- Dobra tam...

- ON SIĘ NIGDY NIE ODZYWA, ROZUMIESZ? GADAŁ DO CIEBIE PRZEZ ILEŚ GODZIN!

- Przepraszam, Jon, ale kiepsko się czuję, potrzebuję snu.

- Rozumiem. Ale muszę ci coś jeszcze powiedzieć.

- Dawaj.

- Chodzi o Jean - Paula Sanrah.

- Tak?

- Twierdzi, że powinienem poznać cierpienie, nie zaznałem dotąd dosyć cierpienia,

jeśli jednak przybliżę się do cierpienia, załatwi mi forszę.

- Fajnie.
- Dziwny facet, no nie? Prawdziwy geniusz.
- Tak - odpowiedziałem. - Też mi się tak wydaje.

Odłożyłem słuchawkę.

Sara spała dalej. Przekręciłem się na prawy bok, do okna, bo czasem chrapię i nie chcę, żeby to na nią leciało.

Ledwie ogarnęły mnie kojące ciemności, ostatni spoczynek, jaki przysługuje nam przed śmiercią, kiedy Ślicznotka, ulubiony kot Sary, zlazła ze specjalnej poduszki przy głowie swojej pani i przemaszerowała mi po twarzy. Zahaczyła pazurami o moje lewe ucho, zeskoczyła na podłogę, przecięła pokój, wskoczyła na otwarte okno wychodzące na wschód. Cholerne słońce, sunąc po niebie, nie wzbudzało we mnie krztyny entuzjazmu.

7

Tego wieczora, siedząc przy maszynie, zrobiłem sobie 2 drinki, wypłem 2 drinki, wypaliłem 3 papierosy i wysłuchałem *Trzeciej Sonaty* Brahmsa przez radio. Dopiero wtedy zorientowałem się, że czegoś mi brakuje, żebym się wziął do scenariusza. Wystukałem numer Pinchota. Był w domu.

- Halo?
- Jon, tu mówi Hank.
- Hank, jak się masz?
- Dobrze. Słuchaj, wezmę tę dychę.
- Przecież mówiłeś, że wzięcie tych pieniędzy z góry może upośledzić twój proces twórczy.
- Zmieniłem zdanie. Poza tym proces twórczy jeszcze nie nastąpił..
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- To, że mam pomysł w głowie, ale ani słowa na papierze.
- Co to za pomysł?
- Historyjka o pijaku. Przez okrągłą dobę nie schodzi ze stołka przy barze.
- Myślisz, że to się ludziom spodoba?
- Słuchaj, Jon, gdybym się przejmował tym, co się ludziom podoba, słowa bym w życiu nie napisał.
- Rozumiem. Wpaść do ciebie z czekiem?
- Wystarczy, jak go prześlesz pocztą jeszcze dziś. Dziękuję.
- Ja też dziękuję - powiedział Jon. Z powrotem siadłem do maszyny. Szło mi jak z

płatka. Zacząłem pisać:

ŻAŁOSNY PIJACZYNA

WNĘTRZE/PLENER BAR DANDY'EGO - ZA DNIA

KAMERA NAJEŹDŹA Z GÓRY na wejście do baru; POWOLNY DOJAZD DO WNĘTRZA BARU.

MŁODY MĘŻCZYŻNA na stołku przy barze, wygląda, jakby tkwił tam od początku świata. Podnosi kieliszek...

Wciągnąłem się. Najważniejsza jest pierwsza linijka, reszta robi się sama. Nagle okazało się, że mam gotową całość, brukowało tylko pewnego drobiazgu, żeby ją wyciągnąć na światło dzienne.

Widziałem bar jak na dłoni. Nie było miejsca, w którym nie zalatywałoby kibelem. Kolejne drinki stanowiły jedyne antidotum na ten zapach. Żeby pójść do kibla, trzeba było strzelić ze 4 albo 5 pod rząd. Jak żywa stanęła mi w pamięci klientela baru. Twarze, sylwetki, głosy. Znów byłem z nimi. Widziałem beczkowane piwo w wysmukłych szklankach rozszerzających się ku górze, pianka posykując łypie białymi bąbelkami. Piwo było zielone. Po pierwszym łyku, gdzieś w okolicach czwartej szklanki, następował wdech, zatrzymanie powietrza, a następnie - odlot. Barman z przedpołudniowej zmiany był równym gościem. Dialog powstawał sam, bez mojego udziału. Stukałem w klawisze bez wytchnienia...

Nagle zadzwonił telefon. Zamiejskowa. Dzwonił mój niemiecki tłumacz i agent, Karl Vossner. Karl uwielbia mówić tak, jak według niego mówią wyluzowani Amerykanie.

- Sie masz, byku. Co u ciebie?

- W porządku, Karl. Dalej lubisz majstrować przy sprzęgle?

- No. Cały sufit mi się łuszczy od zeschłej spermy.

- Grzeczny chłopczyk.

- Dzięki, stary. Wziąłem po tobie co najlepsze. Ale, ale, mam dla ciebie dobrą wiadomość. Jesteś ciekaw, byku jeden?

- Jak najbardziej, stary.

- No więc oprócz tego, że odgwizdałem całą „Dixi” przez dziurę w zadku, udało mi się jeszcze przetłumaczyć 3 z twoich książek: poezje *Wszy zagłady*, opowiadanie *Stek*

marzeń i powieść *Podpalacz na Głównym*.

- Zasłużyłeś na moje lewe jajco, Karl.

- O.K., możesz je nadać lotniczą. Ale, stary, mam jeszcze coś dla ciebie.

- Błagam, powiedz...

- Mieliśmy w zeszłym tygodniu targi książki. Spotkałem 6 największych niemieckich wydawców. Cholernie się napalili. Wyobraź sobie, chcą cię wziąć całego!

- Całego?

- Utwory zebrane, kapujesz?

- Kapuję, stary.

- Ściągnąłem ich wszystkich do pokoju hotelowego, rzuciłem na stół piwo, wino, ser, orzeszki. Powiedziałem, że otwieram przetarg na promocję 3 twoich książek. Parsknęli śmiechem i wzięli się do picia. Wiedziałem, że mam skubańców w garści. Te książki to będą przeboje sezonu i oni zdają sobie z tego sprawę. Opowiedziałem parę wiców, żeby ich rozluźnić, i zacząłem przetarg. Reasumując, sprawy się macają tak, że Krumph zaoferował najwyższą sumę. Wziąłem sukinsyna za kark i kazałem mu podpisać umowę, po czym wszyscy golnęliśmy po jednym. Całą bandą daliśmy tego w banię. Przodował Krumph. Dobra nasza! Wśliznęliśmy się bez wazeliny.

- Cwaniura z ciebie, Karl. Jaka będzie moja dola?

- 35 patoli jak nic, brachu. Przekabluję ci forszę najpóźniej za tydzień.

- Chłopie, niezły numer wykręciłeś!

- Lepsze to niż rznąć szkło, stary wuju.

- Nie ma dwóch zdań. Ej, Karl, a to słyszałeś? Jaka jest różnica między kurzą dupą a dupą króliczą?

- Nie mam pojęcia?

- Spytaj małego Wacka.

- Kapuję! Ale w dechę!

Tym akcentem zakończyliśmy rozmowę.

W ciągu godziny stałem się bogatszy o 45 tysięcy dolarów. 30 lat głodu i zapoznania wydało wreszcie owoc.

Wróciłem do maszyny, nalałem hojną ręką, chlapanąłem i nalałem jeszcze raz. Zmacałem 3/4 zwietrzałego cygara, Zapaliłem. Radio dawało *Piątą Szostakowicza*. Uderzyłem w klawisz.

Barman, niejaki Luke, przechyła się przez ladę, zwracając się do młodego człowieka.

LUKE

Ty. słuchaj, siedzisz tutaj dniem i nocą. Nic nie robisz, tylko żłopiesz na okrągło.

MŁODY CZŁOWIEK

No.

LUKE

Nie chciałbym cię w żaden sposób urazić, rozumiesz, ale mam wrażenie, że w ten sposób daleko nie zajdziesz.

MŁODY CZŁOWIEK

Dobra, Luke, o mnie się nie martw. Zajmij się lepiej gośćmi.

LUKE

Nie ma sprawy, chłopcze. Powiedz jednak, czy nie wydaje ci się, że zostałeś stworzony do czegoś innego?

MŁODY CZŁOWIEK

Ej, Luke, a ten słyszałeś? Jaka jest różnica między kurzą dupą a dupą króliczą?

LUKE

Nie mam zamiaru wysłuchiwać jakichś wiców. Odpowiedz: czy czujesz, że zostałeś stworzony do czegoś lepszego?

MŁODY CZŁOWIEK

No dobra, kurczę... Musiałem być w jakiejś 6. klasie. Nauczyciel kazał nam opisać przeżycie, które nas najbardziej poruszyło, ale nie chodziło mu o naszą przeprowadzkę do Denver.

LUKE

Taa...

MŁODY CZŁOWIEK

No więc napisałem o tej żabce, którą znalazłem w ogrodzie. Jedną łapką uwięzła w drucianym ogrodzeniu. Nie mogła się wyswobodzić. Wyplątałem jej nóżkę z siatki, ale ona dalej się nie poruszała.

LUKE

(ziewając)

Taa...?

MŁODY CZŁOWIEK

Wziąłem ją na kolana i zacząłem do niej mówić. Powiedziałem jej, że też jestem w potrzasku. Moje życie też ugrzęzło w martwym punkcie. Mówiłem do niej bardzo długo. W końcu zeskoczyła mi z kolan, skacząc przecięła trawnik i zniknęła w zaroślach, a ja po

raz pierwszy w życiu poczułem, że kogoś utraciłem.

LUKE

Taa...?

MŁODY CZŁOWIEK

Nauczyciel przeczytał wypracowanie całej klasie. Wszyscy się pobeczeli.

LUKE

Taa...? I co?

MŁODY CZŁOWIEK

I nic, przyszło mi do głowy, że mógłbym kiedyś zostać pisarzem.

LUKE

(przechylając się przez ladę)

Chłopcze, chyba ci odbiło.

Uznałem, że mam już dość scenariusza jak na ten wieczór. Nie wstając od maszyny, zacząłem słuchać muzyki w radio. Nie pamiętam, żebym się kładł. Ale rano obudziłem się w łóżku.

8

Vin Marbad zjawił się za gorącym poręczeniem Michaela Huntingtona, mojego oficjalnego fotografa. Michael pstrykał mnie na okrągło, ale jak dotąd nie było specjalnego popytu na jego dzieła.

Marbad był konsultantem do spraw podatkowych. Mały, śniady człowieczek, któregoś wieczoru wyrósł w progu z walizeczką w ręku. Już od paru godzin popijałem w spokoju, oglądając z Sarą film na moim starym czarno - białym telewizorze.

Zastukał godnie i stanowczo. Wpuściłem go, przedstawiłem Sarze i nalałem mu wina.

- Dziękuję. - Upił odrobinę. - Zdaje pan sobie sprawę, że w Ameryce, jeśli nie wyda pan pieniędzy, to je panu zabiorą?

- Naprawdę? Co wobec tego powinienem pana zdaniem zrobić?

- Zadatkować nowy dom.

- Hę?

- Wpłaty na hipotekę są wolne od opodatkowania.

- Rozumiem. Co jeszcze?

- Kupić samochód. Wolny od opodatkowania.

- Całkowicie?

- Nie, częściowo. Niech mi pan pozwoli się tym zająć. Musimy po prostu

skonstruować system parawanów, które osłonią pana przed prawem podatkowym. Proszę na to spojrzeć...

Vin Marbad otworzył walizeczkę i wyjął plik papierów. Z papierami w ręku wstał i podszedł do mnie.

- Nieruchomości. O tu, widzi pan, kupiłem kawałek gruntu w Oregonie. Odpisany od podatku. Ciągle jeszcze jest parę akrów tło wzięcia od ręki. Spodziewamy się rocznej zwwyżki wartości gruntu o 23%. Inaczej mówiąc, za cztery lata pańskie pieniądze podwoją swoją wartość.

- Nie, nie, błagam, niech pan siada z powrotem.

- Ale dlaczego?

- Nie chcę kupować czegoś, czego nie widziałem na oczy, nie chcę kupować czegoś, czego nie mogę pomacać własnymi palcami.

- Daje pan do zrozumienia, że mi pan nie ufa.

- Widzę pana pierwszy raz w życiu.

- Mam rekomendacje z całego świata!

- Zawsze kieruję się intuicją.

Vin Marbad odwrócił się na pięcie i pomaszerował do kanapy po swój płaszcz; pośpiesznie ubrał się i z walizeczką w ręku ruszył do drzwi, nacisnął klamkę, wyszedł, zamknął drzwi za sobą.

- Obraziłeś go - powiedziała Sara. - On po prostu przyszedł ci pokazać, jak mógłbyś zaoszczędzić trochę pieniędzy.

- Mam dwie zasady. Pierwsza: nigdy nie ufaj mężczyźnie, który pali fajkę. Druga: nigdy nie ufaj mężczyźnie w wyglansowanych półbutach.

- Przecież nie palił fajki...

- Tak, ale wygląda na palacza.

- Obraziłeś go...

- Nie martw się, zaraz wróci...

Drzwi się otwały i Vin Marbad wpadł do salonu. Podbiegł z powrotem do kanapy, ponownie zrzucił płaszcz i postawił walizeczkę przy nodze. Spojrzał na mnie.

- Michael mówi, że pan gra na wyścigach.

- No, owszem...

- Po przyjeździe z Indii zaczynałem jako dozorca w Hollywood Park. Widział pan miotły, jakich tam używają do zmiatania nieważnych kuponów?

- Owszem.

- No więc to jest *mój* wynalazek. Dawniej używano mioteł normalnej szerokości, dopiero ja zaprojektowałem nowy model. Zanim go do Zarządu Wyścigów. Mój patent został wdrożony, a ja awansowałem na pracownika Zarządu. Odtąd bez przerwy awansuję.

Nalałem mu kolejny kieliszek. Upił łyżek.

- Niech mi pan powie, czy pije pan przy pracy?

- Tak, całkiem sporo.

- Alkohol jest elementem pańskiej inspiracji. Załatwimy odpisanie go od podatku.

- Potrafi pan coś takiego?

- Oczywiście. Musi pan wiedzieć, że to właśnie ja wprowadziłem precedens odpisywania od podatku benzyny. Pierwszy wpadłem na ten pomysł.

- Oż, kurwa - powiedziałem z uznaniem.

- Bardzo interesujące - stwierdziła Sara.

- Zrobię tak, że nie będzie pan płacił żadnego podatku i wszystko będzie w stu procentach legalne.

- Brzmi zachęcająco.

- Michael Huntington nie płaci żadnych podatków. Może się pan go spytać.

- Wierzę panu. Zrobmy to samo.

- Dobrze, ale musi mnie pan posłuchać. Najpierw wpłaci pan pierwszą ratę za dom, potem za samochód. Zrobmy dobry początek. Niech pan kupi porządny samochód. Niech pan kupi nowe BMW.

- Zgoda.

- Na czym pan pisze? Na maszynie ręcznej?

- Tak.

- Niech pan kupi elektryczną. Odpiszemy ją od podatku.

- Nie wiem, czy będę umiał pisać na elektrycznej.

- Nauczy się pan w ciągu paru dni.

- To znaczy nie jestem pewien, czy będę w stanie *tworzyć* przy maszynie elektrycznej.

- Chce pan powiedzieć, że boi się pan nowości?

- Boi się zmiany - wyjaśniła za mnie Sara. - Kiedyś, na przykład, pisało się gęsimi piórami. Gdyby żył w dawnych czasach, na pewno trzymałby się gęsiego pióra i dawał odpór wszelkim nowinkom.

- Cholernie boję się zaprzedać duszę.

- Zmienia pan przecież marki alkoholi, prawda? - spytał Vin.

- Nno, tak...

- A widzi pan...

Vin uniósł kieliszek i osuszył go do dna.

Nalałem wszystkim wina.

- Teraz musimy nadać panu status korporacji, żeby przysługiwały panu ulgi podatkowe.

- Brzmi koszmarnie.

- Uprzedziłem pana, że musi pan mnie słuchać, jeżeli nie chce pan płacić podatków.

- Zależy mi wyłącznie na pisaniu, ani myślę ubierać się w coś takiego.

- Musi pan tylko powołać zarząd, sekretarza, skarbnika i tak dalej. Nic trudnego.

- To brzmi przerażająco. Prawdę mówiąc, to brzmi całkiem do dupy. Może w sumie wyjdę lepiej płacąc podatki. Nie mam ochoty, żeby mi ktoś stale zawracał głowę. Nie mam ochoty, żeby poborca podatkowy nachodził mnie w środku nocy. Chętnie nawet dopłacę, byle tylko zostawili mnie w spokoju.

- Bez sensu - zaprotestował Vin. - Podatków *w ogóle* nie powinno się płacić.

- Czemu byś nie miał dać Vinowi szansy? On po prostu stara ci się pomóc - powiedziała Sara.

- Niech pan posłucha. Prześlę panu statut korporacji. Przeczyta pan sobie, a potem złoży podpis. Zobacz pan, że to nic strasznego.

- Kiedy, rozumie pan, to wszystko jest *mi* nie po drodze. Pracuję teraz nad scenariuszem i muszę mieć święty spokój.

- Ach tak, scenariuszem. O czym ma być ten scenariusz?

- O pijaku.

- Rozumiem, o panu.

- No, jest jeszcze paru.

- Udało mi się go namówić, żeby pił wino - wtrąciła Sara. - Kiedy go poznałam, robił bokami. Whisky, piwo, wódka, dzin...

- Od kilku lat jestem konsultantem Darby'ego Evansa. Scenarzystą, musiał pan o nim słyszeć.

- Nie chodzę do kina.

- Napisał *Zajaczek kica do nieba*, *Wafle z Lulu*, *Panikę w zoo*. Sześciocyfrowe konto jak nic. Evans też jest korporacją.

Milczałem.

- Nie płaci centa podatku. Najlegalniej w świecie...

- Daj Vinowi szansę upierała się Sara.

Podniosłem kieliszek.

- Kurdebele, niech wam będzie. No to, abyśmy!

- Zdrówko podchwycił Vin.

- Osuszyłem kieliszek, wstałem i przyniosłem nową butelkę. Od korkowałem i naląłem nam wszystkim.

Po chwili zastanowienia cały pomysł spodobał mi się; poczułem się niezwykle cwany. Po co dokładać się do bomb, które okaleczają bezbronne dzieci? Lepiej jeździć BMW. Mieć z okna widok na przystań. Głosować na Republikanów.

Potem jednak inna myśl przyszła mi do głowy:

Czy to możliwe, żebym miał zostać tym wszystkim, czego zawsze nienawidziłem?

I zaraz pojawiła się odpowiedź:

Przecież to i tak nie są żadne pieniądze. Czemu bym nie miał spróbować dla zgrywy?

Piliśmy dalej z okazji czegoś tam.

9

Tak więc miałem ponad 65 lat i rozglądałem się za pierwszym domem w życiu. Pamiętałem jeszcze, jak mój ojciec prawie całe życie odkładał na hipotekę, żeby wreszcie kupić dom.

- Spłacę za życia jeden dom - mawiał. - Jak umrę, dom przejdzie na ciebie. Ty też spłacisz jeden dom, który po twojej śmierci przejdzie na twojego syna. To by już były dwa domy. Twój syn z kolei...

Ten tryb postępowania przerażał mnie swoją powolnością: dom za domem, śmierć za śmiercią. Dziesięć pokoleń, dziesięć domów. A potem wystarczy jedna osoba, żeby przepuć wszystkie domy czy podpalić jedną zapalką i rzucić się do ucieczki ulicami miasta, dla niepoznaki unosząc własne jaja w koszu z owocami.

Tak więc rozglądałem się za domem, na który w gruncie rzeczy nie miałem ochoty, i pisałem scenariusz, którego wcale nie chciało mi się pisać. Rzeczywistość zaczęła wymykać mi się z rąk, widziałem, co się dzieje, ale nie byłem w stanie temu przeciwdziałać.

Zaczęliśmy od biura nieruchomości w Santa Monica. Firma nosiła nazwę „Osadnictwo XXII wieku”. Szczyt nowoczesności. Wysiedliśmy z auta z Sarą i weszliśmy do środka. Za biurkiem siedział młody facet, krawat, ładna koszula w prążek, czerwone szelki. Na luzie. Przerzucał papiery na biurku. Przerwał robotę i popatrzył na nas.

- Czym mogę służyć?

- Chcemy kupić dom - powiedziałem.

Odwrócił głowę w bok i zapatrzył się w dal. Minęła minuta. Dwie.

- Chodźmy - powiedziałem do Sary.

Wróciliśmy do auta. Ruszyłem.

- O co mu poszło? - spytała Sara.

- Nie miał ochoty się z nami zadawać. Oszacował naszą wartość i uznał za niegodnych swojego czasu.

- Kiedy to nieprawda.

- Być może, ale poczułem się, jakbym miał parchy.

Jechałem przed siebie, nie bardzo wiedząc, dokąd jadę.

Jakoś mnie to zabolalo. Jasne, że miałem kaca i byłem nie ogolony i, jak zawsze, moje ubranie nieco dziwnie na mnie leżało, a lata ubóstwa też zrobiły swoje. Ale moim zdaniem osądzanie człowieka na podstawie wyglądu jest niemądre. Sam wolę raczej kierować się czyjąś mową i zachowaniem.

- Cholera ich wie - roześmiałem się. - Może nikt nam nie zechce sprzedać domu.

- To był jakiś kretyn - zawyrokowała Sara.

- „Osadnictwo XXII wieku” to jedna z najpoważniejszych sieci obrotu nieruchomościami w tym stanie.

- To był jakiś kretyn - powtórzyła Sara.

Nadal jednak czułem się upokorzony. Kto wie, może faktycznie byłem jakimś świrem. W zasadzie umiałem tylko pisać na maszynie - i to nie zawsze.

Droga prowadziła teraz wśród wzgórz.

- Gdzie jesteśmy? - spytałem.

- W kanionie Topanga - odpowiedziała Sara.

- Wygląda dosyć rozpaczliwie.

- Okolica jest w porządku, gdyby nie powodzie, pożary i nowa generacja rozczarowanych hippisów.

Dostrzegłem szyld. PRZYSTAŃ MAŁPOLUDÓW okazała się barem. Zatrzymałem samochód. Wysiedliśmy. Przed barem stało pełno motocykli. Mówiło się na nie „wieprze”.

Weszliśmy do środka. Bar trzeszczał w szwach. Kolesie w skórach, Kolesie w brudnych chustach. Niektórzy mieli na twarzy parchy. Inni brody, z którymi coś było nie tak. Większość miała okrągłe, bladoniebieskie, apatyczne oczy. Cisi i spokojni, wyglądali, jakby siedzieli tak już któryś tydzień z rzędu.

Znaleźliśmy dwa wolne stolki.

- Dwa piwa - zaordynowałem. - Wszystko jedno jakie, byle w butelce.

Barman odpłynął.

Po chwili wyrosło przed nami piwo. Chlapnęliśmy.

Nad kontuar wychyłała jakaś twarz i zaczęła się nam przyglądać. Okrągła i nalana, nosiła znamiona imbecyilizmu. Należała do młodego mężczyzny o brudnorudych włosach i brodzie oraz zupełnie siwych brwiach. Dolna warga obwisła, jakby dźwigała niewidzialny ciężar. Wywinięta na zewnątrz, połyskiwała wilgocią.

- Chinaski - przemówił młody grubas - niech mnie diabli, jak to nie jest CHINASKI.

Skinąłem niedbale dłonią i zapatrzyłem się w dal.

- Jeden z moich czytelników - wyjaśniłem Sarze.

- No, no.

- Chinaski - dobiegł mnie głos z prawej strony.

- Chinaski - powtórzył inny głos.

Przede mną wyrosła whisky. Uniosłem szklaneczkę.

- Dziękuję, panowie. - Obaliłem do dna.

- Miarkuj się - zaniepokoiła się Sara. - Wiesz, jak z tobą bywa. Nigdy się stąd nie wydostaniemy.

Barman przyniósł kolejną whisky. Był to mały facecik z twarzą usianą czerwonymi krostami. Wyglądał bardziej apatycznie niż reszta. Stał i gapił się na mnie.

- Chinaski - odezwał się - jesteś największym pisarzem na świecie.

- Tak sądzisz? - Uniosłem szklaneczkę whisky i podałem Sarze, która obaliła zawartość.

Zakrztusiła się lekko. Odstawiła szklanekę.

- Piję tylko dlatego, żeby cię odciążyć.

Za nami powoli zaczynał gromadzić się mały tłumek.

- Chinaski... Chinaski... Ale jaja... Czytałem wszystkie twoje książki. WSZYSTKIE TWOJE KSIĄŻKI!... Mógłbym ci dać kupa w dupę... Te, Chinaski, staje ci jeszcze od święta?... Chinaski, Chinaski, chciałbyś posłuchać mojego wiersza?

Zapłaciłem barmanowi, odepchnęliśmy stolki i ruszyliśmy w stronę drzwi. Znowu uderzyły mnie ich skórzane kurtki i twarze bez wyrazu. Twarze wyprane z radości i inicjatywy. Tym biedakom straszliwie czegoś brakowało. Coś we mnie drgnęło i przez krótką chwilę miałem ochotę objąć ich wszystkich, przytulić i pocieszyć jak jakiś Dostojewski, ale zdawałem sobie sprawę, że i dla mnie, i dla nich skończyłoby się to tylko śmiesznością i upokorzeniem. Świat nie wiedzieć kiedy zabrnął za daleko i odruchy

dobroci nie mogły być już tak proste jak dawniej. Musielibyśmy nad tym znowu popracować.

Tłum ruszył za nami przed bar.

- Chinaski, Chinaski... Skąd wzięłaś taką piękną kobitkę? Nie zasłużyłaś na nią, chłopie!... Chinaski, nie wygłupiaj się, zostań, napij się z nami! Zachowuj się jak człowiek! Zachowuj się jak w swoich książkach! Nie bądź chujem!

Pewnie, że mieli rację. Wsiadliśmy do auta, zapaliłem i powoli tuszyłem przez rozstępujący się niechętnie tłum. Niektórzy ślali całusy, inni wysuwali środkowy palec do góry, parę pięści walnęło w szyby wozu.

Wydostaliśmy się na szosę i ruszyliśmy dalej.

- Więc to są twoi czytelnicy? - upewniła się Sara.

- Ogólnie rzecz biorąc, tak.

- Czy ludzie inteligentni nie czytują twoich książek?

- Mam nadzieję, że nie.

Jechaliśmy dalej w milczeniu.

- O czym myślisz? - spytała w końcu Sara.

- O Dennisie Bodym.

- O Dennisie Bodym? A któż to taki?

- W podstawówce był moim przyjacielem. Ciekawe, co się z nim stało.

10

Jechałem dalej, aż mój wzrok padł na tabliczkę: „Biuro nieruchomości Tęcza”.

Zaparkowałem przed frontem. Nie brukowany parking roił się od dziur i dołów. Wybrałem najładniejszy kawałek i ustawiłem samochód. Wsiadliśmy i poszliśmy do biura. W otwartych drzwiach przykucnęła tłusta biała kura. Potrąciłem ją wchodząc. Kura uniosła się, wydzieliła, z siebie nieco materii, wlaźła do biura, znalazła sobie miejsce w kącie i znowu przycupnęła. Za biurkiem siedziała chuda kobieta po czterdziestce, miała proste włosy o barwie szlamu, które wieńczył czerwony papierowy kwiat. Piła piwo i paliła pall maila.

- Siemanko! - pozdrowiła nas. - Szukata czegoś na tym zadupiu?

- Można by to tak ująć - potwierdziłem.

- No to *ujmujcie!* Ha, ha, ha!

Chlapnęła piwko i podała mi wizytówkę.

BIURO NIERUCHOMOŚCI

TECZA

Szepnijcie, czego wam trzeba

a ja przychylę wam nieba.

Lila Gant,

do usług.

Wstała.

- Jedźcie za mną..

Nie zamykała biura.. Wsiadła do swojego samochodu. Comet '62, poznałem., bo sam kiedyś miałem cometa '62. Prawdę mówiąc, ten tutaj wyglądał dokładnie jak tamten, którego sprzedałem na złom.

Ruszyliśmy za nią krętą, wiejską, zakurzoną drogą. Jechaliśmy przez parę minut. Zauważyłem, że na skrzyżowaniach nie ma świateł, a po obu stronach drogi ciągną się głębokie wąwozy. Zanotowałem w pamięci, że jazda nocą po paru głębszych może być ryzykowna.

Stanęliśmy przed nie malowanym drewnianym domem. To znaczy kiedyś, dawno temu, musiał być pomalowany na biało, ale wiatr i deszcz złuszczyły nieomal doszczętnie farbę, która nabrała barwy kurzej kupy. Dom zapadał się trochę od frontu i z lewej strony - naszej lewej. Wysiedliśmy. Dom był wielki, zaciszny i swojski.

A wszystko przez to, pomyślałem, że wziąłem zaliczkę na napisanie scenariusza i nająłem konsultanta do spraw podatkowych.

Weszliśmy na ganek. Deski, jak można było przewidzieć, ugięły się pod nogami. Ważyłem koło setki, niestety głównie tłuszczu. Pomyśleć, że kiedyś nosiłem 65 kilo zawieszony na stelażu u wysokości metra osiemdziesięciu: stare, dobre, chude lata, kiedy pisywałem porządne kawałki.

Lila walnęła w drzwi frontowe.

- Darlene, słoneczko? Jesteś w przyzwoitym stroju? Zarzuć coś na dupcię, bo zamierzamy wejść. Państwo przybyli zwiedzić twój pałac. Ha, ha, ha!

Pchnęła drzwi i weszliśmy.

W środku było ciemno i pachniało, jakby ktoś przypalił indyka w piekarniku. Pod sufitem unosiło się coś, jakby skrzydlate cienie, Żarówka wisiała na kawałku kabla. Izolacja odpadła, odsłaniając goły drut. Poczulem chłodny powiew na karku. Powiew grozy, przemknęło mi przez myśl. To nie może być drogi dom, pomyślałem, żeby się otrząsnąć.

Z ciemności wyłoniła się Darlene. Wielkie uszmińkowane usta. Włosy sterczące na

wszystkie strony. Oczy tryskające dobrocią, która miała zatuszować lata beznadziei. Darlene była tłusta. Miała na sobie niebieskie dzinsy, wygniecioną bluzkę w kwiaty i kolczyki podobne do gałek ocznych. Dwie błękitne źrenice kolebały się lekko w jej uszach. W rękę trzymała jointa. Rzuciła się w naszą stronę.

- Lila, stara zdziro! Co słychować?

Lila wzięła jointa z ręki Darlene, zaciągnęła się, oddała jej z powrotem.

- Jak się miewa ta, dupa wołowa, twój braciszek Willy?

- Właśnie wylądował w okręgowym kiciu. Sra w gacie, że mu się dorwą do tyłka.

- Naprawdę tak uważasz?

- Naprawdę.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

Zostaliśmy sobie przedstawieni. Zapadła cisza. Sterczeliśmy bezmyślnie, jakbyśmy w ogóle nie mieli nic do roboty. Nawet mi się to spodobało. W porządku, pomyślałem, będę stał tak długo jak wszyscy. Skoncentrowałem się na poskręcanych drucie w kablu od żarówki.

Do pokoju wkroczył powoli wysoki, szczupły mężczyzna. Zbliżał się do nas na sztywnych nogach, krok za krokiem. Najpierw stawiał jedną nogę, potem z namaszczeniem dostawiał drugą. Przypominał ślepcę bez laski. Jego twarz tonęła w zwojach brody, a gęste włosy były skołtunione i poskręcane. Przy tym wszystkim miał piękne ciemnozielone oczy. Oczy jak szmaragdy. Miał w sobie coś, skubany. Na domiar złego uśmiechał się *szeroko*. Przystanął i w dalszym ciągu *uśmiechał się i uśmiechał*.

- Mój mąż - przedstawiła go Darlene. - Podwójny Kwartet.

Kiwnął głową. Odkiwnęliśmy z Sarą.

Lila nachyliła się do mnie.

- Kiedyś oboje robili w filmie - szepnęła.

Sarę to wszystko zaczęło nużyć.

- Chodźmy może obejrzyć dom.

- Jasne, złotko. Biercie, dupy w troki i chodźcie za mną.

Poszliśmy z Lilą do drugiego pokoju. Odwróciłem się. Podwójny Kwartet brał jointa z ręki Darlene. Zaciągnął się.

Rany boskie, miał naprawdę fantastyczne oczy. Oczy faktycznie są zwierciadłem duszy. Niestety, ten *szeroki uśmiech* niweczył cały efekt.

Najwidoczniej byliśmy w jadalni albo w salonie. Do jednej ze ścian przybito gwoździami puste łóżko wodne, na którym ktoś nabazgrał czerwoną farbą:

PAJĄK ŚPIEWA W SAMOTNOŚCI.

- Spójrzcie na to - zażądała Lila. - Spójrzcie na to podwórko. Ładny kawał *gruntu*.

Wyrzeliśmy przez okno. Podwórko wyglądało jak droga, tylko jeszcze gorzej: wielkie wyrwy, zwały ziemi i kamieni. Pośród tego wszystkiego sterczał dumnie samotny i opuszczony kibel bez drzwi.

- Ładne - przyznałem. - I dosyć niecodzienne.

- Ci tutaj to ARTYŚCI - poinformowała mnie nasza pośredniczka.

Odsunęliśmy się od okna. Dotknąłem zasłony. W rękę został mi kawałek materiału.

- Oni tutaj mają głębię wewnętrzną - wyjaśniła Lila. - Nie zwracają: sobie głowy *prozą życia*.

Weszliśmy na piętro. Schody, o dziwo, były całkiem solidne. Były to dobre, porządne schody i humor nam się trochę poprawił.

Jedynym sprzętem w sypialni okazało się łóżko wodne, tym luzem napełnione wodą. Stało samotne i zapomniane w najdalszym kącie. Z boku miało wielkie osobliwe wyrzucenie. Zdawało się, że łóżko lada chwila eksploduje.

Podłoga w wyłożonej kafelkami łazience była tak dawno nie myta, że kafelki prawie całkiem pokryła brudna maź z odciskami stóp.

Muszlę klozetową oblepiał brązowy stuletni strup, którego nikt nigdy nie próbował nawet tknąć. Strup na strupie strupem poganiany. Takiej muszli nie spotkałem jak żyję w żadnej knajpie ani w żadnej melinie. Rzygać mi się zachciało na wspomnienie tamtych sraczy i na myśl o kiblu, przy którym teraz stałem. Zebrałem się do kupy, odetchnąłem głęboko, zabroniłem sobie myśleć o którymkolwiek z tamtych sraczy i wróciłem do łazienki.

- Przepraszam - powiedziałem.

Lila domyśliła się wszystkiego.

- W porządku, przyjacielu.

Nie miałem odwagi zajrzeć do wanny, ale zauważyłem, że wyżej na ścianie ktoś nabazgrał farbami w różnych kolorach:

JEŚLI TIM LEARY NIE JEST BOGIEM

BÓG NIE ŻYJE.

MÓJ OJCIEC ZGINĄŁ W BRYGADZIE
ABRAHAMA LINCOLNA
A DIABEŁ
MA
CIPEĆ.

CHARLES LINDBERG BYŁ PEDZIEM.

Tu i ówdzie widniało jeszcze kilka niezrozumiałych, zamazanych lub nieczytelnych napisów.

- Rozejrzyjcie się jeszcze, żeby sobie wyrobić własne zdanie. Kupno domu to niezły wstrząs mózgu. Nie zamierzam was poganiać.

I Lila wyszła. Usłyszeliśmy, jak schodzi na dół. Wyszliśmy z Sarą na korytarz. Na postrzępionym sznurze wisiał stary zardzewiały dzbanek do kawy.

- O rany - powiedziała nagle Sara. - O rany!

- Co się stało?

- Widziałam już zdjęcia tego domu. Przypomniałam sobie wreszcie! Cały czas mi się wydawało, że skądś *znam* ten dom!

- Tak? Co to za dom?

- Jeden z domów, w których *Charles Manson* kogoś zamordował!

- Jesteś pewna?

- Tak, tak!

- Chodźmy stąd...

Zeszliśmy po schodach. Na dole czekali na nas Lila, Darlene i Podwójny Kwartet.

- I jak się wam podoba? - spytała Lila.

- Mam twoją wizytówkę z telefonem - powiedziałem. - W razie czego będziemy się kontaktować.

- Jeżeli jesteście artystami, spuścimy trochę cenę - zaproponowała Darlene. - Lubimy artystów. Jesteście artystami?

- Nie - zaprzeczyłem. - W każdym razie ja nie.

- Mogę wam jeszcze pokazać parę miejsc - ofiarowała się Lila.

- Dziękujemy - powiedziała Sara. - Jak na dzisiaj, widzieliśmy już dosyć. Musimy odpocząć.

Idąc do drzwi, musieliśmy się przecisnąć między stojącymi. Przez cały ten czas

Podwójny Kwartet nie robił nic, tylko *uśmiechał się i uśmiechał*.

11

W domu czekały na mnie dwie koperty. Kiedy Sara poszła po butelkę, rozdarłem jedną. W środku znajdował się rękopis z dołączoną notatką:

Chinaski! Sram na ciebie! Kiedyś byłeś wielkim pisarzem! Teraz pieprzysz! Skończyłeś się! Moja babcia gędzi ciekawiej od ciebie! Za długo zaglądałeś do własnej dupy! Posłałem mój rękopis twojemu wydawcy. Odesłał mi go z listem: „Dziękujemy, że się pan do nas zwrócił, ale jesteśmy przeciążeni”. Ja mu jeszcze przeciążę dupę, złamasowi! Niech się udławi własnym gównem!

Wielcy poeci jak świat światem byli zapoznani! Świat boi się wielkich poetów! Kiedyś byłeś wielkim poetą, teraz dałoby się tobą najwyżej opatrzeć wrzoda! Obciążasz własnego ptaszka pod nieboskłonem rzygowin! Sprzedałeś rzeźnikowi własne jaja! Zabiłeś dziecko własnej miłości! Ty małpi wypierdku! Na wieki wieków!

Załączam moje najnowsze utwory...

Podpis kończył się zamaszystą linią w prawo, która zakreślała nad ostatnią literą nazwiska i okalała całość, tworząc coś, co wyglądało jak rysunek twarzy.

Koperta pękała ód wierszy, z których ani jeden nie był przepisany na maszynie. Wszystkie zostały nabazgrane niebieskim atramentem na żółtym, niebiesko żyłkowanym papierze.

Sara przyniosła wino i korkociąg, otwarła butelkę i nalała wina do dwóch kieliszków.

- Charles Manson - powiedziała. - Nic dziwnego, że chcieli tanio wynająć.

- Dobrze, że zapamiętałaś to zdjęcie.

Sara rozłożyła „Herald Examinera”, a ja zabrałem się za pierwszy wiersz:

POETA

mordują poetę

palą poetę

ignorują poetę

nienawidzą poety

ale księżyc zna

poetę

prostytutki znają

cierpienia poety
dają mu za darmo
z nabożeństwem
liżą mu futro
na jajach
poeta
nie umiera

nawet w godzinie śmierci
nie wychodzi z księżyca
podając
wszechświatowi
swój palec!

POETA SIĘ BAWI
cmoktam jej malinowe
cycki
cmoktam włoski
wokół
jej dupy
wylizuję
waniliowy orgazm
o świecie
ona
cmokta palce
u moich stóp
kicham przez kichę
ona śmieje się
zasypiamy.

Nie miałem ochoty zapoznawać się z resztą utworów. Wiedziałem, że wszystkie bez wyjątku będą traktować o POECIE.

Sara podniosła wzrok znad „Examinera”.

- Znowu ktoś ci przysłał wiersze do oceny?

- Tak, 3, 4 razy w miesiącu dostaję taką przesyłkę.
 - Po co? Nie jesteś przecież wydawcą.
 - Kochają mnie i nienawidzą.
 - Jakie są te wiersze?
 - Gorsze, niż mu się wydaje, ale to chyba przypadłość każdego z nas.
 - Dostajesz czasem wiersze od kobiet, prawda?
 - No. Niektóre dołączają rozebrane zdjęcia. Z propozycjami. Wyobrażają sobie, że pomogę im znaleźć wydawcę. Albo mają nadzieję, że skreślę parę słów na okładkę jakiejś niskonakładowej książeczki.
 - Bezwstydne pizdy!
 - Święte słowa!
- Trąciliśmy się kieliszkami i wypiliśmy do dna. Dołałem do pełna.
Druga koperta była od Vina Marbada. Zajrzałem do środka:

STATUT KORPORACJI...

Zacząłem czytać. Całość napisana była prawniczym żargonem, który z trudem udało mi się przełożyć na zwykłą angielszczyznę. Natychmiast odkryłem ustęp, który zupełnie nie przypadł mi do gustu.

W przypadku orzeczenia przez psychiatrę sądowego niepoczytalności Prezesa Korporacji, pozostali członkowie Korporacji mogą większością głosów uchwalić równy podział majątku Korporacji pomiędzy jej członków.

Wziąłem pióro do ręki i przekreśliłem cały ustęp grubymi ciemnymi krechami. Dołałem sobie, uprzednio opróżniwszy kieliszek, i czytałem dalej:

W przypadku uznania Prezesa ww. Korporacji za niezdolnego do pełnienia obowiązków z powodu zażywania narkotyków bądź spożywania napojów wysokowych, bądź też uznania jego aktywności seksualnej za nadmierną i sprzeczną z interesem publicznym i interesem Korporacji, ww. członkom przysługuje prawo przesunięcia Prezesa ww. Korporacji na niższe stanowisko i rozdzielania aktywów Korporacji pomiędzy pozostałych członków.

Wziąłem pióro do ręki i zdecydowanie wykreśliłem ten ustęp. Wróciłem do lektury:

Jeżeli wiek Prezesa Korporacji zostanie uznany za zbyt podeszły...

Skreśliłem ustęp.

W przypadku nałogowego oddawania się grom hazardowym przez Prezesa Korporacji...

Krecha.

Prezes Korporacji jest uprawniony do głosowania na takich samych zasadach, jak pozostali członkowie Korporacji. Głosy wszystkich członków mają jednakową wartość...

Krecha.

Czytałem i czytałem. Włos jeżył się na głowic od tego barbarzyństwa. Byłem przerażony. Było tego z 17 albo 18 stron. Kiedy skończyłem, stronice były z góry na dół pokreślone czarnymi krechami.

Sara przyniosła następną butelkę. Odepchnąłem statut od siebie.

- Święci Pańscy, Święci Pańscy, rzygać się chce od czegoś takiego! Cóż za żałosne wypociny!

- No to nie podpisuj tego szajsu - zaproponowała Sara.

- W życiu - zarzekłem się.

Znalazłem kartkę papieru i napisałem:

Vin!

To jest szatański bełkot. Nie mogę.

Wepchnąłem wszystko razem do załączonej koperty zwrotnej i odłożyłem do wysłania na potem.

- To był długi dzień - zauważyła Sara.

- Charles Manson wcale nie jest jedynym zabójcą - dorzuciłem.

- Przynajmniej załatwił ich na miejscu - stwierdziła Sara. Inni robią to na odległość i trudno ich przyłapać na gorącym uczynku.

- Wypijmy jeszcze trochę, żeby się odnaleźć w naszej rzeczywistości zaproponowałem.
- Chodź, będziemy pili aż do wschodu słońca.
- Naprawdę?
- Jasne, czemu nie?
- Zalałaś się - stwierdziłem. Humor zdążył mi się już poprawić.

12

Moje ówczesne mieszkanie miało parę zalet. Do największych zaliczał się ciemny, ciemny błękit ścian sypialni. Ten ciemny błękit ukoił niejednego kaca. Miewałem kace tak potężne, że omal nie przypląciłem ich życiem, zwłaszcza w okresie, kiedy łykałem prochy. Brałem je od ludzi, których nigdy nie zapytałem, co mi dają.. Bywały noce, kiedy byłem pewien, że umrę, jeżeli nie zasnę. Cała noc chodziłem sani po pustym mieszkaniu, z sypialni do łazienki, z łazienki przez pokój frontowy do kuchni. Dziesiątki razy otwierałem i zamykałem lodówkę, odkręcałem i zakręcałem krany, Spuszczałem wodę. Ciągnąłem się za uszy. Ćwiczyłem wdechy i wydechy. O wschodzie słońca wiedziałem, że nic mi już nie grozi. Zasypiałem wśród głębokiego, uzdrowicielskiego błękitu ścian.

Inną specjalnością mojego mieszkania były wizyty pań wątpliwej konduity. Przychodziły między 3 a 4 rano. Nie były to zbyt powabne damy, ale miałem wtedy na tyle popieprzone w głowie, żeby sądzić, że nadają mojemu życiu rumieńców. W gruncie rzeczy ich wizyty zawdzięczałem temu, że większość z nich nie miała dokąd pójść. Podobało im się, że zawsze było coś do picia, w dodatku niezbyt usilnie zabiegałem o to, żeby wylądowały w moim łóżku.

Kiedy poznałem Sarę, na tym odcinku mojego życia naturalnie wiele się zmieniło.

Okolice Carlton Way, przy Western Avenue, dotychczas zasiedlone niemal wyłącznie przez ubogich Białych, też się zmieniły. Zamieszki polityczne w Ameryce Środkowej i innych częściach świata sprowadziły nowego typu osadnika. Mężczyźni byli niscy, mniej lub bardziej śniadzi, zwykle młodzi. W mieszkaniach i na podwórkach roilo się od żon, dzieci, braci, kuzynów, przyjaciół. Gromadnie zasiedlali mieszkania - byłem jednym z niewielu Białych na naszym podwórku.

Dzieciaki ganiały po alejkach dziedzińca. Wszystkie wyglądały na dwa do siedmiu lat. Nie miały rowerków ani zabawek. Rzadko widywało się, skryte w zaciszu mieszkań, żony. Wielu mężczyzn też nie wyściubiło nosa na zewnątrz. Woleli, żeby właściciel domu nie wiedział, ile osób mieszka w ich mieszkaniu. Przed dom wychodzili nieliczni legalni lokatorzy, a w każdym razie lokatorzy płacący czynsz. Nikt nie wiedział, z czego żyli. Byli mali, chudzi, cisi i zgaszeni. Zwykle wysiadali przygarbieni w podkoszulkach na progu,

ćmiąc papierosa za papierosem. Godzinami siedzieli nieruchomo na progu. Niektórzy kupowali przeraźliwie stare gruchoty i jeździli nimi *wolniutko* po okolicy. Nie mieli ubezpieczenia, nie mieli prawa jazdy, jeździli na nieważnych tablicach. W samochodach zwykle szwankowały hamulce. Kierowcy nigdy prawie nie przystawali przed znakiem stopu ani nie uważali na czerwonych światłach, jednak wypadki zdarzały się rzadko. Coś czuwało nad nimi.

Po pewnym czasie auta rozpadały się, ale moi nowi sąsiedzi nie zostawiali ich na ulicy. Alejkami dziedzińca podjeżdżali pod same drzwi swojego mieszkania i tam stawiali samochód. Najpierw grzebali w silniku. Zdejmowali maskę i silnik rdzewiał na deszczu. Potem ustawiali samochód na ceglach i zdejmowali koła. Brali koła do mieszkania, żeby nikt ich nie ukraść w nocy.

W czasach, kiedy tam mieszkałem, na podwórzu stały dwa rzędy samochodów na ceglach. Mężczyźni nieporuszeni siedzieli w podkoszulkach na progu. Czasem kiwałem im głową albo machałem ręką. Nigdy nie doczekałem się odpowiedzi. Przeczytanie i zrozumienie noty o eksmisji najwidoczniej przekraczało ich możliwości; darli papier na strzępy - co dzień jednak widywałem ich z nosem w miejscowych dziennikach. Byli stoicy i niezwruszeni, bo w porównaniu z miejscem, skąd przybyli, ich obecne życie wydawało się bagatelą.

Zresztą nieważne. Jak o mnie chodzi, nie uciekałem przed nimi, tylko po prostu mój konsultant podatkowy doradził mi zakup domu.

Chociaż, kto wie? Zauważyłem, że z biegiem lat po każdej przeprowadzce lądowałem w Los Angeles coraz dalej na północ i zachód.

Wreszcie, po paru tygodniach poszukiwań, upolowaliśmy dom. Po spłaceniu hipoteki miesięczne raty miały wynosić 789 dolarów i 81 centów. Dom miał wysoki żywoplot i dziedzińiec od frontu, więc był sporo odsunięty od ulicy. Wymarzone miejsce, żeby się zaszyć. W środku były nawet schody i *górką* z sypialnią, łazienką i moim przyszłym pokojem do pracy. Zostawiono w nim stare biurko, starego brzydkiego grzmota. Wreszcie, po kilkudziesięciu latach, miałem zostać pisarzem z własnym biurkiem. Przyznam, że czułem lęk, lęk, że zostanę jednym z *nich*. Co gorsza, podpisałem umowę na scenariusz. Czy byłem przeklęty i wyklęty, czy uda im się mnie wykończyć? Nie sądziłem, żeby tak miało być. Co to jednak wiadomo?

Przywieźliśmy z Sarą nasz skromny dobytek.

Nadeszła wielka chwila. Ustawiłem maszynę na biurku, wkręciłem papier w wałek i uderzyłem w klawisz. Maszyna pisała jak złoto. W dodatku miałem mnóstwo miejsca na

popielniczkę, radio i butelkę. Nie dajcie sobie wcisnąć, że tak nie jest. Życie zaczyna się po sześćdziesiątce piątce.

13

Dla Marina del Rey nadeszły ciężkie czasy. Jon Pinchot przemieszczał się zielonym pontiakiem rocznik 1968 ze składanym dachem, a François Racine jeździł brązowym fordem rocznik 1958. Obaj mieli też motocykle kawasaki - 750 i 1000 cm³.

Wenner Zergog pożyczył raz forda rocznik 58. Jeździł bez wody w chłodnicy, dopóki nie pękł blok silnika.

- Wenner jest geniuszem - wyjaśnił Jon. - Nie zna się na takich rzeczach.

Motocykle pierwsze poszły na sprzedaż. Rocznik 58 jeździł tylko na krótkich trasach.

W końcu François Racine zebrał manatki i wyjechał do Francji. Jon sprzedał forda rocznik 58.

A potem, rzecz jasna, nadszedł dzień, kiedy zadzwonił telefon. Na linii był Jon.

- Muszę się wynieść. Będą burzyć mój dom i stawiać hotel, czy coś w tym rodzaju. Nie wiem, cholera, co mam robić. Chciałbym zostać w mieście, żeby się dogadać z jakimś producentem. Jak się posuwa praca?

- Jakoś idzie...

- Wygląda na to, że znalazłem jednego gościa w Kanadzie. Chyba podpiszę z nim umowę. Tymczasem muszę się wyprowadzić. Spychacze już są w drodze.

- Słuchaj, Jon, możesz zatrzymać się u mnie. Mamy wolną sypialnię na dole.

- Mówisz serio?

- Jak najbardziej...

- Nie będzie mnie przez większość dnia. W ogóle nie poczujesz, że masz gościa.

- Trzymasz jeszcze tego pontiaka rocznik 68?

- Tak...

- No to ładuj graty i przyjeżdżaj.

Zszedłem na dół.

- Jon wprowadza się na jakiś czas powiedziałem Sarze.

- Co?

- Jon Pinchot. Wyburzają jego dom. Będzie u nas mieszkał przez jakiś czas.

- Hank, wiesz dobrze, że nie znosisz mieszkać z obcymi. Zwariujesz od tego.

- Wprowadza się tylko na trochę...

- Będziesz pisał na maszynie na górze, a on będzie nasłuchiwał na dole. Obaj tego nie wytrzymacie.

- Już ja zadbam o to, żebyśmy wytrzymali. W końcu Jon zapłacił mi za tę robotę.
- Powodzenia. - Odwróciła się i wyszła do kuchni.

Pierwsze dwa wieczory nie były najgorsze. Jon i Sara po prostu pili i gadali. Jon opowiadał rozmaite historie, głównie o kłopotach z aktorami i o tym, jak stawał na głowie, żeby zmusić ich do grania. Jeden koleś, na przykład, w połowie zdjęć zniecka odmówił otwierania ust. Zgadza się na próby, ale bez tekstu. Żąda, żeby jedna ze scen została nakręcona według jego pomysłu. Siedzieli w samym sercu dżungli, tracąc czas i pieniądze.

- Dobra, niech będzie po twojemu - ustąpił w końcu Jon.

Aktor odegrał scenę po swoim, z własnym dialogiem. Jednego nie wiedział - w kamerze nie było taśmy. Więcej nie mieli z nim żadnych kłopotów.

Drugiego wieczora wino popłynęło szeroką strugą. Ja też zabrałem się za opowieści, głównie stare dzieje, które dawno temu opisałem. Było już po północy, kiedy Jon powiedział:

- Gizelle zakochała się w reżyserze z jednym jajcem...

Gizelle była paryską narzeczoną Jona.

- Strasznie mi przykro - powiedziałem.

- Co gorsza, okazało się, że ma raka. Drugie jajco też mu wycięli. Gizelle zupełnie szaleje.

- To rzeczywiście pech.

- Właśnie, właśnie... Piszę do niej, wydzwaniam... robię co mogę. W dodatku są akurat w połowie zdjęć...

(Wszystko zawsze działo się w połowie zdjęć.) Gizelle była we Francji znaną aktorką. Mieli z Jonem wspólne mieszkanie w Paryżu.

Próbowaliśmy pocieszyć Jona. Jego dziewczyna rzeczywiście miała pecha. Jon rozpakował długie cygaro, polizał, odgryzł koniuszek, zaciągnął się i wypuścił pierwszy pióropusz egzotycznego dymu.

- Wiesz co, Hank, zawsze czułem, że napiszesz dla mnie scenariusz. Są takie rzeczy, które człowiek po prostu wie. Ja już od dawna wiedziałem. I od dawna starałem się o forszę na ten cel, na długo przed tym, zanim zgłosiłem się do ciebie.

- A jeśli napiszę bardzo kiepski scenariusz?

- Niemożliwe. Przeczytałem wszystko, co dotąd napisałeś.

- To przeszłość. Wśród pisarzy spotyka się więcej minionych świetności niż w jakimkolwiek innym fachu.

- To się nie odnosi do ciebie.
- On chyba ma rację, Hank - wtrąciła Sara. - Jesteś po prostu urodzonym pisarzem.
- Ale *scenariusz!* Jakbym, kurwa, jeździł całe życie na wrotkach, a tu nagle wypychają mnie na lodowisko!
- Dasz sobie radę. Wiem, że dasz sobie radę. Byłem tego pewien już w Rosji.
- W Rosji?
- Tak, zanim się z tobą spotkałem, pojechałem do Rosji załatwić pieniądze na realizację scenariusza, który miałaś napisać.
- A o którym ja jeszcze nic nie wiedziałem?
- Otóż to. Nikt oprócz mnie nie wiedział. Wracając do rzeczy: z poufnych źródeł dowiedziałem się, że w Rosji mieszka kobieta, która ma 80 milionów dolarów w banku szwajcarskim.
- Brzmi jak scenariusz kiepskiego filmu sensacyjnego.
- Wiem o tym. Jednak postanowiłem spróbować. Mam niezawodne źródło informacji tego typu. Nie mogę więcej zdradzić...
- Wolimy nic nie wiedzieć - uprzedziła Sara.
- No więc skombinowałem adres tej damy. Zaczęły się mozolne podchody. Na początku pisałem do niej listy...
- Jakie listy? - zainteresowała się Sara. - Czy dołączałeś swoje akty en face?
- A może fotografowałeś się od tyłu? - podsunąłem.
- Nie od razu. Z początku pisałem do niej w oficjalnym tonie. Opisałem, jak w przedziwnych okolicznościach znalazłem w pewnej szafie w Paryżu jej adres nagryzmołony na skrawku papieru ukrytym w pudle na buty. Podsunąłem jej, że w naszym spotkaniu maczało palce Przeznaczenie. Nie masz pojęcia, ile pracy włożyłem w te listy.
- To wszystko robiłeś po to, żeby zdobyć pieniądze na produkcję filmu?
- Nie takie rzeczy robiłem!
- Zabiłbyś dla sprawy?
- Proszę, nie zadawaj takich pytań. W każdym razie słałem do niej list za listem, powoli przerzucając się na ton listów miłosnych.
- Nie wiedziałam, że znasz rosyjski zdziwiła się Sara.
- Pisałem po francusku. Dama miała swoją tłumaczkę. Odpisywała mi po rosyjsku, a tłumaczka przekładnia listy na francuski.
- Takiego chwytu nie użyliby w najpodlejszej szmirze - skomentowałem.

- Zgadza się. Ale myślałem o tych 80 milionach w banku szwajcarskim i moje listy nabierały coraz większej doskonałości. Listy miłosne. Namiętne i żarliwe.

- Strzel sobie jeszcze - powiedziałem, napełniając mu kieliszek.

- No więc zaprosiła mnie wreszcie, żebym ją poznał. I nagle ni stąd, ni zowąd znalazłem się pośród śniegów Moskwy...

- Śniegów Moskwy...

- Dostałem pokój, w którym KGB zainstalowało podsłuch. Wygląda na to, że mieli podsłuch nawet w ubikacji. Mogli słuchać, jak wyciskam gównno.

- Mam wrażenie, że to raczej ty usiłujesz nam *wcisnąć* jakieś gównno...

- Nic podobnego, posłuchajcie... Umówiłem się wreszcie na spotkanie z damą. Poszedłem pod wskazany adres i zastukałem. W drzwiach stanęła *przepiękna* dziewczyna. W życiu nie widziałem równie *pięknej* dziewczyny.

- Zlituj się, Jon, na miłość boską...

- Niestety, to nie była *dama*, tylko jej tłumaczka.

- Jon - zaniepokoiła się Sara - co ty jeszcze piłeś oprócz tego wina?

- Nic! Absolutnie nic! To wszystko *prawda*. Wchodzę do pokoju, a tam siedzi ta stara jędza, cała w czerni. Nie ma ani jednego zęba, za to cała twarz w brodawkach. Podeszedłem do niej, skłoniłem się, wziąłem ją za rękę, przymknąłem oczy i pocałowałem. Tłumaczka przypatrywała się nam ze swojego stolka. „Chciałbym zostać sam na sam z *tobą*” - zwróciłem się do tłumaczki. Powiedziała coś do starej, po czym przemówiła do mnie. „Metra też pragnie zostać z tobą sam na sam, ale w cerkwi. Metra jest bardzo pobożna.” „Czuję, że jestem w tobie zakochany” - powiedziałem do tłumaczki. Tłumaczka powiedziała coś do starej. Stara odpowiedziała tłumaczce. „Metra nie wyklucza wzajemności, ale najpierw musisz z nią pójść do cerkwi”. Skinąłem głową na znak zgody. Stara dama powoli podniosła się z fotela. Wyszliśmy razem z pokoju, zostawiając tę młodą, piękną dziewczynę...

- Ta pieprzona opowieść mogłaby trafić Oscara - stwierdziłem.

- Daruj sobie. Wiesz przecież, że robiłem to dla pieniędzy na twój przyszły scenariusz.

- Wiem. Proszę cię, Jon, nie przerywaj sobie. Co było dalej?

- No dobra, idziemy do tej cerkwi, klękamy w ławkach. Nie chodzę do kościoła. Klęczymy przez jakiś czas w milczeniu. Wreszcie Metra ciągnie mnie za połą. Wstajemy i podchodzimy do ołtarza. Ołtarz tonie w świecach. Niektóre się palą, większość jest pogaszona. Wargi Metry drżą, strumyczek śliny spływa z kącików ust, niknąc w zmarszczkach. Wierzcie mi, proszę, że nie mam nic, ale to nic przeciwko starości!

Dlaczego jednak niektórzy starzeją się o tyle gorzej od innych? - Nie mam pojęcia - przyznałem - ale odnoszę wrażenie, że ludzie, którzy nie myślą zbyt wiele, wyglądają młodziej.

- Nie wydaje mi się, żeby ona zbyt wiele myślała... W każdym razie po zapaleniu tych wszystkich świec znów się podnieciła. Łapie mnie za rękę i ją miażdży. To była niezwykle krzepka staruszka. Ciągnie mnie pod figurę Chrystusa...

- Tak...

- Puszczą moją rękę, klęka i zaczyna całować stopy posągu. Odlatuje na amen. Obsłania każdziutki palec. Drży w uniesieniu. Wreszcie podnosi się z klęczek, bierze mnie za rękę i zaczyna popychać w stronę stóp figury. O, kurwa, pomyślałem, ale potem przypomniałem sobie o 80 milionach dolarów, ukląknę i ucałowałem stopy. Jak się domyślacie, w Rosji tych stóp za bardzo się nie myje. Ślina Metry... i kurz... Najwyższym wysiłkiem woli zmusiłem się do pocałunku. Wstałem z klęczek. Metra z powrotem prowadzi mnie do ławki. Znowu klękamy. Nagle łapie mnie i zaczyna całować w usta. Zrozumcie, nie mam nic przeciwko podeszłemu wiekowi, ale to było tak, jakbym całował dół kloaczny. Żołądek podjechał mi do gardła. Podeszedłem do konfesjonału, rozsunąłem zasłonki, wszedłem do środka, ukląknę i puściłem pawia. Podniosłem się z klęczek. Razem wyszliśmy z cerkwi. Odprowadziłem ją pod drzwi. Kupiłem butelkę wódki i wróciłem do pokoju hotelowego.

- Wiem, ale zaczekaj. To jeszcze nie koniec. Pijąc wódkę, przemyślałem wszystko od a do zet. Zdecydowałem się nie wycofywać. Stara niewątpliwie była szurnięta. Czy kto widział, żeby całować się w cerkwi? Chyba że na ślubie. A więc tak sprawy wyglądają...

- Pocałowali się, a, potem żyli długo szczęśliwie, co? - odgąłem.

- Widzisz, chciałem sobie zagwarantować te 80 milionów. Wykończyłem butelkę i zabrałem się za długi miłosny list do Metry. Pisząc, cały czas myślałem o tłumacze. Wyszedł mi całkiem niezły list. Między miłosnymi wyznaniem wyjaśniłem, że chciałbym nakręcić film o nas dwojgu i że słyszałem o jej konczie w Szwajcarii, z którym zresztą moja wizyta w Moskwie nie ma *nic a nic* wspólnego, tyle tylko że nie mam dostatecznych funduszy, żeby przenieść historię naszej miłości na ekran i udostępnić szerokiej publiczności oraz czcicielom Chrystusa.

- I to wszystko po to, żeby zdobyć pieniądze na realizację scenariusza, którego Hank nie tylko że jeszcze nie napisał, ale nawet nie wiedział o jego istnieniu? - zdumiała się Sara.

- Dokładnie - potwierdził Jon.

- Chyba zwariowałeś - zawyrokowałem.

- Być może. W każdym razie starsza pani dostała mój list miłosny. Odniosłem wrażenie, że zgodziła się pojechać ze mną do Szwajcarii, żeby wyjąć pieniądze z konta. Szykowaliśmy się do podróży. Tymczasem dwukrotnie wybraliśmy się całować stopy Chrystusa, palić dziesiątki świec i wymieniać buziaki. Nagle... dzwoni moja informatorka. Kobieta, która ma 80 milionów w Szwajcarii, nazywa się tak samo i jest w tym samym wieku co moja starucha, ale przyszła na świat w innym mieście, w zupełnie innej rodzinie. Zaszedł idiotyczny zbieg okoliczności. W Moskwie nie miałem już czego szukać. Dałem się wpuścić w maliny. Za pieniędzmi musiałem się rozglądać gdzie indziej...

- Ja cię chromolę! To jedna z najsmutniejszych historii, jakie w życiu słyszałem - musiałem przyznać.

- W dodatku, niestety, prawdziwa - uzupełnił Jon.

- Co ci każe znosić tak wiele w imię robienia filmów? - zaciekała się Sara.

- Kocham tę robotę - wyznał.

14

W parę dni później pojechaliśmy znowu do studia Danny Servera w Venice.

- Jeden gość zrobił film o piciu i szlajaniu się - powiedział Jon. - Moglibyśmy zobaczyć, jak mu poszło.

Pojechaliśmy do Venice, Jon, Sara i ja. Widownia była już zapełniona, bar natomiast był zamknięty.

- Bar jest zamknięty - poskarżyłem się Jonowi.

- Owszem - potwierdził.

- Słuchaj, musimy zdobyć coś do picia.

- Monopolowy jest o przecznice stąd w stronę plaży, po drugiej stronie ulicy.

- Zaraz wracamy.

Dotarliśmy pod wskazany adres, kupiliśmy 2 butelki czerwonego i korkociąg. W drodze powrotnej dwa razy zatrzymano samochód z prośbą o datek. Zajechaliśmy pod studio. Pchnąłem drzwi. Weszliśmy do środka. Było ciemno. Film już się zaczął.

- Cholera - zakląłem. - Nic nie widzę. Ciemno jak w dupie.

Ktoś syknął na mnie.

- Nawzajem - odpowiedziałem.

- Czy byłby pan *laskaw się uciszyć* - zażądała jakaś kobieta.

- Spróbujmy usiąść w pierwszym rzędzie - zaproponowała Sara. - Nie jestem pewna,

ale wydaje mi się, że widzę kilka miejsc.

Brnęliśmy w ciemnościach do przodu. Potknąłem się o czyjąś nogę.

- Skurwysynu - odezwał się łagodny męski głos.

- Pierdol się - poradziłem mu.

W końcu udało się nam wypatrzeć dwa wolne siedzenia. Usiedliśmy. Sara wyciągnęła papierosy i zapalniczkę, ja w tym czasie odkorkowałem butelkę. Przypaliła dla nas 2 papierosy.

Facet, który napisał scenariusz filmu *Powrót z Hadesu*, miał kiedyś swój serial w telewizji, jeden z tych, co to się ogląda całymi rodzinami. Pal Sellers. Serial ciągnął się latami, ale Pat padł ofiarą nałogu i wkrótce serial również padł. Rozwód. Rozpad rodziny i domu. Pat poszedł w tango. Teraz ogłosił swój powrót, Nakręcił film. Zerwał z nałogiem. Jeździł z pogadankami, które miały pomóc takim samym jak on.

Golnąłem wina i podałem butelkę Sarze.

Zacząłem oglądać film. Rzecz działa się w tak zwanym rynsztoku. Była noc, zapłonęło małe ognisko. Mężczyźni i kobiety, jak na obywateli rynsztoka, byli ubrani całkiem niczego sobie. Prawdę mówiąc, wcale nie wyglądali na włóczęgów. Wyglądali jak ludzie, którzy występują w filmach hollywoodzkich, wyglądali na aktorów tv. Każdy taszczył swoje ziemskie dobra na własnym wózku z supermarketu. Nowiuteńkie wózki migotały w blasku ognia. W żadnym supermarkecie nie spotkałem równie nowych wózków. Musiały zostać zakupione specjalnie na potrzeby filmu.

- Daj butelkę - poprosiłem Sarę.

Uniosłem szkło wysoko do góry i tego golnąłem. Rozległ się jeden syk, po nim drugi.

- Strasznie niemiła publiczność - powiedziałem do Sary. - Co im się wszystkim porobiło?

- Nie mam pojęcia.

Tymczasem na ekranie, wśród tłumu z niklowanymi wózkami, w blasku ognia przemawiał mężczyzna. Pozostali przysłuchiwali się jego słowom.

- ...Budziłem się w nieznanym łóżku, nie wiedziałem, gdzie jestem... Wkładałem ubranie i szedłem na poszukiwanie samochodu. Czasem szukałem wozu godzinami...

- To prawda! - ucieszyłem się. - Coś takiego zdarzało mi się setki razy.

- ...Wychodziłem z jednego ciągu i zaraz wpadałem w następny... Często ocykałem się bez portfela... Kopniakiem wybito mi zęby... Byłem skończony... skończony... skończony... Wreszcie nadszedł dzień, kiedy Mike, mój kumpel od kielicha, po pijanemu zginął w wypadku samochodowym... coś się we mnie zmieniło...

Sara pociągnęła z gwinta.

- Znalazłem spokój wewnętrzny... Dobrze sypiam... Funkcjonuję znowu jak człowiek... Upajam się teraz Chrystusem, to mój nałóg, potężniejszy niż wszystkie trunki, jakie szatan zesłał na Ziemię!

Łzy zalśniły w oczach słuchaczy.

Golnąłem kolejny raz.

Mężczyzna zaczął recytować:

Z nałogu szpony

Oswobodzony.

Wczoraj stracony.

Dziś odrodzony.

Z braćmi zwaśniony.

Dziś pogodzony.

Z nałogu szpony

Oswobodzony...

Skinął głową, a słuchacze zaczęli bić brawa.

Teraz przemówiła jedna z kobiet. Pić zaczęła na przyjęciach, dalej już poszło samo. Piła w domu do lustra. Kwiatki w doniczkach poschły, bo zapomniała je podlać. W sprzeczce pocięła córkę obierakiem do jarzyn. Jej mąż też zaczął się upijać. Stracił pracę. Zaczął przesiadywać w domu. Pili razem. *Jego* też w końcu pocięła obierakiem do jarzyn. Pewnego dnia wsiadła po prostu w samochód i odjechała, uwożąc walizkę i karty kredytowe. Piła w motelach. Paliła, piła i oglądała tv. Wódka. Uwielbiała wódkę. Którejś nocy zaproszyła łóżko ogniem. Do motelu przyjechała straż pożarna. Kobieta miała na sobie tylko koszulę nocną, była zalana w trupa. Jeden ze strażaków uszczypnął ją w pośladek. Tak jak stała, w koszuli nocnej, nie biorąc nic oprócz torebki, wskoczyła do samochodu. Jechała przed siebie w jakiejś oćmie. W południe następnego dnia znalazła się na skrzyżowaniu Czwartej i Broadway. W czasie jazdy poszły jej dwie dętki. Opony pospadały i jechała na samych obręczach, żłobiąc głębokie koleiny w asfalcie. Zatrzymał ją policjant. Została zapudłowana - dla obserwacji. Dni mijały jeden za drugim. Ani mąż, ani córka nie zjawili się. Była sama. Któregoś dnia siedziała z lekarzem od czubków. „Dlaczego chcesz się koniecznie zniszczyć?” - zapytał ją, Kiedy powiedział te słowa, ujrzała nagle, że to nie twarz psychiatry spogląda na nią, lecz twarz Chrystusa.

- Po czym poznała, że to jest twarz Chrystusa? - spytałem na głos.

- Co to za facet? - zainteresował się ktoś z sali.

Butelka zaświeciła dnem. Odkorkowałem następną.

Następny koleś zaczął *swoją* opowieść. Ognisko paliło się bez końca. Nikt nie dorzucił nawet gałązki. Nie dosiadł się żaden nowy włóczęga. Opowieść dobiegła końca. Koleś sięgnął do wózka i wyjął bardzo kosztowną gitarę.

Łyknąłem i podałem wino Sarze.

Koleś nastroił gitarę, po czym zaczął śpiewać przy jej akompaniamencie. Śpiewał czystym, dobrze wyszkolonym głosem. Śpiewał i śpiewał.

Kamera panoramowała po twarzach zebranych. Na twarzach malowało się uniesienie, po jednych płynęły łzy, po innych błąkał się piękny, łagodny uśmiech. W końcu śpiewak umilkł, nagrodzony gorącym, radosnym aplauzem.

- Jak żyję, nie widziałem takiego rysztoła - powiedziałem do Sary.

Film toczył się dalej. Przemawiali kolejni aktorzy. Ujawniły się następne kosztowne gitary. Istny wieczorek gitarowy. Wreszcie nastąpił finał w wielkim stylu. Po niebie przeleciała spadająca gwiazda. Gwiazda spadała łukiem.

Wszyscy umilkli na moment. Potem jakiś facet zaczął śpiewać. Po chwili dołączyła się kobieta, potem jeszcze inne głosy. Wszyscy znali słowa pieśni. Pojawiły się liczne gitary. Zabrzmiały wzniosły chór jedności i nadziei. Pieśń wybrzmiała. Film dobiegł końca. Okazało się, że w sali jest niewielka scenka. Gramolił się na nią Pat Sellers. Rozległy się oklaski.

Pat Sellers wyglądał koszmarnie. Ospały, martwy, bez życia. Powiódł pustym spojrzeniem i przemówił.

- Od 595 dni nie miałem w ustach alkoholu...

Rozległy się szaleńcze brawa.

- Jestem alkoholikiem na odwyku... Wszyscy jesteście alkoholikami na odwyku...

- Chodźmy stąd! - poprosiłem Sarę.

Dopiliśmy wino i ruszyliśmy do wyjścia. Doszliśmy do samochodu.

- Kurwa mać - zakląłem. - Gdzie się podział Jon? Dlaczego go tutaj nie ma?

- Na pewno oglądał już ten film - uspokajała mnie Sara.

- Wrobił nas. To nawet niezły żart, jak się nad tym chwilę zastanowić.

- Ci tam, na sali, to byli sami Anonimowi Alkoholicy...

Wsiadliśmy do samochodu i popruliśmy w stronę autostrady.

Moim zdaniem większość pijących wcale nie jest alkoholikami, tylko się za takich *uważa*. Alkoholizm to proces, którego nie sposób przyspieszyć. Potrzeba najmniej

dwudziestu lat, żeby zostać przyzwoitym alkoholikiem. Ja piłem 45. rok i czułem, że dobrze wykorzystałem te lata.

Wskoczyliśmy na autostradę i zawróciliśmy do rzeczywistości.

15

Dalej wisiał nade mną scenariusz. Siedziałem na piętrze, wpatrując się w mojego IBM - a. Sara była w sypialni za ścianą, po prawej stronie. Jon oglądał telewizję na dole.

Po prostu siedziałem i tyle. Zdążyłem już wypić pół butelki wina. Nigdy dotąd nie miałem tego rodzaju problemów. Pisanie szło mi zawsze jak z płatka. Przez kilkadziesiąt lat nie zaznałem twórczej niemocy. Słuchałem radia i popijałem, a słowa przychodziły do mnie same.

Wiedziałem, że Jon nasłuchuje dźwięków maszyny. Powinienem zacząć pisać cokolwiek. Wziąłem się za list do kolegi, który wykłada angielski na uniwersytecie stanowym w Long Beach. Korespondujemy ze sobą od paru dziesiątek lat.

Zacząłem pisać:

Sie masz, Harry!

Co u ciebie? U mnie koniki się spisują. Ciężko skacowany dotarłem na tor na drugą gonitwę i trafiłem fuksa płaconego 10 do 1. Przestałem się posługiwać „Przewodnikiem wyścigowym”. Widzę, że prawie wszyscy go studiują i każdy prawie przegrywa. Oczywiście opracowałem nowy system, którego nie mogę ci zdradzić. Myślę, że gdybym skończył się jako pisarz, dałbym radę wyżyć z toru. Dobra, niech będzie. Zdradzę ci mój system. Chcesz? No więc: kupuję gazetę, jakąkolwiek gazetę. Staram się każdego dnia kupować inny tytuł, żeby wyrwać bogów z letargu. Z gazety wybieram dowolnego handikapera, po czym ustawiam konie w kolejności według jego oceny handikapu. Powiedzmy, że w gonitwie bierze udział 8 koni. W moim programie przy każdym koniu zaznaczam jego kolejność według handikapu.

Na przykład:

koń 1, 7

koń 2, 3

koń 3, 5

koń 4, 1

koń 5, 2

koń 6, 4

koń 7, 8

koń 8, 6

Na czym polega system? Otóż wybieram konie, których kolejność według gry wyprzedza kolejność według handicapu. Jeżeli takich koni jest więcej, wybieram tego, u którego różnica pozycji jest największa. Na przykład koń numer 1, siódmy w handikapie, grany 4 do 1, będzie lepszy niż koń numer 6, czwarty w handikapie, grany 3 do 1. System ten ma jeden wyjątek. Kiedy na przykład koń czwarty w handikapie jest grany poniżej 1, czyli 4/5 albo i niżej, wtedy trzeba sobie odpuścić gonitwę, o ile nie ma innych przeciwwskazań. Grając wyłącznie na faworytów, zawsze tracisz.

Wpadłem na mój system w następujący sposób. Na studiach mieliśmy wojsko. Obowiązkową lekturą była *Encyklopedia broni*. Jeden z fragmentów tej opasłej książki był poświęcony artylerii. Był rok 1936 i, jak zapewne pamiętasz, *nie było* jeszcze radarów ani urządzeń naprowadzających. Książka zresztą została najprawdopodobniej napisana na potrzeby pierwszej wojny światowej, chociaż mogła też zostać opracowana później, trudno mi powiedzieć. Dość, że pociski artyleryjskie wystrzeliwano na zasadzie umowy zbiorowej.

- No, Larry, jaka jest według ciebie odległość między nami a wrogiem? - pytał kapitan.
- 625 jardów, panie kapitanie.
- Mike?
- 400 jardów, panie kapitanie.
- Barney?
- 100 jardów, panie kapitanie.
- Slim?
- 800 jardów, panie kapitanie.
- Bill?
- 300 jardów.

Kapitan sumował jardy i dzielił przez liczbę zapytanych. W tym wypadku odpowiedź wynosiła 445 jardów. Ładowali pocisk i zwykle robili poważne szkody w szeregach nieprzyjaciela.

Minęło kilkadziesiąt lat. Pewnego dnia siedziałem na torze i nagle przyszedł mi do głowy pomysł, żeby posłużyć się systemem artyleryjskim na wyścigach. System sprawdził się wielokrotnie, problem polegał i nadal polega na naturze ludzkiej: każda rutyna nudzi się po jakimś czasie i zmusza do poszukiwań w innym kierunku. Ja sam mam chyba ze 25 systemów, a wszystkie są oparte na jakiejś wariackiej logice. Lubię się przerzucać z systemu na system.

Na pewno umierasz z ciekawości, jakim cudem w drugiej gonitwie trafiłem tego fuksa płaconego 10 do 1? Rzecz zasadza się na tym, że odnotowuję ocenę handikapu przed wycofaniami. Mój koń przed wycofaniami był szesnasty w handikapie. Kiedy poszedł 10 do 1, okazało się, o dziwo, że ma największą różnicę między pozycją według handikapu a pozycją według gry. Mam nadzieję, że dobrze się miewasz i studentki nie dają ci zbyt popalić, a może właśnie tego powinienem ci życzyć. Aha, czy to prawda, że Celine i Hemingway umarli tego samego dnia?

Mam nadzieję, że miewasz się dobrze...

Niech beczą przez ciebie,

tfuj

Henry Chinaski

Wyjąłem list z maszyny, złożyłem, starannie wykaligrafowałem adres na kopercie, włożyłem list do środka, znalazłem znaczek i już miałem dosyć pisania na ten wieczór. Usiadłem, osuszyłem butelkę do dna, odkorkowałem następne wino i zszedłem na dół.

Jon siedział przy zgaszonym telewizorze. Przyniosłem dwa kieliszki i siadłem obok niego. Nalałem wina.

- Stukałeś jak szalony - pochwalił Jon.

- Pisałem list. List?

- Napij się.

- Dziękuję.

Łyknęliśmy obaj.

- Jon, zapłaciłeś mi za ten cholerny scenariusz...

- Oczywiście, że ci zapłaciłem...

- Nie jestem w stanie pisać. Siedzę na górze i próbuję pisać scenariusz, a ty siedzisz na dole i słuchasz maszyny. Trudno mi jest...

- Mogę wychodzić na wieczór.

- Słuchaj, będziesz się musiał wyprowadzić. Dłużej tego nie wytrzymam! Bardzo mi przykro, stary! Jestem świnia, skończona świnia. Czy istnieją nieskończone świnie? W każdym razie musisz sobie znaleźć jakieś inne mieszkanie. Nie mogę pisać w tych warunkach. Widocznie nie jestem prawdziwym mężczyzną.

- Rozumiem cię.

- Naprawdę?

- Jasne. Ale tak czy tak, miałem zamiar się wyprowadzić.

- Co?

- François wraca. Skończył robotę we Francji. Chcemy coś znaleźć na spółkę. Zacząłem się już rozglądać. Prawdę mówiąc, chyba już coś dzisiaj znalazłem. Nie chciałem ci po prostu zawracać głowy...

- Ale czy wy dacie sobie radę?

- Mamy forszę. Połączyliśmy nasze zasoby.

- O Jezuu, więc wybaczasz mi, że chciałem cię wyrzucić na bruk?

- Nie mam ci czego wybaczać. Martwiłem się tylko, jak ci powiedzieć, że muszę się wyprowadzić.

- Nie robisz aby starego pijaczyny w konia?

- Gdzie tam. A napisałeś chociaż cokolwiek?

- Odrobinkę.

- Mógłbym zobaczyć?

- Jasne, stary.

Poszedłem na górę, przyniosłem kartki maszynopisu i położyłem na stoliku. Potem znowu poszedłem na górę, do sypialni.

- Saro, zejdź do nas, mamy małe święto.

- Jakie znów święto?

- Jon się wyprowadza. Znów będę w stanie pisać.

- Czy bardzo go uraziłeś?

- Chyba nie. Rozumiesz, François wraca i będą czegoś szukać na spółę.

Zeszliśmy na dół. Sara dostała swój kieliszek. Jon siedział z nosem w scenariuszu.

Widząc mnie, wybuchnął śmiechem.

- Genialne! Wiedziałem, kurwa, że będzie genialne!

- Nie robisz aby starego pijaczyny w konia?

- Coś ty. Nigdy w życiu.

Sara usiadła i w milczeniu wypiliśmy po jednym.

- Dzwoniłem do François od Wennera Zergoga - odezwał się Jon po przerwie. - Okazało się, że znów narozrabiał i go wylali. Zapłacili mu za kilka dni zdjęciowych i wylali. To samo co zawsze.

- To znaczy co? - zainteresowała się Sara.

- Jest wspaniałym aktorem, ale od czasu do czasu coś mu odbija. Wypina się wtedy na scenariusz, olewa scenę, którą właśnie kręci, i zajmuje się własnymi sprawami. Moim zdaniem to jakaś choroba. Musiało mu znowu odbić. Wylali go z filmu.

- Jak to wygląda? - spytałem.

- Zawsze tak samo. Na początku zachowuje się jakby nigdy nic. Potem przestaje się stosować do poleceń. Mówię mu: „Staniesz tu i tu i powiesz swoją kwestię”. Nic z tego. Staje zupełnie gdzie indziej i mówi coś innego. Kiedy się go pytam: „Po co to robisz?”, odpowiada: „Nie wiem, pojęcia nie mam”. Któregoś razu podczas ujęcia odszedł na bok, spuścił spodnie i wypiął się. Pod spodem nie miał gatek.

- O, kurde - zdumiałem się.

- Albo zaczyna wygłaszać kwestie w rodzaju: „Powinniśmy przyspieszać biologiczny proces umierania”. Albo: „Każda ludzka istota pomniejsza moją wartość”.

- To jakiś niezły gość.

- O, bez wątpienia...

Piliśmy do białego rana, do bielutkiego rana.

Zbudziłem się koło południa. Zszedłem na dół i zastukałem do Jona. Nikt nie odpowiadał. Nacisnąłem klamkę. Jon ulotnił się, zostawiwszy karteczkę:

Drogi Hanku i droga Saro!

Dzięki za drinki i całą resztę. Podjęliście mnie po królewsku.

Hank, twój scenariusz utwierdza moją wiarę w ciebie, a nawet więcej. Proszę, nie ustawaj w pracy.

Przedzwonię niedługo podać nowy adres i telefon.

Zaczyna się cudowny dzień. Dziś urodziny Mozarta. Przez cały dzień będą nadawać przepiękną muzykę...

wasz

Jon

Po przeczytaniu kartki poczułem się szlachetny a zarazem potworny, czyli dokładnie tak samo, jak czuję się na co dzień. Poszedłem na górę, wyszczałem się, wyczyściłem zęby i położyłem się w łóżku obok Sary.

Jon przestał mnie podsłuchiwać z dołu i scenariusz od razu ruszył z kopyta. Pisałem o młodym człowieku, który chciał pić i pisać, ale wiodło mu się głównie z butelką. Pierwowzorem młodzieńca byłem ja sam. Mimo że w tamtym okresie nie czułem się nieszczęśliwy, żyłem zawieszony w próżni i oczekiwaniu. W trakcie pisania przed oczyma stanęli mi bywalcy pewnego baru. Znów widziałem każdą twarz, sylwetkę, słyszałem głosy

i rozmowy. Był jeden bar, który miał dla mnie szczególny, makabryczny powab. Wyteżyłem pamięć. Odżyły wspomnienia walk, które staczałem na sali z barmanem. Nie byłem dobrym zawodnikiem. Raz, że miałem niewielkie dłonie, dwa, że byłem niedożywiony, solidnie niedożywiony. Byłem jednak dość odważny i nie najgorzej przyjmowałem ciosy. Mój problem polegał w głównej mierze na tym, że nie potrafiłem się naprawdę wściec, nawet wtedy, kiedy wydawało się to kwestią życia lub śmierci. Walczyłem na niby. Zależało mi, ale tak jakby mi nie zależało. Walki z barmanem należały do tradycji baru. Zasłużeni bywalcy, wąskie elitarne grono, przypatrywali się nam przychylnym okiem. Mnie mieli za outsidera. Trzeba oddać sprawiedliwość alkoholowi - nie przeżyłbym tych walk na trzeźwo. Kiedy piłem, moje ciało nabierało konsystencji gumy, za to głowa robiła się twarda jak beton. Rano, po bójkę, miałem najwyżej zwichnięte nadgarstki, spuchnięte wargi i potłuczone kolana. No i jeszcze guzy na głowie od upadków. Nie miałem pojęcia, jak z tego zrobić scenariusz. Wiedziałem tyle tylko, że był to jedyny okres mojego życia, o którym napisałem dotąd niewiele. Jestem głęboko przeświadczony, że miałem wtedy bardzo dobrze w głowie, ja i cała reszta. Pamiętam całą rasę zagubionych istot, których życie dniem i nocą toczyło się w barach, przez lata, aż do śmierci. Na temat tej rasy nigdy nic nie przeczytałem, postanowiłem więc opisać ją taką, jaka została mi w pamięci. Stara dobra maszyna rozklekotała się na nowo.

Następnego dnia, koło południa, zadzwonił telefon. Mówił Jon.

- Znalazłem dom. François jest ze mną. Piękny dom, *dwie* kuchnie, w dodatku czynsz śmiesznie niski.

- Gdzie mieszkacie?

- W getcie w Venice. Brooks Avenue, sami Czarni. Na ulicach wojna. Totalna destrukcja. Coś przepięknego!

- Tak?

- Musicie przyjechać i zobaczyć! Kiedy?

- Dzisiaj.

- Sam nie wiem.

- Na pewno będziesz chciał to zobaczyć. Pod naszym domem mieszkają jacyś ludzie. Słyszymy ich spod podłogi, rozmawiają, puszczały radio. Wszędzie roi się od gangów. Ktoś kiedyś postawił tutaj wielki hotel, ale nikt nie płacił czynszu. Drzwi i okna zabito deskami, odcięto elektryczność, gaz i wodę. A ludzie dalej tam mieszkają. MIESZKAMY W STREFIE DZIAŁAŃ WOJENNYCH! Policja nigdy tutaj nie zagląda, jakbyśmy

mieszkali w innym stanie, który ma inne prawa. Coś fantastycznego! Musicie do nas wpaść!

- Jak do ciebie dojechać?

Jon objaśnił drogę i odłożył słuchawkę.

Poszedłem do Sary.

- Słuchaj, muszę się zobaczyć z Jonem i François. - Świetnie! Jadę z tobą!

- Niestety, nie możesz. Mieszkają w getcie w Venice.

- W getcie! Cudownie! Za nic w świecie nie chciałabym stracić takiej okazji!

- Proszę cię, nie jedź! Zrób to dla mnie!

- A co ty myślisz, że pozwolę ci tam jechać *samemu*?

Wziąłem brzytwę, powkładałem pieniądze do butów.

- Dobra - ustąpiłem...

Powoli zagłębialiśmy się w getto Venice. Nieprawdą okazało się, że mieszkają tam sami Czarni. Na obrzeżach widziało się trochę Latynosów. Zauważyłem grupkę 7 czy 8 młodych Meksykanów, którzy oparci o maskę oblegali stary samochód. Większość była bez koszul, w samych podkoszulkach. Jechałem powoli, nie rozglądając się zbyt, po prostu chłonałem widoki. Nie wyglądało na to, żeby byli zajęci czymkolwiek. Po prostu czekali. Czekali w stanie pewnej gotowości. Możliwe, że byli po prostu znudzeni. Wyglądali na równych gości. Za grosz nie sprawiali wrażenia nieszczęśliwych.

Potem wjechaliśmy na Czarnoziem. Na jezdni natychmiast zaroilo się od śmieci. Lewy but, pomarańczowa koszulka, stara torebka... zgniły grejpfrut... kolejny lewy but... para niebieskich džinsów... opona samochodowa.

Manewrowałem między śmieciami. Dwóch czarnych, plus - minus jedenastolatków, przyglądało się nam ze swoich rowerów. Ich oczy wyrażały nienawiść w najczystszej postaci. Czulem ich nienawiść przez skórę. Czarni biedacy kipią od nienawiści. Biali biedacy kipią od nienawiści. Czarni i Biali zaczynają zadawać się ze sobą dopiero, kiedy jedni i drudzy mają pieniądze. Niewielu Czarnych kochało Białych, jeżeli w ogóle istnieli tacy Czarni. Czarni ciągle jeszcze usiłują darować Białym. Być może nigdy im się to nie uda. W społeczeństwie kapitalistycznym przegrani tyrają dla zwycięzców, dlatego istnieje takie zapotrzebowanie na przegranych. Co ja o tym sędzę? Uważam, że tych problemów nie rozwiąże się na drodze politycznej i że do szczęścia zabraknie nam czasu.

Jechaliśmy, aż dotarliśmy pod wskazany adres. Zaparkowaliśmy samochód, wysiedli i zastukali.

Szyba w małym okienku podjechała w górę. Wyrzało na nas oko.

- O, Hank i Sara.

Drzwi otwarły się i zamknęły pospiesznie. Byliśmy w środku. Podszedłem do okna i wyrzałem na ulicę.

- Co robisz? - spytał Jon.

- Chciałem tylko rzucić okiem na samochód...

- Aha. Chodźcie zobaczyć obie nasze kuchnie!

Faktycznie, mieli dwie kuchnie, a w każdej kuchenkę, lodówkę i zlew.

- To były kiedyś dwa mieszkania. Potem połączono je ze sobą.

- Przyjemnie - pochwaliła Sara. - Możesz gotować w jednej kuchni, a François w drugiej.

- Teraz odżywiamy się głównie jajkami. Mamy kury, które znoszą tony jaj.

- Rany boskie, Jon, aż tak źle z wami?

- No, nie aż tak. Mamy zamiar pomieszkać tutaj trochę. Potrzebujemy pieniędzy, głównie na wino i cygara. Jak ci idzie scenariusz?

- Z przyjemnością donoszę, że ma już sporą objętość. Tylko nie do końca mogę się połapać w tym całym kurestwie... w tych KAMERACH, NAJAZDACH, PANORAMOWANIU...

- Nie przejmuj się. Ja się tym zajmę.

- Gdzie jest François? zacieszyła się Sara.

- A, François... w innym pokoju... chodźcie...

Weszliśmy do środka. François rozpędzał właśnie swoją mini - ruletkę. Kiedy pił, nos robił mu się czerwony jak u pijaków z komiksów. Im więcej pił, w tym głębszą popadał depresję. Cmoktał wilgotne, na wpół wypalone cygaro. Od czasu do czasu wypuszczał żalosne kóleczo. W stojącej przed nim butelce widać już było dno.

- Kurwa mać - powitał nas. - Obsunąłem się na 60 tysięcy dolców i muszę zalewać się jakimś sikaczem od Jona, który uważa, że to coś nadaje się do picia. Obsunąłem się na 60 tysięcy dolców, a tu żadnych perspektyw zatrudnienia. Ja... się... zabiję...

- Chodź, François - przerwał mu Jon. - Pokażemy przyjaciółom nasze kurki.

- KUHHKI! JAJA! Bez przerwy znoszą JAJA! Nic, tylko JAJA i JAJA! Pac, pac, pac! KUHHKI znoszą JAJA! Dniem i nocą muszę bronić KUHHEK przed młodymi Czarnuchami! Młode Czarnuchy włożą na ogrodzenie i wskakują do kojca! Łoję ich długim kijem! „Sukinsyny, odpierdolcie się od KUHHEK, które niosą mi JAJA!” Nie jestem w stanie myśleć, nie jestem w stanie myśleć ani o własnym życiu, ani o własnej

śmierci, bo stale muszę ganiać za młodymi Czarnuchami z długim kijem! Jon, chciałbym się jeszcze napić. Poproszę cygaro!

Znowu zakręcił ruletką.

Miał dla nas złą wiadomość. System zawodził.

- Rozumiecie, we Francji tylko zero przegrywa na rzecz kasyna. Tu, w Ameryce, kasyno bierze forszę z zera i z dwóch zer. BIORĄ CI OBA JAJA W GARŚĆ! JAKIM PRAWEM! Chodźcie, pokażę wam KUHHKI...

Wyszliśmy na podwórko obejrzeć kury i kojec dla kur. François sam go zbudował. Nieźle mu wyszło. Miał prawdziwy talent. Tyle tylko że użył żelaznych krat zamiast drucianej siatki. Na każdych drzwiczkach wisiała kłódka.

- Co wieczór robię obchód. „Cecile, jesteś tam?” „Cip, cip” - odpowiada Cecile. „Jesteś tam, Bernadette?” „Cip, cip” - odpowiada Bernadette. I tak dalej. „Nicole” - wołam któregoś wieczoru. Nie odgdukuje mi. Czy uwierzycie, że mimo krat i kłódki dopadli Nicole? Nie było jej w klatce! Nicole odeszła, odeszła na zawsze! Jon, Jon, dolej mi jeszcze wina!

Wróciliśmy do domu, siedliśmy do kolejnej butelki. Jon podał François nowe cygaro.

Piliśmy przez jakąś chwilę.

- Jon, czy właściciel twojego domu jest czarny? - spytała w końcu Sara.

- Jak najbardziej...

- Nie pytał, dlaczego wynajmujecie w tej dzielnicy?

- Pytał...

- I co mu powiedziałaś?

- Że jesteśmy francuskimi aktorami i filmowcami.

- Co on na to?

- Powiedział: „Aha”.

- Nic więcej?

- Owszem, powiedział: „W końcu to są *wasze* tyłki”.

Znowu piliśmy przez jakiś czas, rozmawiając niewiele.

Od czasu do czasu wstawałem i podchodziłem do okna sprawdzić, czy moje auto jeszcze stoi.

W miarę jak piliśmy, rosły we mnie wyrzuty sumienia.

- Słuchaj, Jon, oddani ci pieniądze za scenariusz. To straszne, że przeze mnie się tak wykańczasz...

- Kiedy ja chcę, żebyś napisał ten scenariusz. *Zrobię* ten film, słowo honoru...

- No dobra, niech to szlag...

Znowu wypiliśmy troszeczkę.

- Popatrzcie... - powiedział Jon.

Przez dziurę w gipsowej ścianie, przy której siedzieliśmy, przeciskała się mała czarna dłoń, poruszając palcami, jakby chciała coś złapać. Dłoń przypominała małe ciemne zwierzątko.

- IDŹ PRECZ! - zawył François. - IDŹ PRECZ, MORDERCO NICOLE! ZADAŁEŚ MI CIOS W SAMO SERCE! PRECZ!

Dłoń nie zniknęła.

François podszedł do ściany i do dłoni.

- Idź precz, powiadam ci. Nic nie chcę, tylko palić cygaro i pić wino w spokoju. Zakłócasz mój spokój. Czuję się nieswojo, kiedy gapisz się na mnie spomiędzy chwytyliwych palców czarnego nędzarza!

Dłoń nie zniknęła.

- JAK TAK, TO ZOBACZYSZ!

Kij stał w zasięgu ręki. François porwał go dramatycznym gestem i zaczął walić w ścianę raz za razem.

- ZABÓJCO KUHHEK! ZŁAMAŁEŚ MI SERCE NA WIEKI!

Walił z ogłuszającym łomotem. Wreszcie uspokoił się.

Dłoń zniknęła.

François usiadł z powrotem.

- Znowu mi, cholera, cygaro zgasło. Jon, dlaczego nie kupujemy lepszych cygar?

- Słuchaj, Jon - wtrąciłem - musimy już lecieć.

- Nie, no... nie wygłupiajcie się... wieczór dopiero się *zaczyna*. Jeszcze nic nie widzieliście...

- Musimy lecieć... Muszę jeszcze popracować nad scenariuszem...

- No... skoro tak...

W domu poszedłem na górę i siadłem do scenariusza. Dziwnym, a może i nie takim dziwnym trafem, moje dawne życie nie wydawało mi się nawet w połowie tak dziwaczne, szalone i niespokojne jak to, co się działo teraz.

Scenariusz posuwał się do przodu. Pisanie nigdy nie było dla mnie problemem. Jak sięgnę pamięcią zawsze pisałem tak samo; nastawiałem radio na stację z muzyką

klasyczną, zapalałem papierosa albo cygaro, otwierałem butelkę. Resztę robiła maszyna. Ja musiałem tylko przy tym być. Pisanie pozwalało przetrwać, kiedy życie nie miało mi nic do zaoferowania, kiedy życie jako takie było teatrem grozy. To maszyna mnie pocieszała, mówiła do mnie, zabawiała mnie, była moją ucieczką. Właśnie po to przede wszystkim pisałem: żeby uciec, uciec przed wariatkowem, uciec przed ulicą, uciec przed samym sobą.

- Pijesz, żeby uciec przed rzeczywistością - wrzeszczała na mnie jedna z moich byłych kobiet.

- Oczywiście, kochanie - odpowiedziałem.

Miałem butelkę i maszynę. Lubilem trzymać po jednym grzybic u w każdej garści, a barszcz mógł spokojnie szlag trafić.

Wracając do tematu: scenariusz szedł mi nieźle. Kiedy pracowałem nad powieścią, opowiadaniem albo wierszem, lubilem od czasu do czasu zafundować sobie wolny wieczór czy dwa. Do scenariusza siadałem wieczór w wieczór. Nagle okazało się, że skończyłem robotę.

Zadzwoiłem do Jona.

- Nie wiem, czy mi wyszło, w każdym razie skończyłem.

- Cudownie! Zaraz bym przyjechał po scenariusz, ale właśnie mamy coś w rodzaju uroczystego lunchu. Goście, jadło, napoje. François jest kucharzem. Czy mógłbyś przywieźć do nas scenariusz?

- Chętnie, ale boję się jeździć po waszej okolicy.

- Nie pierdoł, Hank, nikt ci nie rąbnie tego starego garbusa.

- Kiedy właśnie kupiłem nowe BMW.

- Co?

- Przedwczoraj. Mój konsultant podatkowy twierdzi, że samochód da się odpisać od podatku.

- Odpisać od podatku? To chyba niemożliwe...

- Tak mi powiedział. Twierdzi, że w Ameryce musisz wydawać pieniądze, bo inaczej ci je zabiorą. No więc mi nie będą mogli nic odebrać, bo ja nic nie mam.

- Muszę koniecznie zobaczyć ten scenariusz! Jak będę miał co pokazać producentowi, zaraz ruszę z miejsca.

- Niech ci będzie. Wiesz, gdzie jest supermarket Ralpa na obrzeżach getta?

- Wiem.

- Dojadę do parkingu i zadzwonię do ciebie. Przyjedziesz po mnie, dobra?

- Dobra, czekam na telefon...

Czekaliśmy z Sarą przy naszym BMW 320i, aż zajdzie po nas Jon. Wsiadliśmy do jego wozu i ruszyliśmy w stronę getta.

- Co powiedzą czytelnicy i krytycy twoich dzieł, jak się dowiedzą o BMW?

- Ta banda sukinsynów po staremu będzie musiała mnie oceniać na podstawie moich utworów.

- Nie zawsze chcą tak robić.

- To już ich problem.

- Przywiozłeś scenariusz?

- Ja go mam - wyjaśniła Sara.

- Moja sekretarka.

- Hank szybko się uwinął z robotą.

- Jestem geniusz model 320i - oświadczyłem.

Zajechaliśmy pod dom Jona. Stało tam mnóstwo samochodów. Było jeszcze wcześniej, gdzieś koło wpół do drugiej. Przeszliśmy przez dom na podwórko od tyłu.

Przyjęcie musiało się już zacząć jakiś czas temu. Na drewnianych stołach poniewierały się puste butelki. Nadgryzione plasterki arbuza smętnie wędły w promieniach słońca. Rój much zamigotał na owocach i odfrunął. Goście wyglądali, jakby siedzieli co najmniej od 3 godzin. Przyjęcie należało do frakcyjnych: grupki złożone z 3 czy 4 osób nie zwracały najmniejszej uwagi na inne grupki złożone z 3 czy 4 osób. Obserwowało się pewną domieszkę Europejczyków, osobników z Hollywood i paru innych gatunków. Cała reszta pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu, tkwili tura po prostu i już, śmiertelnie zdeterminowani nie ruszyć się z miejsca. W powietrzu unosiła się wrogość. Nie wiedziałem, jaka jest na to rada. Jon wiedział: odkorkował kilka butelek wina.

Podeszliśmy do François. François obsługiwał rożen. Zalany w trupa, cierpiał najczarniejszą depresję. Na rożnie obracały się kawałki kur. Przyrumienione mięso zaczynało już skwierczeć, ale François nadal obracał rożen.

Wyglądał koszmarnie. Na głowie miał ogromną czapkę kucharską. Czapka musiała mu spaść parę razy z głowy, bo była cała upaprana błotem. Zauważył nas.

- A! CZEKAŁEM NA WAS! SPÓŹNILIŚCIE SIĘ! CO SIĘ STAŁO? NIE ROZUMIEM!

- Przepraszamy, François, ale musieliśmy zaparkować przed Ralphem.

- ZOSTAWIŁEM DLA WAS TROCHĘ KURY! CZĘSTUJCIE SIĘ!

Sięgnął po dwie papierowe tacki i na każdą nałożył po kawałku kury.

- Dziękujemy, François.

Znaleźliśmy z Sarą wolny stolik i usiedliśmy. Jon usiadł z nami.

- François jest zdenerwowany. Podejrzewa, że zabiłem którąś z jego kur. Kupiłem porcjowany drób u Ralpa.

- François jest bardzo wrażliwy - zauważyła Sara.

- Jeszcze jak - potwierdził Jon. - Co gorsza, wziął sobie teraz za punkt honoru uchronić nas przed włamaniem. Wszędzie pozakładał przewody i najbardziej nieprawdopodobne czujniki alarmowe. Superczułe. Pierdnąłem i jeden się włączył.

- Pieprzysz...

- Naprawdę! W dodatku niedawno François wsiadł do samochodu i włączył stacyjkę. Silnik zapalił. François wrzucił wsteczny. Nic. Pomyślał, że wsteczny nawalił. Wysiadł z samochodu i odkrył, że oba tylne koła zniknęły...

- Niemożliwe...

- A jednak. Tył samochodu stał na kupie kamieni. Koła zniknęły.

- Zostawili przednie koła?

- Tak.

- Skąd wzięliście nowe koła i opony? - zaintrygowała się Sara.

- Odkupiliśmy od łobuzów.

- Co? Możesz nam jeszcze nalać?

Nalał.

- Zastukali do drzwi: „Chcecie koła? Mamy wasze koła.” Wpuściłem ich do środka. „ZABIJĘ WAS!” - wrzasnął François. Kazałem mu się zamknąć. Popiliśmy z nimi wina, targując się zawzięcie. Upłynęło sporo czasu i wina, w końcu jednak się dogadaliśmy. Przynieśli koła i opony. Cisnęli na podłogę i już. Po wszystkim.

- Ile cię to kosztowało? - spytała Sara.

- 33 dolary. To chyba nie najgorzej za 2 koła i 2 opony.

- Nie najgorzej - przyznałem.

- To znaczy w sumie zapłaciłem 38. Musieliśmy im dopłacić 5 dolarów za obietnicę, że już nie ukradną więcej kół.

- A jak je ukradnie ktoś inny?

- Za 5 dolarów dają gwarancję, że nikt więcej nie tknie naszych kół. Ale tych 5 dolarów odnosi się wyłącznie do kół. Cała reszta nie podlega gwarancji.

- Czy zawarliście jeszcze jakieś umowy?

- Nie, potem już sobie poszli. Okazało się jednak, że radio zniknęło. Patrzyliśmy im

cały czas na ręce, a jednak radio zniknęło. Nie mam pojęcia, jak to zrobili. To było radio zwyczajnej wielkości. W co je wsadzili? Jak je wynieśli za drzwi? Pojęcia nie mam. Przyznasz, że to podziwu godne.

- Zgadza się.

Jon wstał ze scenariuszem w rękę.

- Muszę go schować. Mam specjalną kryjówkę. Dziękuję ci bardzo za twój wkład pracy, Hank.

- Nie ma za co. Łatwy pieniądz.

Jon wyszedł, zabierając scenariusz. Spojrzałem na swój kawałek kury.

- Jezu, nie przeknę tego... jest spalona na kamień.

- Mojej też się nie da jeść...

- Pod płotem widzę kubel na śmieci. Spróbujemy wywalić to świństwo po kryjomu...

Podeszliśmy do kubła. Znad płotu śledził nas rząd oczek wyzierających z czarnych twarzyczek.

- Patrzcie, podjemy se kury...

- Daj skrzydełko, skurwlu jeden.

Podszedłem do płota.

- Są przypalone... tego się nie da jeść...

Mała rączka wystrzeliła w powietrze, porywając kawał kury. Inna rączka porwała porcję Sary.

Dwóch facecików z wrzaskiem rzuciło się do ucieczki. Za nimi poleciała cała reszta wrzeszczących facecików.

- Czasami nienawidzę tego, że jestem biała - oświadczyła Sara.

- Istnieją również białe getta. I bogaci Murzyni.

- To nie to samo.

- Wiem, ale nie mam pojęcia, co mógłbym zrobić w tej sprawie.

- Od czegoś trzeba zacząć.

- Jestem zbyt wielkim tchórzem. Znadto się trzęsę o moją białą skórę. Chodź, dołączymy do wesołej kompanii i napijemy się jeszcze.

- Na wszystko masz jedną odpowiedź: napić się.

- Wręcz przeciwnie, to jest moja odpowiedź na nic.

Nadal utrzymywał się podział na frakcje. Nawet na rozwalonym podwórku za domem istniały sektory getta, sektory Malibu i sektory Beverly Hills. Na przykład najlepiej

ubrani, w ciuchach od znanych projektantów, trzymali się razem. Każdy typ rozpoznawał swoich przedstawicieli i nie zdradzał najmniejszych skłonności do zadawania się z pozostałymi. Dziwiło mnie, że niektórym z nich w ogóle chciało się przyjeżdżać do czarnego getta w Venice. Może uważali, że to będzie w dobrym stylu. Oczywiście specyficznego posmaku dodawał temu wszystkiemu fakt, że wśród sławnych i bogatych roiło się od durnych cip i palantów, którzy załapali się gdzieś po prostu na korzystną listę płac albo wzbogacili dzięki głupocie szerokiej publiczności. Zwykle nie mieli za grosz talentu, wizji ani ducha, choć w oczach publiczności uchodzili za pięknych, godnych szacunku i podobnych bogom. Zły gust zrodził dużo więcej milionerów niż dobry gust. Wszystko w końcu sprowadza się do tego, kto uzyska przewagę głosów. W kretowisku kret zostaje królem. Komu więc należało się to wszystko? Nic nie należało się nikomu...

François siedział przy stole. Dosiedliśmy się do niego, ale okazało się, że jest markotny i w trupa zalany. Ledwie nas poznał. W wargach trzymał wilgotne, wykruszone cygaro. Oczy wbił w kieliszek. Nadal miał na głowie brudną czapkę kucharską. Nawet w najcięższych chwilach zachowywał resztki stylu. Teraz te resztki też się ulotniły. To było straszne.

- DLACZEGO SIĘ SPÓŹNILIŚCIE? JAKIM PRAWEM! ODWLEKAŁEM LUNCH I CZEKAŁEM NA WAS! DLACZEGO SIĘ SPÓŹNILIŚCIE?

- Słuchaj, przyjacielu, może byś tak spróbował to odespać? Jutro będzie lepiej...

- JUTRO ZAWSZE JEST TAK SAMO! TU JEST PROBLEM!

Podszedł do nas Jon.

- Zajmę się nim. Nic mu nie będzie. Chodźcie, poznam was z niektórymi gośćmi.

- Musimy już lecieć...

- Tak wcześniej?

- No. Martwię się o 320i.

- Podrzucę was...

Samochód nie ulotnił się. Wsiedliśmy i pomachali Jonowi, który wracał do getta, do swojego przyjęcia i biednego François.

Po chwili byliśmy już na autostradzie.

- Tyle dobrego przynajmniej, że napisałeś scenariusz - zamyśliła się Sara.

- Przynajmniej tyle...

- Myślisz, że będzie z tego film?

- Rzecz traktuje o życiu pijaka. Kogo obchodzi życie pijaka?

- Mnie. Kogo chciałbyś obsadzić w roli głównej?
- François.
- François?
- Tak.
- Czy mamy coś do picia w domu?
- Pół skrzynki gamay beaujolais.
- Powinno starczyć...

Dodałem gazu i popędziliśmy do skrzynki.

18

Jon zabrał się do dzieła. Kopie scenariusza rozesłał producentom, agentom, aktorom. A ja wziąłem się z powrotem za pisanie wierszy. Wymyśliłem również nowy system obstawiania gonitw. Tor znaczył dla mnie bardzo wiele, pozwalał mi zapomnieć, że uchodzę powszechnie za pisarza. Z pisaniem było u mnie jakoś dziwnie. Potrzebowałem pisać, pisanie było czymś w rodzaju ., choroby, narkotyku, dokuczliwego natręctwa, a mimo to nie lubiłem uważać się za pisarza. Być może spotkałem zbyt wielu pisarzy. Więcej czasu poświęcali wzajemnemu ubliżaniu niż własnej twórczości. Nerwusy, plotkarze, stare cioty; gmerali we własnych bebechach i robili sobie nawzajem koło pióra, w dodatku byli okropnie próżni. I to mieli być nasi twórcy? Czy zawsze tak było? Pewnie tak. Możliwe, że pisarstwo jest specyficzną formą gmerania w bebechach. Po prostu niektórzy gmerają lepiej od innych.

W każdym razie scenariusz zaczął krążyć, tylko jakoś nie było chętnych. Co prawda parę osób uznało go za interesujący, ale często padał zarzut, że tego rodzaju film nie przyciągnie publiczności. Co innego film o kimś niezwykłym albo sławnym, kogo w końcu zniszczył alkohol, a co innego film o pijącym gamoniu albo bandzie rozpitych gamoni. Bez sensu. Kogo to mogło zainteresować? Kogo obchodziło ich życie czy śmierć?

W końcu jednak Jon odezwał się.

- Słuchaj, Mack Austin dorwał się do scenariusza. Bardzo mu przypadł do gustu. Chciałby reżyserować film. Ma ochotę w roli głównej obsadzić tego samego faceta co ja.

- Kogo?
- Toma Pella.
- Taa, mógłby być niezłym pijaczną.

- Pell oszalał na punkcie scenariusza. W ogóle ma bzika na punkcie twojego pisarstwa, czytał wszystko od deski do deski. Odbiło mu do tego stopnia, że zgadza się wystąpić za póldarmo.

- Rany...

- Sęk w tym, że *upiera się*, żeby reżyserował Mack Austin. Nie lubię Macka Austina, zaliczam go do grona osobistych wrogów.

- Dlaczego?

- Nno, mieliśmy parę nieporozumień.

- Daj mu buzi i pogódźcie się.

- W ŻYCIU! MACK AUSTIN W ŻYCIU NIE BĘDZIE REŻYSEROWAŁ MOJEGO FILMU!

- Dobrze, już dobrze, Jon, zapomnijmy o tym.

- Nie, zaczekaj, chciałem u ciebie urządzić spotkanie z Mackiem Austinem i Tomem Pellem. Oczywiście będziesz przy tym. Może uda ci się namówić Toma Pella, żeby zrezygnował z Austina. Nie wiem, czy wiesz, ale Pell to wspaniały aktor.

- Wiem. Dobra, zaproś ich obu. Tom przyjdzie z Ramoną? - Tom był żonaty z Ramoną, znaną piosenkarką pop.

- Nie.

- Jaka godzina ci pasuje?

- Zgodzili się przyjść jutro wieczorem o wpół do dziewiątej, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

- Działasz szybko.

- W tej grze albo działasz szybko, albo cię wykończą.

- Nie wygląda mi to na szachy.

- Raczej warcaby w rękach wariatów.

- Czy któryś z wariatów wygrywa?

- Tak, a inny wariat przegrywa.

Wkrótce dowiedziałem się nieco więcej o nieporozumieniu między Jonem Pinchotem a Mackiem Austinem. Mimo że Jon większość filmów zrobił w Europie, a Austin kręcił w Ameryce, należeli do wspólnego światka, który obracał się wokół tych samych miejsc w Hollywood. Jon i Mack siedzieli kiedyś w snobistycznej knajpce. Nie wiem, który z nich pił, a który nie pił, dość, że między oboma reżyserami wywiązała się sprzeczka. Tak zwane tematy zawodowe. Techniki. Doświadczenia. Źródła inspiracji itp.

Przerzucali się inwektywami przez pół sali na oczach okazałej publiczności, złożonej z ludzi z „branży”. Wreszcie Mack zerwał się od stolika.

- TWIERDZISZ, ŻE DYRYGUJESZ LUDŹMI NA PLANIE? TY BYŚ NAWET NIE

UMIAŁ DYRYGOWAĆ RUCHEM ULICZNYM!

Czy ja wiem. Dyrygowanie ruchem ulicznym wymaga sporych umiejętności.

Tak czy owak ktoś kiedyś publicznie oskarżył Macka, że nic umiałby nawet pokierować ruchem ulicznym. Teraz Mack podawał inwektywę dalej. Nienawiść i Hollywood rządzą się tymi samymi zasadami.

Doszły mnie później słuchy o dalszych starciach między Mackiem a Jonem.

Mimo to spotkanie doszło do skutku...

WNĘTRZE. DOM PISARZA. 20.15.

Jon przyjechał troszkę przed czasem.

- Zdziwicie się, jak zobaczycie tego całego Austina - uprzedził. Wygrzebał się z piguł i z wody. Wygląda jak zmiętolony łachman, jak sflaczała dętka...

- Moim zdaniem to świetnie, że przeszedł odwyk. To wymaga odwagi - oświadczyła Sara.

- Masz rację - zgodził się Jon.

Przyjechali jakieś pięć po wpół do dziewiątej. Tom w skórzanej kurtce. Mack w kurtce zamszowej, ozdobionej skórzanymi frędzlami. Miał chyba z pół tuzina złotych łańcuchów. Kiedy prezentacjom stało się zadość, nalałem Tomowi wina. Przykucnęliśmy wokół stoliczka do kawy.

Pierwszy odezwał się Tom.

- Widziałem scenariusz - zaczął. - Genialny! Ostrzę sobie już na niego zęby. Czuję ten klimat! To rola jak dla mnie!

- Dzięki, kolego. Na razie jesteś jedyną osobą, która dała się złowić na naszą przynętę.

- Znaleźliśmy już nawet sponsora z Tomem. W każdej chwili możemy zacząć zdjęcia - oświadczył Mack.

- Na pewno nie chcesz drinka, Mack? - spytałem.

- Nie, dziękuję.

- Może coś orzeźwiającego? - zaproponowała Sara. - Albo herbaty?

- Coś orzeźwiającego.

Sara wyszła po coś, co orzeźwiłoby Macka. Napoje gazowane mieliśmy w najlepszym gatunku, ze sklepu ze zdrową żywnością.

Wypiłem moje wino jednym haustem i nalałem znowu do pełna. Zacząłem przeczuwać niemożność jakiegokolwiek ugody czy kompromisu.

- Mack musi reżyserować ten film. Wiem, jak pracuje. Mam do niego zaufanie - oznajmił Tom.

- A do mnie nie masz? - spytał Jon.

- Nie o to chodzi, po prostu z Mackiem więcej mnie wiąże.

- Nikt poza mną nie będzie reżyserował tego filmu oświadczył Jon.

- Słuchaj, stary, wiem, ile ten film dla ciebie znaczy. Możemy powołać dla ciebie specjalne stanowisko. Będziesz miał dużo do gadania, dostaniesz kupę pieniędzy - zaproponował Tom. - Bardzo cię proszę, zgódź się. Chcę jak najlepiej dla filmu. Postaraj się mnie zrozumieć.

Wróciła Sara, niosąc napój dla Macka.

- Wiem, że z Tomem będzie się nam dobrze pracowało - oświadczył Mack.

- Nie umiałbyś nawet... - zaczął Jon.

- ...dyrygować ruchem ulicznym - dokończył Mack.

- Strasznie jesteście zawzięci - powiedziała Sara. - Na pewno moglibyście jakoś dojść do porozumienia.

Ale wszystko odbyło się dokładnie tak, jak na początku wieczoru. Nikt nie chciał ustąpić, a ja zupełnie nie miałem pomysłu, jak przełamać ten zaklęty krąg.

W końcu zmieniliśmy temat. Po kolei opowiadaliśmy zabawne historyjki. Krążyły napitki.

Pod koniec ktoś, nie pamiętam już kto, opowiedział coś, co rozbawiło Macka. Napoje gazowane i cała reszta uderzyły mu do głowy. Opadł do tyłu, zaśmiewając się w głos. Złote łańcuchy podrygiwały mu na piersi.

Po chwili oprzytomniał.

Zaraz po tym nadszedł czas rozstania. Tom z Mackiem musieli już jechać. Pożegnaliśmy się. Kiedy ich samochód zniknął z pola widzenia, Jon spojrzał na mnie:

- Słyszałeś ten sztuczny śmiechek? Zauważyłeś, jak te pieprzone łańcuchy trzęsły mu się na szyi? Co w tym było takiego śmiesznego? Widziałeś te pieprzone złote łańcuchy?

- No, widziałem.

- Czuł się nieswojo - broniła Macka Sara. - Był tu jedynym, który nie pił. Czy zdarzyło ci się kiedykolwiek siedzieć w pokoju pełnym pijących i nie pić samemu?

- Nigdy - stwierdziłem.

- Słuchajcie - spytał Jon - czy mogę skorzystać z waszego telefonu?

- Jasne...

- Muszę zadzwonić do Paryża! *Natychmiast!*

- Co?

- Nie denerwuj się, rachunek pokryje mój rozmówca. Chciałem omówić z adwokatem sprawę dodatkowego punktu w moim testamencie...

- Proszę cię bardzo...

Jon podszedł do telefonu i zaczął wykręcać numer. Dołałem mu wina i siadłem z powrotem.

- Ten cały film to coś okropnego - powiedziała Sara.

- No cóż, lepsze prawie coś od niczego.

- Jesteś pewien?

- Jak się chwilę zastanowię, to nie za bardzo.

Jon połączył się z Paryżem. Miał już nieźle w czubie i był strasznie podniecony. Słyszeliśmy wyraźnie każde jego słowo:

- PAUL? TAK, TU JON PINCHOT! TAK, BARDZO PILNE! CHCIAŁEM ZROBIĆ DOPISEK DO MOJEGO TESTAMENTU! JESTEŚ GOTÓW? DOBRZE, ZACZYNAM!

Popatrzył w naszą stronę.

- To bardzo ważne...

Potem:

- TAK, PAUL! CHODZI O FILM. MAM GŁOS DECYDUJĄCY. *TANIEC JIMA BEAM A*, WEDŁUG SCENARIUSZA HENRY'EGO CHINASKIEGO! ŚWIETNIE, ZAPISZ TO SOBIE! W RAZIE MOJEJ ŚMIERCI REŻYSERIA TEGO FILMU NIGDY NIE DOSTANIE SIĘ W RĘCE MACKA AUSTINA! KAŻDY CZŁOWIEK NA ŚWIECIE MA PRAWO REŻYSEROWAĆ TEN FILM OPRÓCZ MACKA AUSTINA! ZAPISAŁEŚ TO, PAUL? TAK JEST, PAUL, DZIĘKUJĘ CI BARDZO! TAK, DOBRZE SIĘ CZUJĘ, A TY? KTO-KOLWIEK, BYLE NIE MACK AUSTIN! NIE WIEM JAK CI DZIĘKOWAĆ, PAUL! DOBRANOC, DOBRANOC!

Po rozmowie wypiliśmy jeszcze po jednym. Potem Jon musiał już jechać. W progu przystanął.

- Słyszeliście ten sztuczny śmiech? Widzieliście, jak mu się trzęsły te złote łańcuchy?

- Tak, Jon...

Pojechał i wieczór dobiegł końca. Wyszliśmy przed dom zawołać koty. Mieliśmy 5 kotów i nie byliśmy w stanie zasnąć, dopóki wszystkie nie poschodziły się do domu.

Sąsiedzi słyszeli co dzień, jak późnym wieczorem albo wczesnym rankiem nawołujemy nasze koty. Mieliśmy miłych sąsiadów. Każdy z naszych 5 kotów cholernie

długo kazał się prosić, zanim raczył wrócić do domu.

19

3 czy 4 dni później zadzwonił Jon.

- Jack Bledsoe czytał scenariusz. Podoba mu się, miałby ochotę zagrać. Próbowałem go ściągnąć, żeby się z tobą zobaczył, ale powiedział, że czułby się przez ciebie zdominowany. Ty będziesz musiał przyjechać do niego.

- Czy wtedy będzie mniej zdominowany?

- Chyba tak uważa.

- Myślisz, że nadaje się do tej roli?

- O, tak. Jack chował się na *ulicy*. Swego czasu sprzedawał na ulicy kasztany. On jest z Nowego Jorku.

- Widziałem go w paru filmach...

- Tak? I co sądzisz?

- Bo ja wiem... Słuchaj, on musi przestać się uśmiechać przez cały czas, kiedy nie wie, co ze sobą robić. I nie może grzmocić pięścią w lodówkę ani drobić tym nowojorskim truchtem, jakby nosił banana między pośladkami.

- Jack Bledsoe był kiedyś bokserem.

- Phi, *każdy* z nas był w swoim czasie bokserem.

- Możesz mi wierzyć, nadaje się do tej roli...

- Jon, on nie może w filmie odstawić *Nowego Jorku*. Bohater to chłopak z Kalifornii... Kalifornijski chłopak lubi założyć nogę na nogę. Nie miota się, tylko chłodno kalkuluje każdy ruch. Żadnej paniki. Przy tym wszystkim potrafi zabić. Ale przedtem nie robi dużo szumu.

- Sam mu to powiesz.

- Dobrze, gdzie i kiedy?

O 8 wieczór znaleźliśmy się w północnym Hollywood. Mieliśmy jakieś 5 minut spóźnienia. Pięliśmy się ciemnymi alejkami, szukając mieszkania.

- Mam nadzieję, że będzie miał coś do picia. Powinniśmy byli coś przywieźć.

- Na pewno będzie miał - uspokoiła mnie Sara.

Nie mogłem się połapać w numerach. Wreszcie na jednym z balkonów zobaczyłem Jona.

- Tędy...

Wszedłem na piętro i poszedłem za Jonem. Znaleźliśmy się w jednej z kryjówek

Jacka.

Jon pchnął drzwi. Weszliśmy do środka. Siedzieli we dwóch na starej kanapie. Jack Bledsoe i jego kumpel, Lenny Fidelo. Fidelo przeważnie grywał ogony. Za to Jack Bledsoe wyglądał dokładnie jak Jack Bledsoe. Lenny był wielkim chłopiskiem, barczystym, trochę zbyt otyłym. Widać było, że od życia dostał niezłe cięgi. Życie go nie oszczędzało. Spodobał mi się. Wielkie smutne oczy, wielkie dłonie. Wyglądał na samotnego i znużonego. Wyglądał na kawał porządnego chłopca.

Dopełniliśmy wzajemnych prezentacji.

- To twój goryl? - spytałem Jacka, pokazując na Lenny'ego.

- Taa.

Jon stał, uśmiechając się, jakby uczestniczył w jakimś wiekopomnym spotkaniu. Cóż, mogło się okazać, że miał rację.

- Macie coś do picia? - zagadnąłem.

- Tylko piwo. Może być?

- Może być.

Lenny wyszedł po piwo do drugiego pokoju. Współczułem Sarze, która nie przepadała za piwem.

Jedna ze ścian była cała pokryta plakatami bokserów. Obejrzałem je po kolei. Niezłe. Niektóre pochodziły sprzed wielu lat. Od samego patrzenia poczułem się bardziej macho.

Z kanapy sterczały sprężyny. Na podłodze poniewierały się poduszki, buty, czasopisma, papierowe torby...

- Chata stuprocentowych mężczyzn - roześmiała się Sara.

- Owszem, podoba mi się tutaj - przytaknąłem. - Mieszkałem w wielu zagraconych mieszkaniach, ale daleko im do mieszkania Jacka...

- Nam się też podoba - powiedział Jack.

Wrócił Lenny z piwem. Otworzyliśmy puszki i siedząc popijaliśmy drobnymi łyżkami.

- Czytałeś scenariusz? - spytałem Jacka.

- Owszem. Ten gość to ty? Ja, sprzed lat.

- Niezłe musiałeś dostać w dupę - odezwał się Lenny.

- Owszem. Zdarzało się.

- Naprawdę za bułkę z serem ganiałeś na posyłki? - zaciekał się Jack.

- Zdarzało się.

Piwo okazało się smaczne. Zapadła cisza.

- No i jak ci się podoba? - zapytał Jon.

- Kto? Jack?

- Aha.

- Da sobie radę. Trzeba go będzie tylko trochę rozruszać.

- Pokaż mi twój styl walki - zaproponował Jack.

Wstałem i zamachnąłem się kilka razy pięściami.

- Szybki w łapach - pochwaliła Sara.

Usiadłem z powrotem.

- Umiałem przyjmować ciosy, ale biłem się bez przekonania. Nie bardzo wiedziałem, po co to robię. Macie jeszcze piwo?

- Jasne - potwierdził Lenny. Wstał i poszedł po następną puszkę.

Wszyscy w Hollywood wiedzieli, że Jack Bledsoe nie lubi Toma Pella. Kiedy udzielał wywiadów, nie przepuścił nigdy okazji, żeby dołożyć Tomowi: „Tom jest chłopcem z Malibu. Ja jestem dzieckiem ulicy.” Jeżeli aktor grał dobrze, nic mnie nie obchodziło, skąd pochodził. Obaj grali dobrze i nie było najmniejszego powodu, żeby odnosili się do siebie jak para pisarzy.

Wrócił Lenny z piwem.

- Ostatnie - ostrzegł.

- Kurwa, nie strasz - przeraziłem się.

- Zaraz wracam - zapowiedział Jon.

Już go nie było. Poleciał po piwo. Jon to równy gość.

- Ten cały Jon Pinchot jest według ciebie dobrym reżyserem? - spytał Jack.

- Widziałeś jego dokument o Lido Maminie?

- Nie.

- Pinchot nie pęka przed niczym. Lubi się podmacywać ze śmiercią.

- Chcesz powiedzieć, że mu staje do śmierci?

- Na to wygląda. Nakręcił jeszcze parę rzeczy oprócz filmu o Maminie. Jako reżyserowi ufam mu bezgranicznie. Hollywood jeszcze go nie ochwaciło.

- A ciebie?

- Co mnie?

- Czy myślisz, że Hollywood pozbawi cię jajec?

- Przenigdy.

- Czy to twoje ostatnie słowo?

- To moje pierwsze słowo.

- Hank nienawidzi kina - wyjaśniła Sara. - *Stracony weekend* to ostatni film, który mu się podobał, a to przecież było lata temu.

- Jedyny popis aktorski Raya Millanda, za to ekstraklasa - dodałem.

Zachciało mi się szczać, spytałem, gdzie jest kibiel.

Udałem się we wskazanym kierunku, otworzyłem drzwi, wszedłem do środka, zrobiłem co trzeba.

Odwrociłem się, żeby umyć ręce w umywalce.

A to co, do kurwy nędzy?

W umywalkę ktoś wcisnął biały ręcznik. Jeden koniec był wepchnięty w odpływ, reszta, przewieszona przez brzeg, opadała na podłogę. Było w tym widoku coś niepokojącego. W dodatku ręcznik był mokry, nasiąknięty porządnie wodą. Czemu miał służyć? Co oznaczał? Czy był pozostałością jakiejś orgii? Nie mogłem się w tym połapać. Czulem, że obecność tego ręcznika w kiblu coś znaczy. Byłem starym człowiekiem, mogłem nie nadążać za światem. Przeżyłem wiele rozpaczliwych dni i nocy, kipiących nierzadko od bezsensu - a jednak w żaden sposób nie mogłem pojąć, co oznacza ten ogromny, nasiąknięty wodą biały ręcznik.

Sprawę pogarszał fakt, że Jack był uprzedzony o mojej wizycie. Dlaczego pozostawił w kiblu ten rekwizyt? Czy chciał mi coś dać do zrozumienia w ten sposób?

Wróciłem do pokoju.

Gdybym był nowojorczykiem, zapytałbym: „Te, słuchaj, po co ul ta pieprzona mokra ściera w tej pieprzonej umywalce w kiblu?”

Byłem jednak chłopcem z Kalifornii. Wróciłem do pokoju, usiadłem bez słowa, uznawszy, że to musi być coś między Lennym i Jackiem i lepiej żebym się w ich sprawy nie mieszał.

Tymczasem Jon doniósł piwo. Obok mojego miejsca stała otwarta puszka. Skorzystałem. Życie znowu nabrało rumieńców.

- Chciałbym, żeby Francine Bowers zagrała główną bohaterkę powiedział Jack. - Myślę, że uda mi się ją namówić.

- Znam Francine - wtrącił Jon. - Też myślę, że uda mi się ją namówić.

- Może powinniście spróbować obaj - zasugerowała Sara.

Lenny poszedł po piwo. Wyglądał na piwosza. Gość w moim typie.

- Słuchajta, nie znalazłaby się dla mnie jakaś rola w tym filmie? - zapytał.

Spojrzałem pytająco na Jona.

- Lubię grać z Lennym - wtrącił Jack.

- Myślę, że znajdzie się coś dla ciebie. Obiecuję, że cię uwzględnimy przy podziale ról - oświadczył Jon.

- Czytałem scenariusz. Myślę, że mógłbym zagrać barmana - zaproponował Lenny.

- Coś ty? - zdziwiłem się. - Naprawdę miałbyś ochotę lać Jacka? Swojego kumpla?

- Nie ma sprawy - oświadczył Lenny.

- Już mi kiedyś przyłał - wtrącił Jack. - Wybił mi zęba.

- Naprawdę? - zainteresowała się Sara.

- Jeszcze jak - potwierdził Jack.

Popijaliśmy piwko. Gadało się o byle czym, głównie o niezliczonych wyczynach Lenny'ego. Nie tylko przeszedł w życiu wiele, ale jeszcze potrafił o tym opowiadać.

Piwo zaczęło się kończyć. Uznałem, że czas na nas.

Jeszcze raz skoczyłem do łazienki, po czym ruszyliśmy z Sarą do wyjścia. Jon miał wyraźnie ochotę zostać dłużej, pogadać o tym i owym.

Stałem już w progu, kiedy nagle mnie naszło.

- Słuchaj, stary, czy mógłbyś mi u kurwy nędzy wyjaśnić, co ta pierdolona mokra ściera robi w umywalce w twoim obsmarkanym kiblu?

- Jaka znowu do kurwy nędzy pierdolona mokra ściera w obsmarkanym kiblu? - zdumiał się Jack.

Tym akcentem wieczór dobiegł końca.

20

Minęły 3 czy 4 tygodnie.

Któregoś wieczora zadzwonił telefon. Mówił Jon.

- Jak się masz? Jak się Sara miewa?

- W porządku. Żyjesz?

- Żyję, podobnie jak *Taniec Jima Beama*. Francine Bowers zakochała się w twoim scenariuszu. Zgadza się zagrać taniej, niż ma w zwyczaju. Tak samo zresztą Jack, ale nie mów o tym nikomu.

- Nie powiem, ale po co tak oszczędzacie?

- Przystąpiliśmy do współpracy z wytwórnią Firepower, czyli Harrym Friedmanem i Natem Fischmanem. Postawili trudne warunki, ale w końcu podpisaliśmy umowę. Nie obyło się bez przeszkód, bo agent Jacka zażądał w kontrakcie klauzuli „czy się stoi, czy się leży”.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że Jack musi dostać pieniądze bez względu na to, czy film zostanie

ukończony, czy nie. Większość gwiazd zastrzega sobie w umowach podobną klauzulę.

- Nie chce mi się wierzyć, że ten film dojdzie kiedykolwiek do skutku.

- Tom Pell bardzo się do tego przyczynił, kiedy zaproponował, że zagra za półdarmo.

Dzięki temu projekt stał się realny.

- Szkoda, że Tom nie zagra...

- Tak czy tak, pomógł nam. Jack zainteresował się filmem, kiedy usłyszał, że Tom chce zagrać za symboliczną stawkę, z tego samego powodu zainteresowała się filmem Firepower. Mieliśmy szczęście.

- Wiesz, co mówił Lippy Leo Durocher?

- Kto to taki?

- Przedwojenny mistrz baseballa. Mówił: „Wolę mieć szczęście, niż być dobrym zawodnikiem”.

- Uważam, że mamy szczęście z jesteśmy dobrymi zawodnikami.

- Być może. Co to za jedni, ci z Firepower?

- Są dopiero od niedawna w Hollywood. Odsądzeni od czci i wiary, ale nie ma na nich rady. Zbili forszę na filmach w Europie. Potem zjawili się tu znieczeka i zaczęli produkować filmy na kopy. Lecieli film za filmem. Są powszechnie znienawidzeni. Ale można się z nimi dogadać, chociaż stawiają twarde warunki.

- Co by nie mówić, zgodzili się nakręcić *Jima Beama*.

- Owszem, jako jedyni. Rezydują w ogromnym gmazysku w północnym Hollywood. Poszedłem do ich biura. Przyjął mnie Harry Friedman. „Bledsoe i Bowers zgodzili się?” - pyta. „Tak” - odpowiadam. „No to świetnie, będziemy mieli film”. „Nie chcecie chociaż przejrzeć scenariusza?” - zdziwiłem się. „Nie” - on na to.

- Ciekawy gość.

- Całe Hollywood go nienawidzi. To straszne...

- Powinieneś go zobaczyć. Facet przy kości. A propos, w czwartek wieczorem wydaje w wytwórni przyjęcie urodzinowe. Powinniście się stawić z Sarą. Nate Fischman, jego wspólnik, też tam będzie.

- Przyjedziemy. Daj mi namiary...

Po dziesięciu minutach telefon zadzwonił znowu.

- Hank, mówi Tim Ruddy. Jestem jednym z producentów *Jima Beama*.

- Pracujesz dla Firepower?

- Nie, pracuję dla Jona. Jesteśmy współproducentami. Ja i Lance Edwards.

- Aha...

- Słuchaj, czy znasz Victora Normana?

- Czytałem jego książki.

- On też czytał twoje. Napisał scenariusz i reżyseruje film dla Firepower. Wybiera się na urodziny Friedmana. Pyta, czy byś po niego nie zajechał do Chateau Marmont. Poznalibyście się, a potem pojechali razem.

- Jaki jest numer jego apartamentu...?

We czwartek pojechaliśmy do Chateau Marmont. Boy hotelowy wziął od nas samochód. Ruszyliśmy do wejścia. Czekał na nas uśmiechnięty, łysiejący mężczyzna. Jak się okazało, był to Tim Ruddy. Dopełniliśmy wzajemnych prezentacji i poszliśmy za nim. Zastukał do drzwi apartamentu. W progu stanął Victor Norman. Miał fajne oczy. Sprawiał wrażenie mądrego, spokojnego gościa.

Kolejne prezentacje. Sara wyglądała bardzo ładnie. Norman skłonił się przed nią. Wymieniliśmy uścisk dłoni.

- Czołowy pisarz wita się z czołowym pijaczną - zażartowałem.

Mój żart go rozbawił.

Victor Norman był bodaj najbardziej znanym pisarzem w Ameryce. Stale pokazywano go w telewizji. Wysławiał się gładko i z polotem. Najbardziej cenilem go za to, że nic sobie nie robił z feministek. Był jednym z ostatnich obrońców męskich jąder w USA, co wymagało nie lada odwagi. Nie zawsze podobało mi się to, co pisał, ale też nie zawsze podobało mi się to, co sam pisałem.

- Dostałem największy apartament w hotelu po obniżonej cenie. Twierdzą, że robię im dobrą reklamę. Tak czy tak, płaci za to Firepower.

Wyprowadził nas na balkon, z którego rozciągał się niesamowity widok na miasto. Zrobiło mi się chłodno.

- Nie masz czegoś do picia, stary? - zainteresowałem się.

Poprowadził nas z powrotem na olbrzymie pokoje. Czuło się, że w takim miejscu nic nie może człowiekowi grozić. Miluchny bastion bezpieczeństwa.

Victor wyłonił się z butelką wina.

- Mam wino, ale nie mogę znaleźć otwieracza do butelek. Korkociągu.

- O Boże - westchnąłem. Alkoholik amator.

- Potrzebujemy otwieracza do butelek. Korkociągu... - wołał Victor do słuchawki. - Więcej wina... Kilka butelek...

Odwrócił się do nas.

Upłynęło sporo czasu, zanim doniesiono wino.

- Pracuję dla Firepower przy dwóch filmach. W jednym jestem scenarzystą i reżyserem, w drugim *sam występuję*. Reżyseruje Jon - Luc Modard. Mam nadzieję, że współpraca dobrze się nam ułoży.

- Powodzenia - powiedziałem.

Potem rozmawialiśmy na tematy uboczne. Victor opowiadał, jak poznał Charlie Chaplina. Była to niezła historyjka, zabawna i niesamowita.

Przyniesiono wino. Siedliśmy. Sara zaczęła rozmawiać z Timem Ruddym. Zorientowała się, że Tim poczuł się zaniedbany, i próbowała go rozkrochmalić. Była dobra w tych sprawach. W przeciwieństwie do mnie.

- Robisz coś? - spytał Victor.

- Dłubię przy wierszach - odparłem.

Victor jakby posmutniał.

- Dawali mi milion dolców za następną powieść. Rok temu. Nie napisałem ani strony i forszę diabli wzięli.

- Jezu.

- Jezus tu nic nie pomoże.

- Słyszałem o alimentach, jakie płacisz tym wszystkim byłym żonom...

- Taa.

Podsunałem Victorowi pusty kieliszek. Napelnił go.

- Słyszałem, że lubisz wypić...

- Taa.

- Co ty takiego palisz?

- Beedi. Zwijane przez trędowatych w Indiach.

- Naprawdę?

Wino płynęło. Czas mijał.

- Chyba powinniśmy już pojechać na to przyjęcie - powiedział w końcu Victor.

- Możemy wziąć mój samochód - zaproponowałem.

- O.K.

Zeszliśmy na dół. Tim wolał pojechać własnym wozem.

Boy hotelowy podstawił mój samochód. Dałem mu napiwek. Victor i Sara wsiedli do środka. Zjechałem z podjazdu na jezdnie i pogałem na przyjęcie urodzinowe Harry'ego

Friedmana.

- Ja też mam czarne BMW - wyznał Victor Norman.
- Czarne BMW to samochód prawdziwych mężczyzn - podsumowałem.

21

Spóźniliśmy się troszeczkę na przyjęcie, ale i tak nie było jeszcze specjalnego tłumu. Victora Normana posadzono o kilka stolików od nas. Kiedy zajęliśmy nasze miejsca z Sarą, kelner przyniósł nam wino. Białe. Cóż, przynajmniej za darmo.

Osuszyłem kieliszek i skinąłem na kelnera, żeby mi dołał.

Zauważyłem, że Victor popatruje na mnie.

Powoli zaczęli schodzić się goście. Pojawił się słynny aktor z wieczną opalenizną. Chodziły o nim słuchy, że nie opuszcza żadnego przyjęcia w Hollywood.

Sara trąciła mnie łokciem w bok. Przyszedł Jim Serry, podstarzały psychodeliczny guru lat sześćdziesiątych. Jego też stale widywało się na przyjęciach. Wyglądał na smutnego, zmęczonego i wypranego z inspiracji. Było mi go żal. Szedł od stolika do stolika. Kiedy podszedł do nas, Sara roześmiała się, zachwycona. Była dzieckiem lat sześćdziesiątych. Uścisnęliśmy sobie z Jimem dłonie.

- Sie masz, stary - powiedziałem.

Goście zaczęli się schodzić w szybkim tempie. Nie znałem prawie nikogo. Raz za razem machałem na kelnera, żeby mi dolewał. Wreszcie przyniósł pełną butelkę. Odstawił z chłupotem na stolik.

- Jak skończysz, przyniosę ci następną.

- Dzięki, koleżko.

Siedziałem trzymając na podolku prezencik dla Harry'ego Friedmana.

Zjawił się Jon. Przysiadł się do nas.

- Cieszę się, że jesteście z Sarą - powiedział. - Patrzcie, już się schodzą. Same zakazane typy. Mordercy i gangsterzy.

Jon uwielbiał takie gadki. Miał sporą wyobraźnię, która pomogła mu przeżyć niejedną dzień i niejedną noc.

Na salę wkroczył mężczyzna wyglądający na bardzo ważną personę. Rozległy się oklaski.

Porwałem prezent i rzuciłem się w jego stronę.

- Wszystkiego najlepszego, panie Friedman...

Jon rzucił się za mą i odciągnął mnie z powrotem do stolika.

- To nie jest Friedman! To Fischman!

- O...

Usiadłem.

Zauważyłem, że Victor Norman gapi się na mnie. Postanowiłem go przetrzymać. Kiedy znowu popatrzyłem w jego stronę, gapił się dalej. Wpatrywał się, jakby nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

- No dobra, Victor - powiedziałem na głos - kropnąłem się i co z tego. Jeszcze nie powód, żebyś na mnie wybałuszał gały.

Odwrócił wzrok.

Wstałem i zacząłem się rozglądać za toaletą męską.

Wychodząc z kibla, pomyliłem drogę i wylądowałem w kuchni. W kuchni siedział ćmiąc papierosa chłopak, który rozwoził naczynia. Sięgnąłem do portfela, wyjąłem dychę i włożyłem mu do kieszonki na piersi.

- Nie mogę przyjmować napiwków, proszę pana.

- A to czemu?

- Po prostu mi nie wolno.

- Nie rozumiem, dlaczego rozwoziciel naczyń nie miałby przyjmować napiwków, skoro wszyscy biorą. Zawsze chciałem wozić naczynia na wózku.

Wyszedłem z kuchni, odszukałem drogę do sali, usiadłem przy stoliku.

- Victor Norman podszedł do mnie, jak cię nie było - szepnęła mi do ucha Sara. - Był mile ujęty tym, że nawet nie wspomniałeś o jego twórczości.

- Przyznasz, że byłem grzeczny.

- Byłeś.

- Byłem grzecznym chłopczykiem?

- Byłeś.

Popatrzyłem na Victora Normana. Oczekałem, aż też popatrzy na mnie. Kiwnąłem nieznacznie głową i puściłem do niego oko.

W tej samej chwili na salę wkroczył prawdziwy Harry Friedman. Część gości zerwała się z miejsc i zaczęła klaskać. Reszta wyglądała na znudzonych.

Friedman usiadł przy swoim stoliku. Podano spaghetti. Półmisek zaczął krążyć, Harry Friedman nałożył sobie porcję i natychmiast wziął się do jedzenia. Wyglądał na kawał żarłoka. Był gruby, fakt. Nosił stary garnitur i rozdeptane buty. Miał wielką głowę i tłuste policzki, w które ładował spaghetti. Jego wielkie oczy wyrażały smutek i podejrzliwość. W pomiętej koszuli na wysokości pasa brakowało guzika, toteż brzuch wylewał się na zewnątrz. Wyglądał jak wielki dzidzius, który jakimś cudem wylazł z becika,

błyskawicznie urósł i zaczął udawać dorosłego mężczyznę. Był w tym pewien urok, przed którym należało się mieć na baczności - mógł zostać użyty przeciwko tobie. Ani śladu krawata. Wszystkiego najlepszego, Harry!

Na salę weszła młoda, przebrana za policjantkę kobieta. Podeszła prosto do stolika Friedmana.

- JEST PAN ARESZTOWANY! - wrzasnęła.

Harry Friedman przestał jeść i uśmiechnął się. Usta miał mokre od spaghetti.

Policjantka zdjęła najpierw płaszcz, następnie bluzę mundurową. Miała ogromne piersi. Potrząsnęła nimi przed nosem Harry'ego Friedmana.

- JEST PAN ARESZTOWANY! - wrzasnęła.

Wszyscy zaczęli bić brawo, nie mam pojęcia dlaczego.

Friedman skinął na policjantkę, żeby nachyliła się w jego stronę. Przysunęła się bliżej, a on szepnął do niej coś, co było przeznaczone wyłącznie dla jej uszu.

Zabierz mnie do siebie. Zobaczymy, jak nam pójdzie.

Zapomniałaś pałki. Czy chciałabyś skorzystać z mojej?

Wpadnij do mnie. Wezmę cię do filmu.

Policjantka włożyła z powrotem bluzę, na nią płaszcz, a potem wyszła.

Ludzie zaczęli podchodzić do stolika Friedmana, żeby zamienić z nim parę słów. Wyglądał, jakby nikogo nie poznawał. Wkrótce skończył jeść i wziął się za wino. Spodobał mi się sposób, w jaki poczynił sobie z butelką.

Widać było, że naprawdę lubi wino. Po chwili wstał i zaczął krążyć po sali, zawisając nad kolejnymi stolikami, żeby pogadać z ludźmi.

- O Jezu Chryste - powiedziałem do Sary. - Popatrz tylko na to. Pasemko makaronu zwisa mu z kącika ust i nikt mu o tym nie mówi. Zwisa mu z ust!

- Widzę! Widzę! - podniecił się Jon.

Harry Friedman w dalszym ciągu krążył po sali, nachylając się nad stolikami, żeby porozmawiać. Nikt mu nic nie powiedział.

Wreszcie skierował się w naszą stronę. Kiedy był o jakiś stolik od nas, wstałem i podszedłem do niego.

- Panie Friedman - odezwałem się..

Zwrócił do mnie twarz monstrualnego niemowlaka.

- Słucham?

- Proszę się nie ruszać!

Chwyciłem za koniuszek makaronu i pociągnąłem. Pasemko odkleiło się.

- Nie mogłem już patrzeć, jak pan chodzi z tym dyndającym makaronem.

- Dziękuję - powiedział.

Wróciłem do stolika.

- No, no - skomentował Jon. - Co o nim sądzisz?

- Już ci mówiłem. Poza Lido Maminem nie widziałem takiego drugiego. - To bardzo miło z twojej strony, że zdjęłeś mu ten makaron pochwaliła Sara. - Nikt się na to nie zdobył. Bardzo ładnie się zachowałeś.

- Dziękuję. Tak naprawdę to ja jestem bardzo miłym facetem.

- Tak? A co niby takiego miłego ostatnio zrobiłeś?

Nasza butelka zaświeciła dnem. Udało mi się ściągnąć uwagę kelnera. Niechętnie ruszył w moją stronę z następną butelką.

Ja tymczasem zachodziłem w głowę, co też ostatnio zrobiłem miłego.

22

Ruszyły przygotowania do produkcji. Wydawało się, że wszystko jest na dobrej drodze, kiedy nagle zadzwonił telefon. Mówił Jon.

- Mamy kłopoty...

- Co się stało?

- Friedman i Fischman...

- Tak?

- Chcą się pozbyć moich współproducentów, Tima Ruddy'ego i Lance'a Edwardsa...

- Ruddy'ego poznałem, Edwardsa nie... Co się dzieje?

- Obaj od dawna pracują ze mną nad tym filmem. Władowali w niego sporo czasu i pieniędzy. Teraz Friedman z Fischmanem chcą ich wykopać. Dociskają mnie z każdej strony. Wszystkim obcięto wynagrodzenia. Firepower ma poważne kłopoty. Dobrała się do nich Izba Kontroli. Ich akcje dochodziły do 40, teraz spadły do 4.

- O - o.

- „Pozbądź się tych gości - mówią mi. - Nie są nam potrzebni.” „Kiedy mi są potrzebni” - mówię. „Do czegoś takiego są ci potrzebni, czego my nie potrafilibyśmy załatwić?” - pytają. „Przecież podpisaliście z nimi umowę” - mówię. „Chyba wiesz, co to jest umowa? - pytają i sami odpowiadają: - Nic wielkiego. Dokument podlegający renegotjacji.”

- Jezu...

- Dokręcają śruby ile wlezie i mają zamiar dokręcać do oporu... Już się zgodziłem nakręcić film w 32 dni zamiast 34. Bez przerwy robią cięcia budżetowe... Nie odpowiada

im mój dźwiękowiec... Nie odpowiada im mój operator... Chcą kogoś tańszego. „No i musisz się pozbyć tych producentów - mówią mi. - Do niczego nie są nam potrzebni...”

- Co masz zamiar zrobić?

- Nie mogę wystawić Tima i Lance'a do wiatru... Mamy pewien plan. Jutro jesteśmy umówieni na lunch z Timem i z jego adwokatem. Adwokat jest dobrze znany całemu Hollywood. Ludzie drżą na sam dźwięk jego nazwiska. Jest wszechpotężny, a tak się składa, że winien jest Timowi przysługę. Wpadliśmy na pomysł, żeby po lunchu zajechać do Friedmana i Fischmana w towarzystwie adwokata. Dobrze by było, gdybyś przy tym był. Pokażesz się?

- Jasne... Powiedz tylko gdzie i kiedy.

Lunch odbywał się u Musso. Siedzieliśmy przy dużym stole w rogu. Wypiliśmy po parę drinków, zjedliśmy coś niecoś. Sporo osób dosiadało się do nas, żeby zamienić parę słów ze słynnym adwokatem. Faktycznie, wszyscy przed nim drżeli. Adwokat miał nienaganne maniery i bardzo kosztowny garnitur.

Adwokat z Lancem i Jonem omawiali strategię wobec Friedmana i Fischmana. Nie słuchałem zbyt uważnie. Adwokat udzielał instrukcji typu: wy powiecie to, wtedy ja powiem tamto. Tego nie mówcie. Ja to powiem.

Cała forsa idzie do kieszeni prawników, lekarzy i hydraulików. Pisarze? Pisarze głodują. Pisarze popełniają samobójstwo. Pisarze popadają w obłąd.

Po lunchu każdy z nas wsiadł do swojego samochodu. Ruszyliśmy w stronę zielonego gmaszyska, w którym czekali już na nas Friedman z Fischmanem. Umówiliśmy się na zbiórkę przy wejściu.

Sekretarka wprowadziła nas do gabinetu Harry'ego Friedmana. Friedman wstał i zza biurka powitał nas następującą przemową:

- Bardzo mi przykro, ale nasza spółka nie ma pieniędzy i nic się nie da zrobić. Tamci dwaj muszą odejść. Nie stać nas na opłacanie współproducentów. Nie mamy pieniędzy!

Znaleźliśmy sobie krzesła i usiedliśmy.

- Panie Friedman, ja tych ludzi potrzebuję. Są nieodzowni dla produkcji filmu.

Friedman trwał w pozycji stojącej. Oparł pięści o biurko.

- NIKOGO NIE POTRZEBUJEMY! A JUŻ Z CAŁĄ PEWNOŚCIĄ NIE TYCH DWÓCH! NA CO CI DWAJ MOGĄ SIĘ PRZYDAĆ? NO, PROSZĘ POWIEDZIEĆ, NA CO MOGĄ SIĘ PRZYDAĆ?

- Są moimi współproducentami, panie Friedman...

- JA JESTEM PRODUCENTEM! JESTEM LEPSZYM PRODUCENTEM OD NICH!
NIE POTRZEBUJĘ TYCH GOŚCI! TO ZWYKLI KRWIOPIJCY! KRWIOPIJCY!

Za biurkiem Friedmana otwarły się drzwi, z których wyłonił się Fischman. Fischman był chudszy od Friedmana. Zrobił rundę dookoła biurka. Poruszał się z wdziękiem. Biegając wrzeszczał:

- KRWIOPIJCY! KRWIOPIJCY! KRWIOPIJCY!

Następnie wybiegł drzwiami, które najwyraźniej prowadziły do jego gabinetu.

Friedman usiadł za biurkiem. Było jasne, że się orientuje, kim jest adwokat.

Usiadł za biurkiem i powiedział cicho:

- Nie potrzebujemy nikogo.

Słynny adwokat kaszlnął.

- Najmocniej przepraszam - zaczął - ale... w myśl umowy...

Friedman wyskoczył zza biurka.

- STUL PYSK, MĄDRALO!

- Będę z panem w kontakcie - oświadczył adwokat.

- ALEŻ PROSZĘ CIĘ BARDZO! BĄDŹ ZE MNĄ W KONTAKCIE, MĄDRALO! MAM CIĘ GDZIEŚ!

Wstaliśmy z krzeseł i zbici w gromadkę stanęliśmy przy drzwiach. Przez chwilę naradzaliśmy się szeptem, po czym Tim wyszedł, zabierając ze sobą sławnego adwokata, Jon oświadczył, że chce jeszcze porozmawiać z Friedmanem. Zostałem z nim.

Usiedliśmy.

- Nie stać mnie, żeby im płacić - powtórzył Friedman.

Jon wychylił się z krzesła, gestykulując.

- Harry, nie możesz żądać od wszystkich, żeby pracowali dla ciebie za darmo...

- UWIELBIAM, jak ludzie pracują dla mnie ZA DARMO! UWIELBIAM!

- Ale... to nie jest w porządku... oni pracowali dla was przez wiele miesięcy! Musicie im coś zapłacić!

- Dobra, dostaną 15 tysięcy.

- 30 tysięcy za tyle miesięcy harówki?

- Nie, 15 tysięcy dla *obydwu*.

- Niemożliwe...

- Nie ma rzeczy niemożliwych... - Popatrzył na mnie. - Co to za gość?

- Autor scenariusza.

- Jest stary, już długo nie pociągnie. Potrącam mu 10 tysięcy...
- Nic z tego, ja mu płacę...
- Wobec tego potrącam tobie dychę, a ty mu też potrąć dychę...
- Harry, proszę cię, przestań...

Friedman wstał z krzesła i podszedł do skórzanej sofy pod ścianą. Runął na sofę jak długi. Zapatrzył się w sufit bez słowa. Nagle rozległo się jakby ciche szlochanie. Oczy Harry'ego zwilgotniały.

- Nie mamy pieniędzy. Nie wiem, co robić. Ratunku, na pomoc!

Zamilkł na dobre 2 minuty. Jon zapalił papierosa i czekał.

W końcu Friedman przemówił, nie odrywając oczu od sufitu.

- Moglibyśmy go reklamować jako film artystyczny, jak uważasz?
- Nno, tak - zgodził się Jon.

Friedman zerwał się z kanapy i podbiegł do Jona:

- **FILM ARTYSTYCZNY! FILM ARTYSTYCZNY! TO ZNACZY, ŻE BĘDZIESZ ROBIŁ ZA DARMO!**

Jon wstał z krzesła.

- Musimy już iść, panie Friedman.

Podeszliśmy z Jonem do drzwi.

- Jon, ci *krwiopijcy* muszą odejść - zawołał za nim Friedman.
- Krwiopijcy - dobiegł nas, już zza drzwi, głos Fischmana. Ruszyliśmy w stronę bulwaru.

23

Postanowiliśmy z Sarą złożyć ponowną wizytę w getcie. Zdecydowałem się na jazdę starym garbusem, którego nie zdążyłem się jeszcze pozbyć.

Wszystko wyglądało tak jak poprzednim razem, tyle tylko że ktoś na środek ulicy wyrzucił materac, który trzeba było objeżdżać dookoła.

Czuliśmy się jak na ulicach wioski podczas nalotu nieprzyjaciela. Żywej duszy w polu widzenia, jakby na dany znak wszyscy się pochowali. Mimo to cały czas miałem wrażenie, że jestem pod obstrzałem setki oczu. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Zaparkowałem samochód. Wysiedliśmy z Sarą. Zastukaliśmy do drzwi. Drzwi miały 5 dziur od kul. Tego jeszcze nie było.

Zastukałem jeszcze raz.

- Kto tam? - usłyszałem głos Jona.
- Hank i Sara. Dzwoniliśmy. Już jesteśmy.

- Aha...

Drzwi otwarły się.

- Wchodźcie, proszę...

François Racine siedział przy stole z nieodłączną butelką wina.

- Życie nie ma sensu - oświadczył.

Jon założył łańcuchy na drzwi. Sara przejechała palcami po dziurach od kul.

- Widzę, że mieliście termity...

- O, tak... - roześmiał się Jon. - Siadajcie...

Przyniósł kieliszki. Usiedliśmy. Nalał nam wina.

- Któregoś dnia zaczęli gwałcić dziewczynę na masce mojego samochodu. Było ich 5 czy 6. Przeszkodziliśmy im. Wpadli w szal. Minęło parę dni. Któregoś wieczora siedzimy w domu, a tu nagle bang - bang - bang - bang, kule przelatują przez drzwi. Potem robi się cicho.

- W każdym razie żyjemy - zauważyła FRANÇOIS. - Siedzimy i popijamy winko.

- Zwyczajna napaść - stwierdził Jon. Chcą nas stąd wykopać. Nie dam się ruszyć.

- Przyjdzie taki dzień, że się nie ruszysz, czy będziesz chciał, czy nie - zwrócił mu uwagę François.

- Mają więcej splotów niż policja i częściej po nie sięgają - dodał Jon.

- Powinniście się stąd wyprowadzić - zawyrokowała Sara.

- Żartujesz? Zapłaciliśmy za 3 miesiące z góry. Stracilibyśmy te pieniądze.

- Uważasz, że lepiej stracić życie? - spytał François, pociągając solidnego łyka.

- Możecie spać po nocach? - dopytywałem się.

- Musimy wypić, żeby zasnąć. Zresztą i tak nie znamy dnia ani godziny. Kraty w oknach nie na wiele się zdadzą. Mój sąsiad też ma takie kraty. Pewnego wieczora jadł samotnie kolację, nagle patrzy, a za nim stoi facet ze spluwą. Dostał się jakimś cudem przez dach. Oni tam mają swoje przejścia. Siedzą w piwnicy i na dachu. Słyszą każde nasze słowo. Teraz też podsłuchują.

Rozległy się 4 głośne stuknięcia w deski od podłogi.

- Widzicie?

François zerwał się i tupnął w podłogę.

- CISZA! CISZA! CO WY ZA DIABŁY JAKIEŚ JESTEŚCIE?

Z dołu nikt nie odpowiedział. Myślę, że po prostu chcieli nam tylko dać znać o swojej obecności. Nie mieli najmniejszego zamiaru się spoufalać.

François usiadł z powrotem.

- W sumie przerażające - odezwała się Sara.

- Właśnie - potaknął Jon. - Ukradli nam telewizor, na szczęście tutaj w ogóle nie oglądaliśmy telewizji.

- Myślałem, że to murzyńskie getto, ale ostatnim razem widziałem paru Latynosów... - zauważyłem.

- O, tak - potwierdził Jon. - Mamy tutaj jeden z najokrutniejszych gangów meksykańskich. V - 66. Możesz zostać przyjęty, dopiero jak masz trupa na sumieniu.

Zaległa długa cisza.

- Jak się posuwa film? - spytałem, głównie po to, żeby przerwać milczenie.

- Właśnie rusza produkcja. Co dzień jestem na miejscu i godzinami pracuję z ludźmi. Niedługo zaczynamy zdjęcia. Z każdym dniem, z każdym dolarem zainwestowanym przez Firepower, film nabiera coraz bardziej realnych kształtów. Co dzień jednak są jakieś obsuwy...

- Na przykład? zainteresowała się Sara.

- Na przykład chcieliśmy wynająć kamerę...

- Kamerę wynajmujecie?

- Owszem. Więc pojechaliśmy po kamerę, ale firma odmówiła wypożyczenia sprzętu.

- Dlaczego? - spytałem podchodząc do okna, żeby sprawdzić, czy garbus jeszcze stoi.

- Firepower nie zapłaciła im poprzednim razem. Więc firma zażądała od Firepower zapłaty czekiem potwierdzonym za wynajęcie kamery wtedy i teraz.

- Dali im ten czek? - spytałem.

- Dali.

François wstał.

- Muszę przeliczyć kury - oświadczył wychodząc.

- François nie jest przerażony życiem w takich warunkach? - spytała Sara.

- Nie - uspokoił ją Jon - François jest szalony. Któregoś dnia siedział sam w domu, nagle patrzy, a tu w środku stoi dwóch facetów, jeden z nożem. „Dawaj forse!” - mówi ten z nożem. „To *ty* mi dawaj *twoją* forse!” - François na to. Był pijany. Porwał swój kij i zaczął łąć jednego z drugim. Wybiegli z domu, a François gonił ich ulicą, okładając kijem i wrzeszcząc: „ODWALCIE SIĘ OD MOJEGO DOMU! IDŹCIE SOBIE DO KOGOŚ INNEGO! PRZESTAŃCIE KRAŚĆ MOJE KURY!” Gonił ich jeszcze cały kawał ulicą.

- Mogli go zabić.

- Jest zbyt szalony, żeby na to wpaść.

- Ma szczęście, że go nie zabili - zauważyła Sara.

- No. Moim zdaniem bardzo pomaga fakt, że się jest Francuzem, a nie Amerykaninem. Są przez to lekko skołowani, bo nie mogą wzbudzić w sobie aż takiej nienawiści jak do Amerykanów. Wyczuwają, że François jest szalony, a nie wszyscy kolesie tutaj są mordercami. Niektórzy są tylko ludźmi, którzy muszą jakoś przeżyć.

- Chcesz powiedzieć, że nie wszyscy są ludźmi? - spytała Sara.

- Niektórzy aż za bardzo - stwierdził Jon.

Wrócił François.

- Przeliczyłem kury. Żadnej nie brakuje. Pogadałem troszkę. Pogadałem z moimi kurkami.

Usiadł. Jon napełnił kieliszek.

- Chciałbym mieć zamek - westchnął François. - . Chciałbym mieć 6 dzieci i wielką, tęgą, żonę.

- Po co ci to wszystko? zaciekałem się.

- Po to, żeby ktoś się do mnie odzywał, kiedy się zgram przy stoliku. Teraz, kiedy się zgram przy stoliku, nikt się do mnie nie odzywa.

Chciałem mu zwrócić uwagę, że kiedy się zgra przy stoliku, tęga żona i 6 dzieci również mogą nie mieć ochoty się do niego odzywać. Ale się rozmyśliłem. François i tak już cierpiał dostatecznie.

Powiedziałem w zamian coś innego.

- Musimy się kiedyś wybrać razem na wyścigi.

- Kiedy? - spytał.

- Niedługo.

- Mam nowy system.

- Kto go nie ma?

Zadzwoił telefon. Po 3. dzwonku Jon podniósł słuchawkę.

- Allo...

- Tak... tak, mówi Jon... Co? Niemożliwe!

Nie wypuszczając słuchawki, odwrócił się do nas.

- Rozłączył się...

- Kto?

Jon odłożył słuchawkę. Stał jak wryty.

- Dzwonił Harry Friedman.

- I? - ponagliłem.

- Zawiesili produkcję.

Minęło parę dni. Nie robiłem nic specjalnego - chodziłem na tor, wracałem i dłużyłem trochę przy wierszach. Uprawiałem 3 gatunki literackie: poezję, powieść i opowiadania. Teraz, ze scenariuszem, miało ich być 4. Czy naprawdę? Czy bez filmu byłem scenarzystą? Jim Beam przerwał swój taniec.

Wreszcie zadzwonił Jon.

- Jak tam konie?

- W porządku. A ty jak się miewasz?

- Też w porządku... Chciałem ci tylko powiedzieć, co się dzieje.

- Tak...

- Zaraz po zerwaniu produkcji piliśmy z François przez dwa dni i dwie noce...

- Żeby się splukać z nieczystości?

- Tak. Potem poszedłem do budynku Firepower zobaczyć się z Friedmanem i wyciągnąć od niego, dlaczego zrezygnował z produkcji. Czułem się, jakby mnie kto obuchem dzielił.

- Ja też...

- No więc pojechałem do Firepower. Wartownik nie chciał mnie wpuścić. Było jasne, że Friedman zabronił mnie wpuszczać.

- Sukinsyn.

- Tak, czasem wyłazi z niego kawał sukinsyna. W tej sytuacji poszedłem do drugiego wejścia, gmach ma dwa wejścia...

- Wiem.

- Znam tam pewnego adwokata. Powiedziałem wartownikowi, że idę do adwokata, więc mnie wpuścił. Tymczasem wcale nie poszedłem do adwokata, tylko prosto do gabinetu Friedmana. Wchodzę do środka...

- Bardzo dobrze...

- Friedman podnosi głowę. Zauważa mnie. „O, Jon, jak się masz?” - mówi. Ja mu na to, że świetnie. Postanowiłem go w ogóle nie pytać, dlaczego zerwał produkcję. Uznałem, że to jego sprawa. Mówię tylko: „Będziemy musieli poszukać innej wytwórni”. „Znaleźliście już kogoś?” - pyta. Mówię, że jeszcze nie. „Ale znajdziemy, dlatego chciałbym, żeby pan mi coś obiecał”. „Co takiego?” - pyta. „Kiedy kogoś znajdziemy, załatwimy wam zwrot dotychczasowych wydatków związanych z produkcją”. „Zgoda” - on na to. „Ale - mówię mu - musi mi pan dać słowo, że Firepower nie będzie w żaden sposób utrudniać produkcji ani domagać się dalszej forsy”. „Zgoda - oświadczył Friedman. -

Możecie kogoś szukać. Zgadzam się na wasze warunki. Życzę powodzenia.”

- I tyle?

- Tak. Uścisnęliśmy sobie ręce i wyszedłem. Myślę, że był zachwycony perspektywą zwrotu dotychczasowych kosztów produkcji.

- Wobec tego musimy teraz tylko kogoś znaleźć.

- Już znaleźliśmy...

- Co?

- Widzisz, przez cały czas, kiedy zadawaliśmy się z Firepower, nawet po podpisaniu umowy, potajemnie szukaliśmy innych sponsorów. Nigdy do końca nie ufaliśmy Firepower. Kiedy zerwali produkcję, na ich miejsce wskoczył natychmiast inny sponsor.

- Naprawdę? Kto to taki?

- Edleman ze Wschodniego Wybrzeża. Spekulacje ziemią na wielką skalę. Jego prawą ręką na Zachodnim Wybrzeżu jest Sorenson. Sprawdziliśmy ich dokładnie. Naprawdę mają forszę. W dodatku mówią: „Tak, mamy pieniądze. Tak, chcemy robić ten film. Weźmy się do roboty.”

- Jesteś pewien, że są w porządku?

- Mają forszę. Solidna firma. Sto razy lepsi od Firepower. Podoba im się scenariusz i aktorzy. Chcą od razu zaczynać zdjęcia. Przygotowujemy odpowiednie umowy. Podpiszemy je w czwartek po południu.

- Cudownie, Jon. Cieszę się w twoim i swoim imieniu.

- Tak czy tak, byłem zdecydowany zrobić ten film za wszelką cenę, okazało się jednak, że możemy zaraz ruszać do roboty.

- Jon, jestem z ciebie dumny.

- Będę cię informował na bieżąco. Do widzenia.

- Koniecznie dzwoń. Do widzenia, Jon...

Telefon odezwał się po 2 dniach.

- Sukinsyny! - oświadczył Jon.

- Co się stało?

- Firepower wystawiła nas do wiatru. Zniuchali Edlemana i Sorensona. **DOMAGAJĄ SIĘ TERAZ DODATKOWYCH 500 DO 750 TYSIĘCY DOLARÓW!**

- CO TAKIEGO?

- Friedman złamał słowo. Dorwałem go przez telefon. Mówię mu: „Obiecałeś, że nie będziesz wysuwał dalszych roszczeń! Dałeś słowo!”

- Co on na to?

- Nic. Bez słowa odłożył słuchawkę. Nie mam się z nim jak kontaktować. Nie odbiera telefonów ode mnie. Mam zamiar podjąć protest głodowy!

- Co?

- PROTEST GŁODOWY! Mam już przygotowaną butelkę wody i składane krzeselko. Zamierzam usiąść przed gmachem Firepower i głodować.

- W tej chwili?

- Tak, będę tam za dziesięć minut!

- Chyba nie mówisz poważnie?

- Oczywiście, że mówić poważnie!

Kiedy dojechałem na miejsce, zastałem Jona Pinchota siedzącego przed wytwórnią na składanym krzeselku. Miał ze sobą butelkę wody i był jak sklecony napis:

PROTEST GŁODOWY!

FIREPOWER

TO BANDA OSZUSTÓW!

Zaparkowałem samochód i podszedłem do Jona. Wokół stało 4 czy 5 gapiów. Przyklękłem na chodniku.

- Słuchaj, Jon. Zapomnijmy o tym pieprzonym filmie. Zwrócę ci całą forszę. Nie muszę jej mieć. Wypnijmy się na to wszystko i chodźmy się gdzieś uchlać, co?

Jon sięgnął do kieszeni płaszcza i podał mi kawałek papieru.

- Podaliśmy ten tekst przez umyślnego Harry'emu Friedmanowi. List dotarł do niego. To jest kopia. - Wyciągnął jeszcze jedną kartkę. - A to jest umowa o zrzeczeniu się praw.

Przeczytałem pierwszy tekst:

Drogi Harry!

Oto alternatywne propozycje, które przedstawiłem ci przez telefon. Jak widzisz, jestem gotowy przyjąć każde rozwiązanie. Uwierz mi, że kiedy proponuję wersję, w której nie dostanę ani grosza, to robię tak nie tylko po to, żeby ratować całe przedsięwzięcie, ale również dlatego, że cię kocham, kocham daleko bardziej, niż to sobie możesz wyobrazić.

Decyduj wobec tego. Bardzo cię proszę, nie zwlekaj z decyzją, bo mam Edlemana, który jest gotów przejść film oraz zobowiązania zawarte we wszystkich umowach.

Edleman jest gotów przejąć film od ręki. Jeżeli do czwartku po południu nie otrzyma tekstu załączonej poniżej Propozycji 1, z twoim podpisem, nie będzie w stanie rozpocząć zdjęć 19. Do tego dnia musimy zatrudnić dziesięciu niezbędnych pracowników. Na przejęcie filmu przez Edlemana zostaje nam tylko wtorek i środa. Jeżeli nie zdążymy, nam przepada Bledsoe jako odtwórca głównej roli, a wam około miliona dolarów. Dla wszystkich będzie to samobójstwo, przynajmniej poci względem finansowym. W tej sytuacji zmuszony jestem posunąć się dalej; mianowicie: jeżeli prawa, do filmu nie zostaną, tak jak przyrzekłeś, przekazane jutro rano do godziny 9, zacznę wcielać Propozycję 2, odcinając sobie kolejne kończyny i przesyłając ci je codziennie pocztą. Mówię serio. Nie możemy sobie pozwolić nawet na jeden dzień zwłoki. Dla Naszego Filmu to Kwestia Życia i Śmierci.

Ściskam, Jon.

Drugi dokument zatytułowany był Propozycja 1. Nagłówek głosił:

POPRAWKA DO UMOWY O PRZEKAZANIU PRAW DO FILMU W REŻYSERII JONA PINCHOTA

Tekst wypichcił adwokat, więc ledwie można się było połapać, o co chodzi, wyglądało jednak na to, że dokument nawołuje Friedmana, żeby przekazał film Edlemanowi i zatrzymał sobie pieniądze należne Jonowi.

Oddałem Jonowi oba papiery.

- Na czym polega Propozycja 2?
- Na odcinaniu kończyn.
- Ty to nazywasz propozycją?
- Faktycznie, powinienem to nazwać determinacją.
- Nie zrobisz chyba czegoś takiego?
- Owszem, zrobię.
- Oszalałeś chyba.
- Nie, nie oszalałem. Możesz pojechać ze mną. Muszę się przygotować.
- Przygotować?
- Tak jest.

Wsiedliśmy obaj w samochód Jona.

- Mam już pierwszą z niezbędnych mi rzeczy. Środek przeciw bólowy. Wyobraź sobie, musiałem iść do lekarza, bo mi zaczął wrastać paznokieć u nogi. Zoperował paznokieć, potem zaaplikował środek przeciwbólowy. Podziałał znakomicie...

- Dokąd jedziemy?

- Zobaczysz. No więc musiałem jeszcze raz tam pójść, do kontroli. Mówię do doktora: „Wie pan, dał mi pan naprawdę świetny środek przeciwbólowy, działał bez przerwy przez 10 godzin. Czy mógłby mi pan opowiedzieć o jego działaniu?” Opowiedział, a ja spytałem: „Mógłbym zobaczyć, jak wygląda?” Zaprowadził mnie do gablotki z lekarstwami i pokazał, o który lek chodzi. „To bardzo interesujące” - pochwaliłem. Porozmawialiśmy jeszcze przez chwilę i pożegnałem się. Miałem ze sobą torbę, niewielki neseser. Zostawiłem go przy gablocie z lekarstwami. Wyszedłem z gabinetu. Po chwili zawróciłem. „Bardzo przepraszam - mówię do recepcjonistki - zostawiłem w gabinecie neseser”. Wszedłem do gabinetu. Nie było nikogo. Otwarłem gablotkę i porwałem środek uśmierzający.

- Nie możesz tego zrobić - powiedziałem do Jona.

- Muszę - brzmiała odpowiedź.

Weszliśmy do sklepu z artykułami żelaznymi.

- Słucham? - zwrócił się do nas sprzedawca.

- Potrzebuję piły - wyjaśnił Jon. - Elektrycznej piły łańcuchowej.

Sprzedawca zdjął z tablicy narzędziowej pomarańczowe cacko.

- Firma Black and Decker, jedna z najlepszych pił, jakimi dysponujemy.

- Jak się zakłada ostrze? - dopytywał się Jon. - Jak się je zamocowuje?

- Bardzo prosto - wyjaśnił sprzedawca. Przykręcił ostrze.

Jon przyjrzał się pile. Ostrze miało olbrzymie zęby.

- Hmm - oświadczył - nie o taki rodzaj ostrza mi chodzi.

- A jakie ostrza pana interesują? - spytał sprzedawca.

Jon zastanawiał się przez chwilę.

- Coś do cięcia drewna na maleńkie kawałeczki. Twardego drewna - dodał.

- Rozumiem - powiedział sprzedawca. - Może coś takiego?

Zamontował nowe ostrze z drobnymi, gęstymi, ostrymi ząbkami.

- O to, to - ucieszył się Jon. - Właśnie o to mi chodzi.

- Płaci pan gotówką czy kartą kredytową? - spytał sprzedawca.

Wsiadliśmy do auta i ruszyliśmy podjąć protest głodowy.

- Nie zrobisz tego, prawda? - nalegałem.

- Oczywiście, że zrobię. Zacznę od małego palca lewej ręki. Na co mi mały palec u lewej ręki?

- Chociażby do wystukiwania „a” na maszynie.

- Będę pisał nie używając „a”.

- Słuchaj, przyjacielu, nie dałoby się tego jakoś odkręcić? Puścić całą sprawę w niepamięć?

- Nie. Wykluczone.

- Naprawdę masz zamiar tam być o 9 rano?

- W gabinecie adwokata Friedmana. Włączę piłę. Włączę ją tyle razy, aż zrzekną się praw do filmu.

Nie rozdierając szat, konstatował po prostu suche fakty; nie mogłem mu nie wierzyć.

- Zaczekasz na mnie przed gabinetem adwokata?

- Zaczekam, ale musisz przyjść punktualnie. Przyjdiesz punktualnie?

- Przyjdę punktualnie - obiecałem.

Wróciliśmy pod Firepower.

25

Przyjechałem o 8.50. Zaparkowałem i czekałem w wozie na Jona. Nadszedł o 8.55. Wsiadłem i podszedłem do jego samochodu.

- Dzień dobry, Jon.

- Cześć, Hank. Jak się masz?

- W porządku. Jak ten twój protest głodowy?

- O, trwa nadal. Najważniejsze jest jednak obcinanie kończyn.

Jon miał ze sobą owiniętego w zielony ręcznik black and deckera.

Razem weszliśmy do gmachu Firepower. Do gabinetu adwokata, Neeli Zutnicka, jechało się windą.

Sekretarka spodziewała się naszego przybycia.

- Proszę do gabinetu - powiedziała.

Neeli Zutnick już na nas czekał. Wszedł zza biurka i uściśnął nam dłonie. Potem wrócił na miejsce i usiadł.

- Czy panowie napiją się kawy? - spytał.

- Nie - odparł Jon.

- Ja poproszę - powiedziałem.

Zutnick wcisnął klawisz interkomu.

- Rose? Rose, kochanie... podaj mi jedną kawę... - spojrzał pytająco - z cukrem i śmietanką?

- Czarną.

- Czarną. Dziękuję, Rose... A teraz, panowie... Gdzie jest Friedman? spytał Jon. Pan Friedman udzielił mi wszechstronnej instrukcji. A teraz...

- Gdzie jest gniazdko? - spytał Jon.

- Gniazdko?

- Chciałem włączyć... - Jon zsunął ręcznik, odsłaniając black and deckera.

- Błagam, panie Pinchot...

- Gdzie jest kontakt? Już nie trzeba, widzę go.

Jon przeszedł przez gabinet i wcisnął wtyczkę black and deckera do gniazdka w ścianie.

- Proszę mi wierzyć, że kazałbym wykręcić korki, gdybym wiedział, że przyjedzie pan z tym urządzeniem - powiedział Zutnick.

- Nie ma sprawy - uspokoił go Jon.

- To urządzenie jest najzupełniej zbyteczne - oświadczył Zutnick.

- Mam nadzieję. Przyniosłem je na wszelki wypadek.

Weszła Rose z kawą dla mnie. Jon wcisnął przełącznik black and deckera. Tarcza zawirowała z brzękiem. Filiżanka w dłoni Rose drgnęła nerwowo... wystarczająco, żeby odrobina kawy chlapnęła na jej sukienkę.

- Ojej! Ale mnie pan przestraszył!

- Przepraszam - zaczął tłumaczyć się Jon. - Po prostu chciałem wypróbować...

- Dla kogo miała być kawa?

- Dla mnie - powiedziałem. - Dziękuję.

Rose podała mi filiżankę. Cholernie potrzebowałem kawy.

Wychodząc rzuciła nam przez ramię zatroskane spojrzenie.

- Panowie Friedman i Fischman wyrażają najgłębsze zaniepokojenie pańskim obecnym stanem ducha.

- Przestań pan truć, panie Zutnick. Albo zrzekną się praw do filmu, albo pierwszy kawałek mojego ciała zostanie złożony *tutaj!*

Jon puknął końcem black and deckera w sam środek blatu biurka Zutnicka.

- Ależ panie Pinchot, nie musi pan przecież...

- WŁAŚNIE ŻE MUSZĘ! A PAŃSKI CZAS SIĘ KOŃCZY! ŻĄDAM ZRZECZENIA SIĘ

PRAW DO FILMU! I TO JUŻ!

Zutnick odwrócił się do mnie.

- Jak panu smakuje kawa, panie Chinaski?

Jon wcisnął przełącznik black and deckera i uniósł lewą dłoń, prostując mały palec.

Zamachnął się piłą, której ostrze wirowało wściekle.

- ZACZYNAM!

- ZGODA! - wrzasnął Zutnick.

Jon zdjął palec z przełącznika.

Zutnick wysunął środkową szufladę biurka. Wyjął dwa znormalizowane arkusze tekstu i pchnął w stronę Jona. Jon wziął tekst do ręki, usiadł i zaczął czytać.

- Panie Zutnick - poprosiłem - czy mógłbym jeszcze dostać kawy?

Obrzucił mnie nieprzytomnym spojrzeniem. Nacisnął klawisz interkomu.

- Jeszcze jedną kawę, Rose... Czarną...

- Jak black and decker - zażartowałem.

- Panie Chinaski, to nie jest śmieszne...

Jon ciągle czytał.

Zjawiała się kawa.

- Dziękuję, Rose...

Jon nadal czytał, a my czekaliśmy. Black and deckera położył sobie na kolanach.

- Nie, to mnie nie zadowala - oświadczył w końcu.

- Co?. - zdumiał się Zutnick. - **TO PRZECIEŻ JEST PEŁNE ODSTĄPIENIE OD WSZELKICH PRAW!**

- Punkt „e” musi zostać całkowicie wykreślony. Zawiera zbyt wiele niejasności...

- Czy mógłbym rzucić okiem? - spytał Zutnick.

- Proszę bardzo.

Jon położył papiery na ostrzu black and deckera i podsunął Zutnickowi. Zutnick zdjął je z piły nie bez obrzydzenia. Zaczął studiować punkt „e”.

- Nie widzę tu nic podejrzanego...

- Proszę wykreślić...

- Naprawdę zamierza pan odciąć sobie któryś z palców?

- Owszem. Odetnę również któryś z pańskich, jak mi się spodoba.

- Jak mam to rozumieć? Pan mi grozi?

- Proszę zwrócić uwagę na fakt, że nie mam nic do stracenia. W przeciwieństwie do was.

- Umowa podpisana w takich okolicznościach może zostać unieważniona.

Rzygać mi się chce, Zutnick, jak pana słucham. Proszę wykreślić punki „e”, bo odetnę sobie palec. I TO JUŻ!

Jon wcisnął przełącznik. Black and decker ruszył z warkotem. Jon Pinchot wyprostował mały palec lewej dłoni.

- STOP! - wrzasnął Zutnick.

Jon wyłączył piłę.

- ROSE! Proszę przyjdź do nas... - rzucił Zutnick do interkomu.

- Panowie życzą sobie jeszcze kawy? - spytała Rose wchodząc.

- Dziękujemy, Rose. Chciałbym, żebyś jeszcze raz przejrzała i przepisała umowę z pominięciem punktu „e”. Będę czekał.

- . Tak jest, panie Zutnick.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu.

- Może pan już wyjąć z kontaktu to urządzenie - odezwał się w końcu Zutnick.

- Jeszcze nie - oświadczył Jon. - Jeszcze sprawa nie została doprowadzona do końca.

- Naprawdę znalazł pan innego producenta?

- Jasne, że tak...

- Zechce pan zdradzić jego nazwisko?

- Proszę bardzo. Hal Edleman. Friedman wie o tym.

Zutnick zamrugał. Słyszał o Edlemanie. Edleman to była wielka forsa.

- Czytałem scenariusz. Wydał mi się dość... nieskomplikowany.

- Czy czytał pan poza tym cokolwiek z twórczości pana Chinaskiego? - indagował Jon.

- Nie, ale córka czytała zbiór opowiadań *Stek marzeń*.

- I?

- Uważa, że są wstrętne.

Wróciła Rose z przepisaną umową. Podała ją Zutnickowi. Zutnick przejrzał dokument, wstał i podszedł do Jona.

Jon jeszcze raz przeczytał całość.

- Bardzo dobrze.

Odniósł umowę na biurko, nachylił się i podpisał. Zutnick złożył swój podpis w imieniu Friedmana i Fischmana i już było po wszystkim. Każda ze stron zachowała swoją kopię.

Zutnick roześmiał się z ulgą.

- Adwokaci wykonują swój zawód w coraz dziwniejszych okolicznościach.

Jon wyciągnął z gniazdka wtyczkę black and deckera. Zutnick podszedł do szafki ściennej i wystawił na biurko butelkę i 3 kieliszki. Nalał wszystkim.

- Za naszą umowę, panowie.....
- Za naszą umowę... - powtórzył Jon.
- Za naszą umowę - zawtórował scenarzysta.

Nie dość, że obaliliśmy po kieliszku brandy, to jeszcze udało nam się odzyskać nasz film.

Odprowadziłem Jona do jego samochodu. Cisnął black and deckera na tylne siedzenie i siadł za kierownicą.

- Jon? - spytałem z krawężnika. - Powiesz mi coś na serio?
- Jasne.
- Z tym black and deckerem, no wiesz, to zostanie między nami. Naprawdę chciałeś uciąć sobie palec?
- Oczywiście.
- No a potem? Miałeś zamiar odcinać sobie kolejne palce?
- Pewnie. Jak już raz zaczniesz, to nie ma końca.
- Odważny z, ciebie gość.
- Ee, tam. Tak naprawdę to jestem głodny.
- Czy mogę cię zaprosić na śniadanie?
- Czemu nie... Znam fajne miejsce... Jedź za mną...
- Dobra.

Ruszyliśmy z Jonem przez Hollywood, skąpany w blasku i cieniach Alfreda Hitchcocka, Laurela i Hardy'ego, Clarka Gable, Glorii Swanson, Myszki Miki i Humphreya Bogarta.

26

Przez jakiś tydzień nie wydarzyło się nic specjalnego. Właśnie bawiłem się na dywanie z jednym z kotów, kiedy zadzwonił telefon. Odebrała Sara.

- Słucham? O, cześć, Jon. Tak, jest w domu. W poniedziałki i wtorki nie ma gonitw. Co? Rany, ale heca... Zaczekaj, dam ci Hanka.

Podniosłem się z dywanu i wziąłem słuchawkę do ręki.

- Cześć, Jon.
- Hank, jest obsuwa...

- Z czym?

- Z tym całym Edelmanem. Za 7 milionów dolców próbowali odsprzedać *Taniec Jima Beama* za naszymi plecami. Ludzie, których wynająłem, kiedy współpracowaliśmy z Firepower, żeby po cichu rozejrzeli się za innym sponsorem, donieśli mi, że ludzie Edlemana zaproponowali im odkupienie praw do filmu za 7 milionów.

- Przecież oni jeszcze nie mają żadnych praw.

- Udawali, że mają. Przedstawili scenariusz, budżet, aktorów. Za prawo do produkcji filmu żądali 7 milionów. Planowali cichcem podpisać umowę, a potem odkupić od nas prawa.

- Rany...

- Kolejny raz padamy ofiarą szajki oszustów. Koniec z Edlemanem. Mamy go z głowy. W tej sytuacji musimy rozejrzeć się za nowym producentem. Przykro mi, że cię niepokoję, ale chyba lepiej, żebyś wiedział.

- Jasne, że tak. Jak wam idzie?

- Dzwonimy do różnych ludzi. Przedstawiamy im sytuację przez telefon, oni na to: „Znakomicie, bierzemy ten film”. A potem czytają scenariusz i mówią: „Nie, dziękujemy”. Całe Hollywood nam podziękowało. Oto film z dwójką znanych aktorów i budżetem tak niskim, że nie ma siły, żeby nie przyniósł zysków, a mimo to wszyscy w tym mieście nam podziękowali. Wprost niebywałe!

- Scenariusz im się nie podoba - stwierdziłem.

- Na to wygląda.

- A mnie się oni nie podobają. Nie podobają mi się ani trochę.

- Cóż, będziemy próbować dalej. Muszą być jeszcze jacyś ludzie, którym nie proponowaliśmy filmu...

- To brzmi ponuro...

- Jakoś damy sobie radę.

- Cieszy mnie twój optymizm.

- Nie przejmuj się.

- Dobra...

Wróciłem na dywan bawić się z kotem w polowanie na kawałek sznurka.

- Znów z filmu nic nie wyszło - powiedziałem Sarze. - Nikomu się nie podoba scenariusz.

- A tobie się podoba?

- Myślę, że jest lepszy niż większość scenariuszy, jakie miałem w ręku, ale mogę się

mylić. Przede wszystkim jest mi żal Jona.

Kot nie trafił w sznurek, za to wbił pazury w wierzch mojej dłoni. Pocięła krew. Poszedłem do łazienki i zalałem skaleczenie wodą utlenioną. Z lustra wyjrzała moja twarz; ot zwykły starszy pan, który napisał scenariusz. Niech to szlag.

Na wyścigach nigdy nie dopadały mnie żadne złe wiadomości, bo byłem poza domem i nie było mnie jak łapać.

Tor z powrotem upomniął się o swoje prawa. Co dzień jeździłem na wyścigi, szło mi nie najgorzej. Kiedy miałem już dosyć, wracałem do domu, jadłem coś niecoś, oglądałem telewizję z Sarą i szedłem na górę, gdzie już czekały butelki z winem i maszyna. Pracowałem nad wierszami. Wiersze nie przynoszą zbyt dużo szmalu, ale pozwalają się wyżyć.

Po paru tygodniach Jon odezwał się.

- Znów jesteśmy udupieni - oświadczył. - I to gorzej niż kiedykolwiek!

- Co się stało?

- Wyobraź sobie, znaleźliśmy producenta, któremu wszystko się podobało, nawet scenariusz. „Dobra - mówi. - Bierzymy ten film. Przynieś dokumenty, podpiszę umowę i wystartujemy z produkcją.” Ustaliliśmy termin podpisania umowy, ale facet zadzwonił wcześniej. „Nie mogę wziąć filmu”. Cóż się okazuje? Pewien znany reżyser twierdzi, że posiada prawa do ekranizacji wszystkich utworów poświęconych Henry'emu Chinaskiemu. „Jestem bezsilny - mówi mi. - Nie mogę podjąć się roboty.”

W niejednej powieści nazwałem głównego bohatera Henry Chinaski.

Posłużyłem się tym nazwiskiem również w scenariuszu.

- Co ty pieprzysz? - zaniepokoiłem się.

- Nic nie pieprzę. Sprzedałeś prawa do postaci Henry'ego Chinaskiego.

- Nieprawda - powiedziałem - ale nawet gdyby tak było, wystarczy zmienić imię i nazwisko bohatera.

- Niestety, umowa przyznaje mu prawo do *postaci*, obojętne pod jakim nazwiskiem występuje. Na zawsze.

- Nie wierzę...

- Obawiam się, że sprzedając powieść *Spedytor* reżyserowi Hectorowi Blackfordowi, sprzedałeś również prawa do ekranizacji postaci.

- Sprzedałem mu prawa do filmu, fakt, za marne 2 tysiące dolarów. Przymierałem głodem i wydawało mi się, że to kupa forsy. Blackford nigdy nie nakręcił *Spedytora*.

- To nie ma znaczenia. W umowie stoi, że dożgonnie uzyskał prawa do tej postaci.

- Skąd się o tym wszystkim dowiedziałeś?

- Otóż pewien adwokat, niejaki Fletcher Jaystone, poszedł do łóżka z pewną montażystką. Zrobili swoje, a kiedy było po wszystkim, wzrok adwokata padł na scenariusz spoczywający na stoliku nocnym. Adwokat wziął scenariusz do ręki i czyta: *Taniec Jima Beama*. Odkłada scenariusz na stolik i mówi montażystce: „HENRY CHINASKI! PRZECIEŻ TEN TYP NALEŻY DO MOJEGO KLIENTA! SAM PRZYGOTOWYWAŁEM DLA NICH UMOWĘ!” Po chwili wiadomość obiega całe Hollywood. Koniec z *Tańcem Jima Beama*. Nikt nie tknie filmu palcem, bo Blackford ze swoim adwokatem są właścicielami postaci Henry'ego Chinaskiego.

- To niemożliwe, Jon. Nie sprzedałbym tych praw do końca świata za główniane 2 tauzeny, musiałbym być niespełna rozumu.

- Tak stoi w umowie.

- Czytałem umowę, zanim ją podpisałem. Nic takiego tam nie było.

- No to przeczytaj sobie paragraf VI.

- Nie wierzę.

- Zadzwoń do tego całego adwokata. Twardy gość. „Henry Chinaski jest naszą własnością - oświadczył. . - Swego czasu zainwestowałem w ten zakup 15 tysięcy moich prywatnych dolarów, spory pieniądz jak na tamte lata. To jest nadal spory pieniądz.” Wkurzyłem się i zacząłem na niego wrzeszczeć. „Chwileczkę - przerwał mi - proszę nie zwracać się do mnie w ten sposób”. Nie mogłem się z nim w żaden sposób dogadać. Nie wiem, czy chce wycisnąć z tego kupę forsy, czy knuje coś innego, dość, że *Taniec Jima Beama* chwilowo poległ, poległ w sposób beznadziejny. Koniec z filmem.

- Zadzwoń do ciebie za chwilę, Jon.

Przejrzałem umowę i sprawdziłem paragraf VI. Mimo najszczerzych chęci nie mogłem się tam doszukać niczego, co sugerowałoby wprost czy w zawołowany sposób wyzbycie się praw do postaci Chinaskiego. Przeczytałem paragraf VI ileś razy, ale nic takiego nie znalazłem.

Zadzwoń do Jona.

- W paragrafie VI nie ma absolutnie nic na temat dożywotniej utraty praw do postaci Chinaskiego. Co wam odbiło? Czy wyście wszyscy tam na łby poupadali?

- Nie poupadaliśmy, tylko taka jest wymowa.

- Jak znowu wymowa?

- Wymowa paragrafu VI.

- Masz u siebie umowę, Jon?

- Mam.

- Czy możesz mi wskazać miejsce, w którym stoi, że ten facet nabywa praw do Henry'ego Chinaskiego?

- No, paragraf sugeruje coś w tym stylu...

- To jest jakieś SZALEŃSTWO! Nie widzę tutaj nawet cienia sugestii!

- Jeśli zaczniemy się z nimi procesować, możemy strawić 3, 4, a nawet 5 lat na włożenie się po sądach... Przez ten czas *Jim Beam* polegnie z kretesem. Nikt nie zechce go tknąć!

- CZY WSZYSCY W TYM MIEŚCIE SĄ AŻ TAKIMI TCHÓRZAMI? W PARAGRAFIE VI NIE MA JEDNEGO JEDYNEGO SŁOWA NA TEMAT SPRZEDAŻY PRAW DO HENRY'EGO CHINASKIEGO TYM FACETOM!

- Podpisałeś rezygnację z praw do Henry'ego Chinaskiego do końca życia - oświadczył Jon.

On też musiał upaść na łeb. Odłożyłem słuchawkę.

Odszukałem numer Hectora Blackforda. Jego nazwisko, jak za dawnych lat, figurowało w książce telefonicznej. Znałem Hectora jeszcze z czasów, kiedy kończył szkołę filmową przy Uniwersytecie Południowokalifornijskim. Jednym z jego pierwszych filmów był dokument poświęcony mojej osobie. Dokument szedł któregoś wieczoru na kanale telewizji publicznej. Następnego ranka do telewizji zadzwoniło 50 osób zgłosić rezygnację z subskrypcji na kanał.

Parę razy daliśmy w banię z Hectorem. Miał wielką ochotę nakręcić *Spedytora*, nawet pokazał mi scenariusz, ale był beznadziejny, więc mu odradziłem. Potem nasze drogi się rozeszły. On wyreżyserował parę hitów, dzięki czemu stał się bogaty i sławny. Ja wziąłem się za pisanie wierszy i zapomniałem o *Spedytorze*.

Zadzwoniłem. Odebrał Blackford.

- Hector, tu mówi Hank.

- Sie masz, Hank. Jak ci leci?

- Nie najlepiej.

- Co się stało?

- Chodzi o *Jima Beama*. Po mieście krąży facet, który twierdzi, że obaj jesteście właścicielami Henry'ego Chinaskiego! Znasz gościa?

- Fletcher Janstone?

- Owszem, Hector, wiesz dobrze, że nie dałbym dupy ani nie zaprzedał duszy za gówniane 2 tauzeny.

- Fletcher twierdzi, że tak zrobiłeś...

- Czytałeś umowę?

- Tak.

- Znalazłeś coś?

- Trudno powiedzieć.

- Słuchaj, stary, nie zamierzasz mnie chyba udupić z powodu prawniczego bełkotu, którego i tak nikt nie potrafi zrozumieć?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, że przymierzamy się do filmu, a coś takiego skreśla nas na samym starcie. Pamiętasz jeszcze te noce, kiedy nam się tak dobrze gawędziło po pijaku?

- Tak, to były niezłe noce.

- No to pogadaj z tym twoim kolesiem i powiedz mu, żeby się od nas odpieprzył. Chcemy tylko swobodnie oddychać, nic więcej.

- Zadzwoń do ciebie za chwilę, Hank...

Usiadłem przy aparacie. Czekałem 15 minut.

Telefon zadzwonił.

- Wszystko w porządku, Janstone zgodził się na unieważnienie umowy - oświadczył Hector.

- Dzięki, stary. Wiedziałem, że masz dobre serce. Praca w filmie jeszcze cię nie zdeprawowała.

- Jaystone natychmiast wysłał ci unieważnienie.

- Wspaniale! Wspaniale! Hector, jesteś genialny!

- A poza tym...

- Co takiego?

- Nakręcę jeszcze kiedyś *Spedytora*. Zobaczysz.

- Świetnie, stary! Pozdrów żonę!

- Pozdrów Sarę - odwzajemnił się Hector.

Dziewięć dziesiątych tego typu akcji rozgrywa się przez telefon, a pozostała jedna dziesiąta polega na podpisywaniu dokumentów.

Zadzwoń do Jona.

- Hector wyperswadował całą sprawę twojemu Jaystone'owi. Jaystone ma nam przysłać unieważnienie umowy.

- Świetnie! Znakomicie! Możemy wreszcie ruszać! Hector to twój stary kumpel, prawda?

- Tak jakby tego dowiodł.

- Z unieważnieniem w ręku mogę od razu polecieć do nowego producenta... Właściwie dlaczego zamiast czekać na pocztę, nie miałbym zaraz pojechać do biura Jaystone'a i sam je odebrać?

- Jasne. Zadzwoń i umówcie się.

- No to jakbyśmy z powrotem wylądowali w Hollywood - stwierdził Jon.

- Owszem, może powinniśmy wpaść na lunch do Musso?

- Kiedy?

- Jutro, o pierwszej trzydzieści.

- To do jutra - powiedział Jon.

- Do jutra - odpowiedziałem.

27

Przesiadywałem wystukując wiersze, które wysyłałem do podrzędnych czasopism. Sam nie wiem czemu, ale żadne opowiadanie nie chciało spłynąć na maszynę elektryczną. Złościło mnie to, a nic nie mogłem poradzić, dłużyłem więc przy wierszach. Poezja była dla mnie uczcą duchową i wyzwoleniem. Pocieszałem się, że opowiadania same się pojawią któregoś dnia. Bardzo na to liczyłem. Tymczasem konie biegały, wino się lało, a Sara wyczyniała cuda w ogrodzie.

Chyba z tydzień nie miałem wiadomości od Jona. Wreszcie któregoś wieczoru zadzwonił telefon.

- Znasz nowego producenta, dla którego załatwiliśmy unieważnienie umowy z Blackfordem?

- Tak. Jest gotów ruszać?

- Wycofał się. Powiedział, że nie weźmie naszego filmu.

- Dlaczego?

- Mówi, że kiedy czekał na dokumenty, otrzymał atrakcyjniejszą propozycję. Scenariusz o bliźniakach - sierotach, które zdobywają Puchar Świata w deblu.

- Brzmi nadzwyczajnie. Szkoda, że sam nie wpadłem na ten pomysł.

- Ale mam też dobre wieści.

- Na przykład jakie?

- Firepower namyśliła się i bierze nasz film z powrotem.

- Dlaczego?

- Chyba się przestraszyli, że ktoś inny go zrobi. Pewnie węższą w tym niezły zarobek. Co by nie mówić, budżet został okrojony do suchej kości. Wszyscy dostali po kieszeni. To ich robota, prawdziwy majstersztyk. Zdaje się, nie chcą, żeby ktoś inny na tym skorzystał. Zadzwonił do mnie Harry Friedman i mówi: „Dawaj mi tu ten przekłety film”. „Dobra - mówię. - Bierz go sobie.” A on na to: „Jeżeli film nie robi kasy, własnoręcznie obetnę ci *wszystkie paluchy!*”

- Czyli wracamy do punktu wyjścia?

- Właśnie.

Trzy czy cztery wieczory później Jon zadzwonił znowu.

- Mogę wpaść? Muszę z tobą pogadać.

- Jasne, wpadaj...

Pół godziny później Jon stanął w progu. Na stoliku czekała już butelka i kieliszki.

- Wejdz, Jon...

- Gdzie Sara?

- Na kursach aktorskich.

- Aha...

Jon obszedł stół i zajął ulubione miejsce przy kominku. Napeliłem mu kieliszek.

- No to opowiadaj.

- Otóż mamy właśnie zaczynać zdjęcia, rozpisaliśmy cały harmonogram, a tu przychodzi wiadomość z Bostonu, że Francine Bowers zachorowała. Musi przejść operację. Będzie zdolna do pracy dopiero za 2 tygodnie.

- Co zamierzacie zrobić?

- Kręcić wszystkie sceny bez Francine. Chcemy nakręcić Jacka Bledsoe'a i całą resztę, a sceny z Francine na samym końcu. Naszykowaliśmy wszystko do pierwszej sceny z Jackiem, ale on nie chce zagrać.

- Dlaczego?

- Żąda, żeby go dowozić na plan rolls - roycem z otwieranym dachem.

- Zwariował czy jak?

- Ma rollsa zagwarantowanego w umowie. Skombinowaliśmy samochód, to znowu kolor mu nie odpowiadał. Zaczęliśmy kręcić sceny bez Jacka i Francine, Wreszcie znaleźliśmy rollsa odpowiedniego koloru ze składanym dachem i Jack oznajmił, że jest.

gotów do zdjęć.

Napełniłem kieliszki.

- On chce, żebyś siedział na planie i patrzył, jak gra - powiedział Jon.

- Co takiego? Chyba wie, że muszę jeździć na tor!

- Mówi, że gonitwy nie odbywają się co dzień.

- Fakt.

- Słuchaj, Hank, on by chciał, żebyś napisał specjalnie dla niego jedną scenę.

- Mianowicie?

- Chciałby zagrać jakąś scenę przed lustrem, coś powiedzieć do lustra. Na przykład wiersz...

- Jon, taka scena wszystko rozwali.

- Aktorzy bywają uciążliwi. Jak im się coś na wstępie nie spodoba, potrafią położyć cały film.

Tak właśnie człowiek zaczyna się prostytuować - pomyślałem.

- Dobra - poddałem się - napiszę ten wiersz do lustra.

- Aha, jeszcze Francine chciałaby pokazać w jakiejś scenie nogi. Ma znakomite nogi, rozumiesz.

- Dobra, dopiszę scenę z nogami...

- Dzięki. Wiesz, chyba niedługo powinieneś dostać następne pieniądze. Mieliśmy ci zapłacić zaraz po rozpoczęciu zdjęć, ale Firepower wstrzymała wszystkie wypłaty. Jak tylko nam zapłacą, też dostaniesz forszę.

- W porządku, Jon.

- Bardzo bym chciał, żebyś przyjechał zobaczyć bar i hotel, w którym kręcimy. Wyobraź sobie, zaangażowaliśmy prawdziwą klientelę baru. Wszystkich zakwaterowaliśmy w naszym hotelu. Zobaczysz, przypadną ci do gustu.

- Zajrzemy do was w poniedziałek...

- Miałem jeszcze parę pomniejszych kłopotów z Jackiem.

- Co takiego, na przykład?

- Żądał opalenizny, kapelusika z wąskim rondem i włosów związanych w ogonek...

- Nie wierzę...

- Serio. Bóg wie ile godzin trwało, zanim mu to wyperswadowałem. Zobacz tylko, w czym chciał wystąpić!

Sięgnął do teczki i włożył na nos ogromne okulary przeciwsłoneczne, z zielonymi plastikowymi oprawkami w kształcie palmy.

- Czy on oszalał? - zdumiałem się. - W całej Kalifornii ze świecą nie znalazłbyś człowieka, który włożyłby coś takiego.

- To samo mu powiedziałem. Zażądał, żeby mu pozwolono włożyć okulary jeden raz, chociaż na chwilę. „NIE MOŻECIE POZBAWIAĆ MNIE JAJEC!” - wrzeszczał na mnie.

- Nie mam najmniejszego zamiaru pozbawiać Jacka jajec - oświadczyłem. - Wymyślę jakąś scenę, w której będzie mógł włożyć te swoje okulary.

- Dasz mi te sceny, jak tylko będziesz miał gotowe?

- Wezmę się za nie wieczorem.

Nalałem jeszcze jedną kolejkę.

- Jak się miewa François?

- Słyszałeś już, że stracił 60 tysięcy na swojej ćwiczebnej ruletce?

- Słyszałem.

- No więc jakoś się z tego wygrzebał. Jest teraz 6 tysięcy dolarów do przodu i nastrój bardzo mu się poprawił.

- To świetnie.

Wiara, wytrwałość i szczęście - to wszystko, czego człowiekowi trzeba.

28

Zdjęcia miały się zacząć od Culver City. Tam znajdował się bar i hotel z moim pokojem. Dalsze zdjęcia mieli kręcić w okolicach Alvarado Street, gdzie znajdowało się mieszkanie głównej bohaterki.

Później planowano wykorzystać bar na rogu Szóstej i Vermont, ale pierwsze zdjęcia miały być nakręcone w Culver City.

Jon oprowadził nas po hotelu, który przypominał swój pierwowzór. W hotelu zakwaterowano załogę baru. Bar mieścił się na parterze. Przystanęliśmy, rozglądając się po lokalu.

- Jak ci się podoba? - spytał Jon.

- Szalenie. Zdarzało mi się mieszkać w gorszych miejscach.

- Wiem coś o tym - westchnęła Sara. - Widywałam te miejsca.

Udaliśmy się do pokoju na piętrze.

- Proszę bardzo. Czy coś ci to przypomina?

Pokój, jak wiele podobnych mu pokoi, był pomalowany na szaro. Podarte firanki, stół i krzesło. Lodówka pokryta grubą warstwą brudu. Żalozne, zapadnięte łóżko.

- Doskonała robota, Jon. To jest *dokładnie ten* pokój.

Zrobiło mi się trochę smutno, że nigdy już nie będę młody, że to wszystko już się nie

powtórzy: picie, bójki, pierwsze przymiarki do pisania. W młodości człowiek potrafi znieść niezłe wciry. Jedzenie się nie liczyło. Liczyło się tylko picie i pisanie na maszynie. Musiałem być szalony, ale szaleństwo przybiera niejedną postać. Niektóre z nich mają pewien urok. Głodowałem, żeby mieć więcej czasu na pisanie. Nikt już teraz tego nie robi. Patrząc na stół, zobaczyłem przy nim siebie samego sprzed lat. Byłem szalony. Wiedziałem o tym i w ogóle się tym nie przejmowałem.

- Chodźmy na dół popatrzeć na bar...

Zeszliśmy na dół. Załoga, która miała wystąpić w filmie, siedziała już popijając.

- Klapnijmy, Saro. Do zobaczenia, Jon...

Barman zapoznał nas z załogą. Byli tam Potwór, Potworek, Poślizg, Buffo, Psiągłowa, Pani Lila, Wymach, Klara i inni.

Sara spytała Poślizga, co pije.

- Wygląda interesująco - zauważyła.

- Przylądek Cod. Wódka z sokiem porzeczkowym.

- Poproszę Przylądek Cod - zwróciła się Sara do barmana imieniem Kowboj Kai.

- Vodka 7 - rzuciłem Kowbojowi Kai.

Wypiliśmy kilka kolejek. Potwór sprzedał mi opowieść o tym, jak cała załoga wdała się w bójkę z policją. Niezła historia. Co więcej, widać było, że nie łże.

Wezwano aktorów i ekipę na lunch. Załoga nie ruszyła się ze stołków.

- Chodźmy coś przekąsić - powiedziałem do Sary.

Tylnym wyjściem wydostaliśmy się z hotelu od strony wschodniej. Rozstawiono tam wielki stół piknikowy. Przy stole siedzieli już statyści, technicy, fizycy i tym podobni. Żarcie wyglądało przyzwoicie. Jon czekał na nas. Wszyscy troje wzięliśmy swoje porcje z barobusu i poszliśmy na koniec stołu. W pewnej chwili Jon zatrzymał się przy samotnie jedzącym lunch mężczyźnie. Dokonał prezentacji:

- Lance Edwards...

Edwards skinął niedbale głową i zabrał się z powrotem za swój befsztyk.

Usiedliśmy przy końcu stołu. Edwards był jednym z współproducentów.

- Ten cały Edwards zachowuje się jak skończony kutas - stwierdziłem.

- Jest bardzo nieśmiały - wyjaśnił Jon. - To jeden z ludzi, których Friedman usiłował się pozbyć.

- Kto wie, czy nie miał racji.

- Hank - upomniała mnie Sara - nawet nie znasz faceta.

Wziąłem się za piwo.

- Zjedz coś - przypomniała Sara.

Wyraźnie miała zamiar, dla mojego dobra czy na zgubę, wydłużyć mi życie o 10 lat.

- Będziemy teraz kręcić scenę z Jackiem w pokoju. Dobrze, żebyś przyszedł popatrzeć.

- Mamy zamiar wrócić do baru, jak zjemy. Przyślijcie kogoś po nas.

- Dobra - zgodził się Jon.

Po lunchu poszliśmy obejrzeć hotel z drugiej strony. Towarzyszył nam Jon. Przy krawężniku stało zaparkowanych kilka przyczep kempingowych. Najpierw zobaczyliśmy rolls - royce'a Jacka, a za nim wielką srebrną przyczepę z napisem JACK BLEDSOE na drzwiach.

- Zobaczcie - powiedział Jon - z dachu sterczy peryskop, żeby mógł widzieć, kto idzie.

- Rany...

- Słuchajcie, muszę iść wszystko przygotować...

- W porządku... Na razie...

Zabawna rzecz, z angielszczyzny Jona coraz bardziej ulatniał się francuski akcent. Tu, w Ameryce, mówił wyłącznie po angielsku. Trochę mnie to martwiło.

Nagle otwarły się drzwi przyczepy. Stał w nich sam Jack.

- Cześć. Właźcie do środka.

Weszliśmy do przyczepy. W środku grał telewizor. Program oglądała wyciągnięta na łóżku piętrowym dziewczyna.

- Poznajcie Cleo. Kupiłem jej motor. Jeździmy razem.

W nogach łóżka siedział facet.

- Mój brat Doug.

Podszedłem do Douga, machnąłem mu pięścią przed nosem i zadałem w powietrzu kilka bokserskich ciosów. Popatrzył na mnie bez słowa. Trzymał dystans. I fajnie. Lubie takie typy.

- Masz coś do picia? - spytałem Jacka.

- Jasne.

Wyciągnął napoczętą whisky, zmieszał z wodą.

- Dzięki...

- Napijesz się? - spytał Sarę.

- Dziękuję, nie lubię mieszać alkoholi.

- Leci dzisiaj na Przylądku Cod - wyjaśniłem.

- Rozumiem...

Usiedliśmy z Sarą. Whisky była jak trzeba.

- Fajnie tu jest - zauważyłem.
- Możesz tu siedzieć, dokąd zechcesz - zaoferował Jack.
- Może zostanę na zawsze...

Jack obdarzył mnie swoim słynnym uśmiechem.

- Braciszek nie należy do rozmownych, co?
- Ano nie.
- Trzyma dystans.
- Taa...
- Jak tam, Jack, nauczyłeś się roli?
- Zawsze przeglądam rolę dopiero w ostatniej chwili.
- Doskonale. Słuchaj, będziemy już lecieć.
- Bardzo się cieszymy, że grasz główną rolę - powiedziała Sara. - Jestem pewna, że świetnie ci pójdzie.
- Dzięki...

Załoga dalej siedziała w barze. Nie wyglądali nawet na deczko bardziej pijanych. Niełatwo zmóc profesjonalistów.

Sara zamówiła kolejny Przylądek Cod, ja wróciłem do Vodki 7.

Piliśmy, snując dalsze opowieści. Sam też opowiedziałem co nieco. Gadaliśmy z godzinę, kiedy podniosłem głowę i zobaczyłem Jacka, który wypatrywał nas w barze.

Sponad wahadłowych drzwi sterczała tylko jego głowa.

- Ej, Jack - wrzasnąłem - chodź się z nami napić!
- Nie mogę, Hank. Zaraz zaczynamy zdjęcia. Może byście przyszli popatrzeć?
- Za chwilę przyjdziemy, stary...

Zamówiliśmy po kolejnym drinku. Właśnie obalaliśmy je pracownicy, kiedy zjawił się Jon.

- Zaraz zaczynamy - oznajmił.
- Idziemy - powiedziała Sara.
- Idziemy - powiedziałem ja.

Dopiliśmy. Wziąłem parę butelek piwa na wynos. Poszliśmy na górę za Jonem. Weszliśmy do pokoju. Na każdym kroku poniewierały się kable i kręcili się technicy.

- Założę się, że jedna trzecia tych gości wystarczyłaby do tej roboty.
- To samo mówi Friedman.

- Friedman czasem ma racje.

- Dobra, zaraz zaczynamy - zapowiedział Jon. - Zrobiliśmy już parę prób na sucho, teraz będziemy kręcić. Stańcie w tamtym rogu - poprosił. - Stąd możecie patrzeć, nie będąc w kadrze.

Sara wycofała się ze mną do kąta.

- CISZA! - ryknął asystent reżysera. - WSZYSCY NA MIEJSCA! ZACZYNAMY!

Zapadła cisza jak makiem zasiał.

Teraz przyszła kolej na Jona.

- KAMERA! POSZŁA!

Drzwi otwarły się i do pokoju wpłynął, zataczając się, Jack Bledsoe. Kurza twarz, to przecież młody Chinaski. Ogarnęło mnie bolesne rozrzewnienie. To przecież ja! Młodości, ty wredna suko, gdzie się podziałaś?

Chciałem być znów młodym kirusem. Chciałem być Jackiem Bledsoem. Tymczasem byłem tylko starym prykiem, który pociąga w kącie piwo.

Bledsoe dotoczył się do okna przy stole. Podniósł sfatygowaną roletę. Z uśmiechem na twarzy zadał w powietrzu kilka bokerskich ciosów. Potem usiadł przy stole, wziął do ręki ołówek i kartkę. Posiedział chwilę, odkorkował butelkę, pociągnął, zapalił papierosa. Włączył radio, trafiając na Mozarta.

Scena kończyła się widokiem Jacka piszącego ołówkiem na kartce...

To było to. Dokładnie to, o co chodziło. Czy to miało jakieś znaczenie, czy nie, zagrał dokładnie tak, jak było.

Podszedłem do Jacka i potrząsnąłem jego dłonią.

- Jak mi poszło? - spytał.

- Lepiej być nie mogło... - zapewniłem go.

W barze załoga dalej robiła swoje i wyglądała mniej więcej tak samo jak przedtem.

Sara wróciła na Przylądek Cod, ja podążyłem szlakiem Vodki 7. Wysłuchaliśmy jeszcze paru naprawdę niezłych historii, mimo to w powietrzu unosił się smutek. Po zakończeniu zdjęć bar wraz z hotelem miały zostać zrównane z ziemią, żeby ustąpić miejsca intratniejszym obiektom. Część regularnych klientów mieszkała w hotelu od dziesiątek lat. Inni koczowali na opuszczonej stacji kolejowej w pobliżu. Właśnie zaczęto ich wysiedlać. Tak więc piliśmy w gęstych oparach smutku...

- Trzeba już wracać do domu nakarmić koty - rzuciła w końcu Sara.

Picie mogło poczekać.

Hollywood mogło poczekać.

Koty nie mogły czekać.

Posłusznie wstałem.

Pozegnaliśmy się z załogą. Jakoś dobrnęliśmy do samochodu. Nie bałem się usiąść za kółkiem. Otrzeźwił mnie widok młodego Chinaskiego w pokoju hotelowym z przeszłości. Cholera, był ze mnie tęgi kogucik. Kawał niezłego zawadiaki.

Sarę niepokoiła przyszłość załogi. Ja też nie widziałem ich dalszych losów w różowych kolorach. Z drugiej strony w żaden sposób nie mogłem sobie wyobrazić, jak wszyscy siedzą w naszym salonie, popijając i snując swoje historie. Zdarza się, że czar pryska w zderzeniu z codziennością. Poza tym, ilu braci można mieć na utrzymaniu?

Ruszyliśmy. Dojechaliśmy do domu.

Koty już na nas czekały.

Kiedy Sara na czworakach myła ich miski, ja tymczasem pootwierałem puszki.

Proste życie to było to, co nam najbardziej odpowiadało.

Poszliśmy na górę. Umyliśmy się i przebrali do snu.

- Co ci biedacy poczną ze sobą? - zamartwiała się Sara.

- Już dobrze, dobrze...

Czas było kłaść się do łóżek. Zszedłem na dół, żeby ostatni raz rzucić okiem na dom. Wróciłem na górę. Sara już spała. Zgasilem światło i też zasnąłem. Kawałek filmu, który obejrzelśmy tego popołudnia, odcisnął na nas pewne piętno. Odtąd nigdy nie mieliśmy już mówić ani myśleć tak samo. To było tak, jakbyśmy dowiedzieli się czegoś nowego, choć trudno sprecyzować czego, i wiedza ta niekoniecznie była przyjemna.

29

Jon Pinchot wyrwał się z getta. W umowie miał zastrzeżone mieszkanie opłacone przez Firepower. Znalazł mieszkanie w pobliżu siedziby wytwórni. Każdej nocy mógł podziwiać zapalający się na dachu napis: „Firepower”. Napis oświetlał jego twarz we śnie.

François Racine pozostał w getcie. Założył ogród, posadził warzywa. Grał w swoją ruletkę, uprawiał ogród i karmił kury. Był jednym z najdziwniejszych ludzi, jakich spotkałem w życiu.

- Nie mogę opuścić moich kur - wyznał mi kiedyś. - Umrę tu, na obczyźnie, pośród Czarnych, otoczony moimi kurami.

Chodziłem na wyścigi w dni gonitw. Zdjęcia do filmu trwały nadal.

Dzień w dzień dzwonił telefon. Ludzie domagali się wywiadu z pisarzem. Nie

zdawałem sobie dotąd sprawy z liczby czasopism filmowych, czy choćby prowadzących rubryki filmowe. Był to jakiś rodzaj choroby: niewspółmierne zainteresowanie dziedziną sztuki, która od lat uporczywie wydawała z siebie bezwartościowe buble. Ludzie oswoili się z oglądaniem bubli na ekranie i nie docierało już do nich, że to, co oglądają, jest buble.

Tor wyścigowy był kolejnym przykładem trwonienia ludzkiego życia i ludzkich wysiłków. Ludzie maszerowali do kas z pieniędzmi, które zamieniali na ponumerowane kwitki. Prawie wszystkie numery były do niczego. W dodatku tor wyścigowy na spółkę z państwem potrącał 18% od każdego dolara i tą sumą dzielili się mniej więcej po połowie. Do kina i na wyścigi chodzili skończeni durnie. Ja byłem durniem, który chodził na wyścigi, ale radziłem sobie lepiej niż większość, bo po kilkudziesięciu latach na torze nauczyłem się paru sztuczek. Wyścigi traktowałem jak hobby i nigdy nie traciłem głowy. Lata biedy uczą człowieka pewnego szacunku dla pieniądza. Człowiek nie ma ochoty zostać znowu bez grosza. Bieda - to dobre dla szaleńców i świętych. Do moich życiowych osiągnięć należy zaliczyć fakt, że mimo licznych wariactw byłem absolutnie normalny: *ja* decydowałem o własnych czynach, a nie one o mnie.

Wracając do rzeczy, któregoś wieczoru zadzwonił telefon. Mówił Jon Pinchot.

- Nie wiem, co robić - oświadczył.

- Czyżby Friedman znowu zrezygnował z filmu?

- Nie, nie o to chodzi... Nie wiem, skąd ten facet znów dorwał mój numer...

- Jaki facet?

- Ten, który dzwonił do mnie przed chwilą.

- Czego chciał?

- Powiedział: „SKURWYSYNU, ZABIŁEŚ MOJEGO BRATA! ZABIŁEŚ MOJEGO BRATA! TERAZ JA PRZYJDE ZABIĆ CIĘ! DZISIAJ W NOCY PRZYJDE CIĘ ZABIĆ!

- O rany...

- Szlochał i sprawiał wrażenie świra. Chyba mówił serio. Całkiem możliwe. W tym mieście człowiek nie zna dnia ani godziny.

- Zadzwoń na policję?

- Tak.

- Co ci powiedzieli?

- Proszę nas wezwać, jak się u pana zjawi.

- Możesz przyjechać do mnie.

- Dziękuję, nie trzeba... ale na pewno nie będę dzisiaj spał spokojnie...

- Masz spluwę?
- Nie mam. Jutro się zaopatrzę, ale może już być za późno.
- Jedź do jakiegoś motelu...
- A jeśli on mnie obserwuje?
- Czy mogę coś dla ciebie zrobić?
- Nic. Chciałem tylko powiedzieć ci o wszystkim i podziękować, że napisałeś ten scenariusz.

- Drobiazg.
- Dobranoc, Hank...
- Dobranoc, Jon...

Odwiesił słuchawkę.

Wyobrażałem sobie, jak się musi czuć. Kiedyś zadzwonił jakiś facet i powiedział, że mnie zabije, bo mu wydymałem żonę. Zwracał się do mnie po nazwisku i mówił, że właśnie do mnie jedzie. Nigdy nie dotarł. Widocznie zginął w wypadku drogowym.

Postanowiłem sprawdzić telefonicznie, jak się miewa François Racine.

Odebrała automatyczna sekretarka.

- PROSZĘ DO MNIE NIE MÓWIĆ, PROSZĘ SIĘ ZWRACAĆ DO MOJEJ SEKRETARKI. NIE ŻYCZĘ SOBIE ŻADNYCH ROZMÓW. PROSZĘ SIĘ ZWRACAĆ DO MOJEJ SEKRETARKI. NIE MA MNIE NIGDZIE, WAS TEŻ NIGDZIE NIE MA. NADCHODZI ŚMIERĆ OBLĄPIĆ NAS MAŁYMI RĄCZYNAMI. NIE ŻYCZĘ SOBIE ŻADNYCH ROZMÓW. PROSZĘ SIĘ ZWRACAĆ DO MOJEJ SEKRETARKI.

Rozległ się sygnał nagrywania.

- François, ty pierdolnięty...
- A, to ty, Hank...
- Tak, stary...
- Miałem pożar... pożar... POŻAR...
- Co takiego?

- No właśnie. Kupiłem sobie tani czarno - biały telewizor... Włączam go, kiedy wychodzę, żeby ich nabrać, że ktoś jest w domu... Musiał się zająć ogniem, kiedy mnie nie było, albo eksplodować... Podjeżdżam pod dom i widzę kłęby dymu... Straż pożarna nigdy nie zagląda w te rejony... Pół dzielnicy mogłoby się spalić, a oni nie kiwnęliby palcem... Brnę przez dym... Wszędzie płomienie... Pod moim domem latają czarni mordercy i złodzieje... Ganiają z kubłami wody i gaszą pożar. Usiadłem sobie i patrzę... Znalazłem flaszkę wina, otworzyłem, piję... Czarni uwijają się jak w ukropie... Szybko zgasili pożar...

Wszędzie tylko dymy i zgliszcza. Wszyscy zanosimy się kaszlem. „Wybacz stary - mówi któryś z Czarnych. - Spóźniliśmy się trochę... Właśnie się zbieraliśmy z kumplami, kiedy któryś poczuł dym...” Podziękowałem im. Jeden z Czarnych miał przy sobie ćwiartkę dżinu, po kolei łyknęliśmy z butelki. Potem sobie poszli...

- Bardzo ci współczuję, François. Cholera, nie wiem, co się mówi w takich okolicznościach... Da się tam jeszcze mieszkać?

- Siedzę w oparach dymu, siedzę w oparach dymu... Czuję się jak we mgle, jak we mgle... Mam siwe włosy, jestem starym człowiekiem we mgle... Mgła otacza mnie ze wszystkich stron, moje włosy okrywa szron... Jestem starym człowiekiem... Teraz jestem małym chłopcem we mgle... Słyszę głos mojej matki. O Boże! Ona jęczy! Ktoś ją DYMIE! Ktoś ohydny ją DYMIE! Muszę wracać do Francji, na ratunek matce, na ratunek Francji!

- François, możesz przenieść się do mnie... Jon też na pewno ma u siebie dosyć miejsca... Nie jest tak strasznie, jak ci się wydaje. Trudne chwile w końcu zawsze mijają...

- O nie, nie... Są trudne chwile, które nigdy nie przemijają. Ciężkie chwile na wieki wieków!

- Rozumiem, że mówisz o śmierci.

- Każdy dzień życia jest śmiercią! Wracam do Francji! Znów będę występował!

- François, a co z twoimi kurami? Kochasz je chyba, prawda?

- Pieprzę kury. Niech je sobie Czarni zabiorą! Niech zrą moje kury, aż się będzie kurzyło!

- Zakurzone kury? - zaciekawilem się.

- Siedzę we mgle. Wybuchł pożar. Pożar. Siedzę we mgle. Jestem starym człowiekiem, moje włosy okrywa szron. Siedzę we mgle... Odchodzę...

François odłożył słuchawkę.

Jeszcze raz wykręciłem jego numer, ale usłyszałem tylko: PROSZĘ DO MNIE NIE MÓWIĆ. PROSZĘ SIĘ ZWRACAĆ DO MOJEJ SEKRETARKI...

Miałem nadzieję, że ma butelczynę czy dwie porządne czerwone wina, które mu pomoże jakoś przetrwać tę noc, bo kto jak kto, ale mój przyjaciel François wydawał się potrzebować tego jak nikt. No, może nie aż tak, jak mój przyjaciel Jon czy, powiedzmy, ja. Odkorkowałem butelkę.

- Masz ochotę łyknąć? - zagadnąłem Sarę.

- Naturalnie - odpowiedziała. - Co tam słyhać?

Opowiedziałem jej, co słyhać.

Tej nocy facet, który miał zabić Jona, nie przyszedł. Następnej nocy Jon czekał na niego ze spluwą, ale facet też nie przyszedł. Czasem przychodzą, czasem nie przychodzą.

Okazało się, że Francine Bowers wróciła już do zdrowia po operacji.

- 50 dolców dziennie plus pokój i wyżywienie to wszystko, co mogę jej zaoferować - uprzedził Friedman.

Nie obyło się też bez scysji wokół zwrotu kosztów jej przelotu do Kalifornii, w końcu jednak Firepower zgodziła się zapłacić za bilet.

Miałem dostać wypłatę w dniu rozpoczęcia zdjęć, podobnie Jon, ale do' żadnej wypłaty nie doszło. Firepower miała zapłacić Jonowi, a Jon mnie. Żadne pieniądze się nie pojawiły. Nie orientowałem się, czy reszta ekipy dostała cokolwiek.

Może to właśnie skłoniło mnie do udania się na bankiet Dystrybutorów Filmowych. Była okazja, żeby zaczepić Friedmana o pieniądze.

Bankiet odbywał się z piątku na sobotę w Cytrynowej Kaczce, olbrzymiej, mrocznej, zatłoczonej stolikami knajpie z wielkim barem. Kiedy przyjechaliśmy z Sarą, większość stolików była już zajęta. Gośćmi byli dystrybutorzy filmowi z całego świata. Spokojni, powiedziałbyś - znudzeni. Jedli albo zamawiali potrawy, pili niewiele, rozmawiali też niewiele. Znaleźliśmy stolik w rogu sali.

Jon Pinchot wypatrył nas już z samego progu. Podszedł do naszego stolika. Uśmiechnął się.

- Dziwię się, że was tu widzę. Bankiety dystrybutorów są koszarne... Swoją drogą, mam do ciebie sprawę...

Miał przy sobie niebieską teczkę. Wyjął z niej scenariusz.

- O, tę tutaj scenę musimy skrócić do półtorej minuty. Dałbyś radę to zrobić?

- Jasne. Słuchaj, czy mógłbyś nam skombinować coś do picia?

- Oczywiście...

- Jon ma rację - oświadczyła Sara. - Ten bankiet jest całkiem bez życia.

- Może my wlejemy trochę życia w tę imprezę.

- Hank, czy musimy zawsze wychodzić na samym końcu?

- Dziwnym trafem zawsze jakoś tak się składa...

Zacząłem wykreślać zbędne kwestie. Moi bohaterowie gadają za dużo. Wszyscy gadają za dużo. Wrócił Jon z drinkami.

- Jak ci leci?

- Moi bohaterowie za dużo gadają...

- Za dużo piją...

- To niemożliwe. Nie można wypić za dużo...

Rozległy się oklaski.

- Friedman - powiedziała Sara.

Friedman zjawił się w starym garniturze, bez krawata i w wymiętej koszuli z brakującym guzikiem przy kołnierzyku. Friedman nie poświęcał wiele uwagi strojom; miał za to fascynujący uśmiech. Patrzył na ludzi wprost, jakby prześwietlał ich wzrokiem. Sam z piekła rodem, chętnie imał się piekielnych sztuczek i pod najbliższym pretekstem gotów był zamienić czyjeś życie w piekło. Szedł od stolika do stolika, rzucając zręczne uwagi.

Wreszcie podszedł i do nas. Skomentował ładny wygląd Sary.

- Proszę spojrzeć - pokazałem scenariusz na stole - skubany Pinchot żąda, żebym PRACOWAŁ nawet podczas bankietu!

- BARDZO DOBRZE! - skwitował Friedman, odwrócił się i ruszył w stronę następnego stolika.

Skończyłem skracać scenę i oddałem scenariusz Jonowi. Przeczytał.

- Doskonale - pochwalił. - Nic ważnego nie ubyło. Czyta się tak samo dobrze jak przedtem.

- O ile nie lepiej.

Rozległy się kolejne oklaski. To Francine Bowers robiła wejście. Nie była jeszcze stara, ale wyszła ze starej szkoły. Stała dumnie w progu (dumnie jak królowa). Powoli odwróciła głowę w prawo, potem w lewo, z uśmiechem, bez uśmiechu i znowu z uśmiechem. Stała, jakby wahając się. Na parę sekund znieruchomiła w posągowej pozie, wreszcie z wdziękiem wpłynęła na salę, czym zaskarbiła sobie jeszcze gorętsze brawa. Błysnęły flesze. Francine rozluźniła się. Przy niektórych stolikach zatrzymywała się, żeby zamienić kilka słów, po czym szła dalej.

Mój Boże, zadumałem się, a scenarzystą? To on był przecież ciałem, krwią i mózgiem (niekiedy - bezmózgowiem) tych istot. To scenarzysta nadawał ich sercu rytm, wkładał w ich usta słowa, obdarzał życiem bądź śmiercią, robił z nimi wszystko, co mu się żywnie podobało. A jednak - czy kto widział kiedy scenarzystę? Czy scenarzysta doczekał się kiedykolwiek własnej fotografii w prasie? Oklasków? Nigdy. Za to z dużą dozą prawdopodobieństwa, z cholernie dużą dozą prawdopodobieństwa można go było znaleźć tam, gdzie jest jego miejsce: w ciemnym kącie, z którego wszystkich podpatruje.

Wtem, czy mnie oczy nie mylą? Francine Bowers zbliża się do naszego stolika. Uśmiecha się do Sary i Jona, po czym zwraca się do mnie:

- Czy dopisałeś dla mnie tę scenę z nogami?
- Wszystko gotowe, Francine. Będziesz mogła nas olśnić.
- Zobacysz. Mam znakomite nogi!
- Na to właśnie liczę.

Pochyliła się w moją stronę i obdarzyła mnie swoim pięknym uśmiechem; nad słynnymi wystającymi kośćmi policzkowymi błysnęły oczy.

- Nie zawiedziesz się - powiedziała. Wyprostowała się i ruszyła do następnego stolika.
- Muszę zamienić parę słów z Friedmanem - powiedział Jon.
- Dobra - poparłem go. - Spytaj Friedmana, kiedy będą wypłaty.

Nie ruszając się od stolika, kontemplowaliśmy z Sarą tłum. Sara miała dobru orientację w bankietach. Umiała wypatrzyć dla mnie różne osoby i opowiedzieć mi o nich. Dzięki niej widziałem rzeczy, których inaczej nigdy bym nie zauważył. Ludzkość generalnie miałem w bardzo słabym poważaniu; wołałbym jej nie dostrzegać wcale. Cenilem w Sarze to, że potrafiła mi uatrakcyjnić troszkę ludzi.

Wieczór włókł się. Oboje z Sarą jak zwykle nie zamawialiśmy nic do jedzenia. Jedzenie było ciężką harową, a po 2 czy 3 drinkach i tak nie miało żadnego smaku. Wino natomiast, o dziwo, ocieplając się nabierało coraz lepszego smaku. Nagle jak spod ziemi wyrósł przed nami Jon Pinchot.

- Zobaczcie - machnął ręką w stronę oddalonego stolika - tam siedzi jeden z adwokatów Friedmana.

- Dobrze. Pójdę do niego - zgodziłem się. - Saro, bądź łaskawa dotrzymać mi towarzystwa.

Podeszliśmy do wskazanego stolika i przysiedliśmy się.

Adwokat miał już nieźle w czubie. Obok niego siedziała niezwykle wysoka blondyna. Siedziała sztywno wyprostowana, w nieruchomej pozie. Miała nieprawdopodobnie długą szyję i tę szyję, sztywna jak kij, wyciągała do samego nieba. Żal było na nią patrzeć. Wyglądała, jakby zastygła.

Adwokat poznał nas.

- O, Chinaski - ucieszył się. - I Sara...
- Witajcie - powiedziała Sara.
- Witajcie - powtórzyłem.
- To jest moja żona Helga...

Pozdrowiliśmy Helgę. Nie odpowiedziała. Siedziała dumnie wyprostowana, jakby zastygła na swoim krześle.

Adwokat skinął na kelnera. Na stoliku wyrosły 2 butelki. Sprawy przybierały korzystny obrót. Adwokat Tommy Henderson napełnił kieliszki.

- Założę się, że nie lubisz adwokatów - zagaił.

- Razem wziętych do kupy - nie.

- No więc ja nie jestem kanciarzem, tylko porządnym adwokatem. Myślisz pewnie, że kantuję kogo się da, bo pracuję dla Friedmana?

- Owszem.

Otóż niesłusznie. Tommy opróżnił kieliszek i dolał sobie wina. Poszedłem w jego ślady.

- Uspokój się, Hank - upomniała mnie Sara. Musimy jeszcze dojechać do domu.

- Jeśli będzie ze mną źle, weźmiemy taksówkę na rachunek mecenasa.

- Zgoda, postawię ci...

- Skoro tak... - Sara jednym haustem wlała w siebie zawartość kieliszka.

Wysoka, zastygła kobieta nadal siedziała w zastygłej pozie. Żal było na nią patrzeć. Na długiej, niemożliwie wyciągniętej szyi wystąpiły żyły - długie, tragiczne i nabrzmiałe. Coś koszmarnego.

- Moja żona właśnie rzuciła picie - poinformował nas adwokat.

- Rozumiem... - wybąkałem.

- Gratuluję - pochwaliła ją Sara. - To wymaga odwagi, zwłaszcza kiedy wszyscy dookoła piją.

- Nigdy bym się na to nie zdobył - dorzuciłem. - Nic gorszego, jak być jedynym trzeźwym wśród zalanych.

- Zdecydowałam się na ten krok, kiedy ocknęłam się o 5 rano na plaży w Malibu. Byłam sama, rozebrana do naga...

- Gratuluję - powtórzyłem za Sarą. - To prawdziwe bohaterstwo.

- Nikomu nie daj się namówić - ostrzegła Sara. Mecenas Tommy Henderson nalał sobie, mnie i Sarze.

- Chinaski mnie nie lubi - zwrócił się do swojej żony Helgi. - Uważa, że jestem kanciarzem.

- Nie mam mu tego za złe - odparła Helga.

- Co ty nie powiesz? - nastroszył się adwokat. Dopił prawie do końca i spojrzał na mnie. Zajrzał mi głęboko w oczy. - Uważasz, że jestem kanciarzem?

- Czy ja wiem... - zastanowiłem się. - Pewnie tak...

- Podejrzewasz, że ci nie zapłacimy?

- Mam takie przeczucie...

- No więc wyobraź sobie, czytałem większość twoich książek. Co ty na to? Uważam, że jesteś znakomitym pisarzem. Jesteś prawie tak dobry jak Updike.

- Dzięki.

- A teraz słuchaj uważnie: dzisiaj rano wysłałem wam czeki. Wszyscy dostaniecie wasze pieniądze. Kiedy jutro zajrzysz do skrzynki, znajdziesz forszę.

- To prawda - potwierdziła Helga. - Sama widziałam, jak nadawał czeki.

- Wspaniale - ucieszyłem się. - Ale chyba zdajesz sobie sprawę, że to tylko zwykła uczciwość...

- Oczywiście, że to uczciwość. Chcemy działać uczciwie. Mieliśmy pewne trudności z transferem gotówki, ale już po kłopotcie.

- Zapowiada się niezły film - powiedziałem.

- Zgadza się. Czytałem scenariusz - potaknął Tommy. - Czy teraz rzeczywistość jawi ci się w korzystniejszym świetle?

- Kurczę, tak.

- Czy dalej uważasz, że jestem kanciarzem?

- Nie, nie mam już podstaw.

- No to musimy to oblać! - uradował się Tommy.

Napełnił kieliszki. Wznieśliśmy toast. My - to znaczy Tommy, Sara i ja.

- Za lepszy, uczciwy świat - powiedziałem.

Trąciliśmy się i osuszyliśmy kieliszki do dna.

Zauważyłem, że żyły na szyi Helgi wystąpiły ze zdwojoną siłą. Nie bacząc na to, piliśmy dalej.

Gadało się o byle czym. Głównie o tym, jaka to Helga jest dzielna.

Wyszliśmy na samym końcu. My - - to znaczy Helga, Tommy, Sara i ja, żegnani niechętnym spojrzeniem dwóch ostatnich kelnerów. Dla nas z Sarą nie była to pierwszozna. Dla Tommy'ego też pewnie nie. Helga kroczyła z nami do wyjścia, sztywna i zboląła. Przynajmniej nazajutrz miała obudzić się bez kaca. Rano my mieliśmy być sztywni i zbolali.

31

Tydzień później, też w poniedziałek, wybraliśmy się ponownie na plan przy Alvarado Street. Zaparkowaliśmy parę przecznic dalej i poszliśmy na piechotę. Dochodząc na miejsce, zauważyliśmy jakieś zamieszanie wokół rolls - royce'a Jacka Bledsoe'a.

- Kręcą - domyśliła się Sara.

Jack Bledsoe stał na masce wozu w towarzystwie dwóch kumpli motocyklistów. Błysnęły flesze, motocykliści ryknęli śmiechem. Bledsoe uśmiechnął się. Stąpali ciężkimi buciorami po masce, pozując do kolejnych zdjęć.

- Nie wydaje mi się, żeby to specjalnie służyło karoserii - zauważyła Sara.

Akurat dostrzegłem Pinchota. Szedł w naszą stronę, uśmiechając się ze znużeniem.

- Jon, co się tu, do cholery, dzieje?

- Dzieci potrzebują zabawy.

Jeden z motocyklistów wrzasnął coś. Wszyscy trzej zeskoczyli z maski. Koniec zdjęć.

Oddalili się, rechocąc w rozmowie.

- Zobacz, jak powgniatali karoserię - zdenerwował się Jon.

- Gdzie tylko się dało. Ślepi są czy jak?

- Po prostu nie dociera do nich. Nic do nich nie dociera.

- Biedny, piękny samochód - westchnęła Sara.

(Wyklepanie karoserii i nowy lakier miały później kosztować 6 tysięcy dolarów.)

- O ile się nie mylę, Hank, podczas bankietu rozmawiałeś z mecenasem?

- Owszem.

- Co powiedział?

- Że porozyszał już czekci.

- To prawda. Dotarły do mnie. Złożyłem je na swoim koncie.

Otworzył portfel. Wyciągnął dwa czekci, oba przestemplowane na ukos pieczęcią: „Brak pokrycia”.

- Opiewają na Bank Holenderski. Są bezwartościowe.

- Wierzyć się nie chce - stwierdziłem.

- Ale czemu? - dopytywała się Sara. - Czemu Firepower zachowuje się w ten sposób?

- Nie wiem. Zażądałem dzisiaj rano wyjaśnień od Friedmana. Twierdził, że czekci są w porządku, jego księgowy po prostu przelał fundusze nie na to konto co trzeba i jak tylko dokona powtórnego przelewu, czekci odzyskają wartość. „Te czekci opiewają na Bank Holenderski. Żaden tutejszy bank nie przyjmie ich z takim nadrukiem. Musisz mi wystawić nowe czekci” - mówię mu, na co Friedman: „Sam nie dam rady tego zrobić, najpierw księgowy musi sprostować pomyłkę”.

- Wierzyć się nie chce - powtórzyłem.

- Mówię Friedmanowi: „Dobra, niech pan sprowadza tutaj tego swojego księgowego”, a on na to: „Mój księgowy dogląda swojej matki na łóżu śmierci. Umiera na raka w Chicago.” Rozparł się w fotelu i zapatrzył w okno. „Panie Friedman - mówię mu - tak się

nie godzi”.

- I co ten potwór na to? - zaciekała się Sara.

- Obciął mnie błękitnymi oczkami niewiniątka i mówi: „Nie zapominaj, stary, że nikt w całym Hollywood nie chciał wziąć tego filmu. Wszyscy was wyśmieli. Kazali się całować gdzieś. To my wzięliśmy film, bądź łaskaw pamiętać. Jeśli będziesz się dla nas zwijał jak pszczołka, dorwiesz się w końcu do miodu.”

- I co ty na to?

- Sara, Hank, chodźcie ze mną - zmienił temat Jon. - Za chwilę będziemy kręcić scenę w łazience. Wiecie, o której scenie mówię?

- Pewnie, że tak. Kręcisz dalej, chociaż nie płacą?

Ruszyliśmy na plan.

- Scena w łazience na pewno dobrze wyjdzie. To moja ulubiona scena - podjął Jon.

- Owszem, jest niezła.

Jon ciągnął swoją opowieść.

- No więc po wyjściu od Friedmana zrobiłem niewielką rundkę dookoła Firepower. Dwukrotnie okrążyłem wytwórnię sąsiednimi uliczkami, stale popatrując na zielony budynek. Wreszcie mnie olśniło. Wróciłem do gabinetu Friedmana... Hank, bądź tak łaskaw stanąć za oparciem mojego fotela...

- Co takiego?

Zauważyłem fotografa w wyczekującej pozie. Jon usiadł na fotelu.

- Stoisz za mną?

- Tak.

- No to udawaj, że się uśmiechasz.

Zastosowałem się do polecenia. Błysnął flesz.

- Jeszcze raz - zażądał Jon.

Flesz błysnął ponownie.

- Dobra. Starczy. - Wstał z fotela. - Chodźcie za mną. Kręcimy na piętrze.

Zaczęliśmy wchodzić po schodach.

- W zeszłym tygodniu Friedman z Fischmanem zrobili sobie takie samo zdjęcie. Friedman siedział w fotelu, a Fischman stał za nim. Obaj się uśmiechali. W „Variety” ukazała się fotografia na całą stronę, podpisana: FIREPOWER ZWYCIĘŻY!

- Ach tak?

- Czekaj. Zatrzymaj się. Pozwól, że skończę, zanim wejdziemy na plan.

- W porządku.

Stanęliśmy przy schodach. Film kręcono w głębi korytarza.

- Wróciłem do gabinetu Friedmana. Powiedziałem mu, że widziałem jego reklamę w „Variety”. Ostrzegłem, że taką samą fotografię ze mną i z tobą opublikuje w przyszłym tygodniu. Będziemy siedzieć w identycznych pozach, u pod spodem znajdzie się zdjęcie dwóch czeków bez pokrycia i napis: FIREPOWER ZWYCIĘŻY! PYTANIE: JAK? Zagroziłem, że jeśli w ciągu 48 godzin nie dostaniemy dwóch *czeków potwierdzonych*, zdjęcie pójdzie do prasy.

Przy końcu korytarza czekał mężczyzna niezwyklego wzrostu. Był to Marsh Edwards, asystent reżysera.

- Możemy zaczynać zdjęcia, Jon. Mamy wszystko gotowe.

- Chwileczkę... Zaraz do was przyjdę...

- Może później opowiesz? - zaproponowała Sara.

- Czekaj, muszę dokończyć. Mówię jeszcze Friedmanowi: „Z drugiej strony, jeśli w ciągu 48 godzin dostaniemy *potwierdzone, czeki*, możemy tak czy owak zamieścić nasze zdjęcie w „Variety”, bez czeków holenderskich tym razem, podpisane: FIREPOWER, ZWYCIĘŻYMY RAZEM Z TOBĄ!

- Co on na to? - zaciekałem się.

- Nie odzywał się przez chwilę, potem mówi: „Dobra, dostaniecie wasze czeki”.

- Ale przecież na tych zdjęciach, które nam teraz zrobili, uśmiechamy się sztucznie. Czy nie powinniśmy dać lepszego zdjęcia do reklamy: FIREPOWER, ZWYCIĘŻYMY RAZEM Z TOBĄ?

- Jeżeli dostaniemy czeki, zrezygnujemy z reklamy - wyjaśnił Jon. - Taka reklama kosztuje 2 tysiące dolarów.

Ruszyliśmy korytarzem kręcić scenę w łazience.

32

Scena w łazience nie była skomplikowana. Francine miała siedzieć w wannie, a Jack Bledsoe na podłodze, oparty o wannę. Francine, siedząc w wodzie, opowiadała rozmaite historie, głównie o zwolnionym warunkowo mordercy, który mieszkał w tym samym domu. Mieszkanie dzielił z niemłodą kobietą, którą stale bił. Zza ściany na okrągło dobiegały wrzaski i bluźnierstwa obojga.

Jon Pinchot poprosił mnie o napisanie przekleństw dochodzących zza ściany. Dostał ode mnie parę stron dialogu. Prawdę mówiąc, to były moje najmiłsze chwile nad scenariuszem.

W wynajmowanych pokojach i tanich mieszkankach zwykle nie było nic do roboty,

kiedy człowiek głodował i był bez grosza, splukany do ostatniej butelki. Nie było nic do roboty oprócz podsłuchiwania wściekłych awantur. Czułeś wtedy, że nie jesteś jedynym człowiekiem na świecie do cna rozczarowanym rzeczywistością, nie jesteś jedynym człowiekiem na krawędzi szaleństwa.

W łazience nie było dosyć miejsca, żeby oglądać kręcenie sceny. Czekaliśmy z Sarą w salonie z przylegającą kuchenką. Tak się złożyło, że przed 30 z górą laty przez krótki czas mieszkałem w tej kamienicy przy Alvorado Street z kobietą, o której traktowałem mój scenariusz. Poczuję się dziwnie, aż mnie ciarki przeszły. „Nie umkniesz widmom przeszłości”. Zawsze cię dopadną. Po ponad 30 latach dom prawie się nie zmienił, poza tym, że poumierali wszyscy moi dawni sąsiedzi. Kobieta, o której mowa, zmarła dziesiątki lat temu, a ja siedziałem teraz, sącząc piwo, w tym samym budynku, wypełnionym hałasem, kamerami i ekipą filmową. No cóż, ja też zemrę i to pewnie niezadługo. Chłapnijcie za moją pamięć.

W kuchence coś tam gotowano, a lodówka była pełna piwa. Odbyłem parę wypraw w kierunku lodówki. Sara znalazła sobie rozmówców. Miała szczęście. Kiedy do mnie ktoś się odzywał, miałem chęć dać nura przez okno albo spłynąć windą na parter. Ludzie po prostu mnie nie interesują. Może tak musi być. Natomiast zwierzęta, ptaki, owady - jak najbardziej. Dlaczego tak jest, nie mam pojęcia.

Pinchot nadal wyprzedzał harmonogram o jeden dzień zdjęciowy, z czego byłem cholernie zadowolony. Chłopaki z Firepower nie mieli się do czego przyczepić. Mogli nam wszyscy naskoczyć. Naturalnie trzymali na planie swoich kapusiów, których zresztą potrafiłem wyłowić.

Niektórzy w ekipie mieli moje książki i prosili mnie o autograf. Wzięte do kupy, tworzyły przedziwny zestaw. Inaczej mówiąc, nie uważałem ich za moje najlepsze książki. (Moją najlepszą książką jest nieodmiennie ta, którą właśnie skończyłem.) Niektórzy mieli zbiorek świńskich opowiadań, które wydałem w młodości, zatytułowany *Waląc konia diabłu*. Paru miało tomiki wierszy: *Mozart na drzewku figowym* i *Czy powierzyłabyś 4-letnią córkę opiece tego pana? A także Latryna w barze moją kaplicą*.

Dzień włókł się bez zakłóceń, ale i bez mocnych wrażeń.

Cholernie długo ta scena w łazience, pomyślałem. Francine musi być już czysta jak łąka.

Nagle do pokoju wpadł truchtem Jon Pinchot, cały w nieładzie. Nawet rozporek miał nie dopięty. Włosy rozczochrane. Toczył martwym, obłądnym spojrzeniem.

- Tutaj jesteście, chwała Bogu!

- Jak wam leci?

Nachylił się, szepcząc mi do ucha:

- Potwornie, można oszaleć! Francine się denerwuje, że cycki mogą jej wyskoczyć z wody. Cały czas nas zamęcza, czy widać jej cycki.

- Cóż komu szkodzi małeńki cycuszek?

Jon nachylił się jeszcze bardziej.

- Nie jest już taka młoda, jak by chciała... Hyans z kolei uważa, że światło jest koszmarnie... Nie może znieść takiego oświetlenia, więc pije jeszcze więcej niż zwykle...

Hyans był operatorem. Zdobył chyba każdą możliwą nagrodę i wyróżnienie w swoim fachu. Niewielu mogło się z nim równać, ale, jak każda poczciwa dusza, raz na czas lubił sobie wypić.

- Jack z kolei nie może sobie poradzić z jedną kwestią - ciągnął Jon zaaferowanym szeptem. - Bez końca powtarzamy to samo ujęcie. Coś mu nie leży w tekście. Ile razy zaczyna kwestię, nie może powstrzymać kretyńskiego uśmieszku.

- Co to za kwestia?

- „Przy każdej inspekcji obowiązkowo masturbuje oficera do spraw zwolnionych warunkowo”.

- Dobra, spróbujcie: „Przy każdej inspekcji obowiązkowo wali konia oficerowi do spraw zwolnionych warunkowo”.

- Świetnie, dziękuję! TO BĘDZIE 19. DUBEL!

- O Jezu...

- Życz mi powodzenia...

- Powodzenia...

Wyszedł z pokoju. Weszła Sara.

- Co się stało?

- 19. dubel. Francine boi się pokazać cycki, Jack nie jest w stanie powiedzieć swojej kwestii, a Hyansowi nie odpowiada oświetlenie...

- Francine potrzebuje drinka. To ją rozluźni - zawyrokowała Sara.

- Hyans za to nie potrzebuje drinka.

- Wiem. Poza tym Jackowi łatwiej będzie powiedzieć tę kwestię, kiedy Francine się rozluźni.

- Możliwe.

Francine akurat weszła do pokoju. Wyglądała na kompletnie nieprzytomną i zagubioną. Miała na sobie szlafrok i turban z ręcznika.

- Powiem jej to - ofiarowała się Sara.

Podeszła do Francine. Zaczęła coś wyjaśniać półgłosem. Francine słuchała z uwagą. Skinęła leciutko głową i weszła do sypialni po lewej. Po chwili Sara wyłoniła się z kuchni z filiżanką w ręku. W tej kuchni, wyobraźcie sobie, były szkocka i wódka, i whisky, i dżin. Sara sporządziła z tego miksturę. Drzwi sypialni uchyliły się i zatrzasnęły, pochłaniając filiżankę.

- Zaraz jej się poprawi... - zapewniła Sara, wracając spod drzwi.

Minęły dwie czy trzy minuty i drzwi otwarły się z impetem. Francine sunęła różnym krokiem na spotkanie kamer w łazience. Przechodząc, odszukała wzrokiem Sarę:

- Dziękuję!

Cóż, nie pozostawało nam nic innego, jak siedzieć dalej, gawędząc o tym i owym.

Nie mogłem się opędzić od wspomnień. Siedziałem w domu, z którego wyrzucono mnie kiedyś za to, że któreś nocy przyjąłem na raz 3 kobiety. W tamtych czasach nie istniało nic takiego jak prawa najemcy.

- Panie Chinaski - zwróciła się do mnie właścicielka kamienicy. - Mieszkańcy naszego domu to bogobojni ludzie, pracowici, obarczeni rodzinami. Nie zdarzyło mi się dotąd, żeby przyszli do mnie z podobnymi zażaleniami. Ja również słyszałam pańskie przekleństwa i śpiewy... tłuczenie przedmiotów... wulgarny język i śmiechy... Jak żyję nie słyszałam niczego, co przypominałoby odgłosy, jakie zeszłej nocy dochodziły z pańskiego pokoju.

- Już dobrze, wyprowadzę się...

- Będę panu wdzięczna.

Musiałem wyglądać jak wariat. Nie ogolony. Podkoszulek cały w dziurach od papierosów. Moje marzenia sprowadzały się do tego, żeby mieć na kredensie więcej niż jedną butelkę. Nie przystawałem do świata, a świat nie przystawał do mnie. Szukałem towarzystwa pokrewnych dusz. Zwykle okazywały się kobietami z gatunku, którego większość mężczyzn unika jak ognia, ja jednak uwielbiałem je, szukałem w nich natchnienia, zgrywałem się przed nimi, kłamię, paradowałem w moim podkoszulku, snując napuszone opowieści o tym, jaki to jestem niezwykły, opowieści, w które ja jeden wierzyłem. „Przestań pieprzyć, dolej wody” darły się na mnie te niewiasty z piekła rodem, niewiasty, z którymi dzieliłem piekło.

Do salonu rażno wkroczył Jon Pinchot.

- Udało się! - oznajmił. - Wszystko się udało! Co za dzień! Jutro znowu to samo!

- Sukces zawdzięczasz Sarze i jej umiejętności preparowania czarodziejskich mikstur -

powiedziałem.

- Co takiego?

- Wlała we Francine filiżankę nalewki rozluźniającej.

- Bardzo ci jestem wdzięczny - zwrócił się Jon do Sary.

- Do usług - odpowiedziała.

- Robię w filmie od Bóg wie kiedy, ale jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się *dziwiętnaście* dubli - poskarżył się Jon.

- Słyszałem, że Chaplinowi zdarzało się po sto, zanim uznał, że scena mu wyszła - pocieszyłem go.

- Chaplin to Chaplin - oświadczył Jon. - U nas sto dubli wyczerpałoby budżet filmu.

I to by było wszystko, co się wydarzyło tego dnia, jeśli nie liczyć faktu, że Sara powiedziała:

- Tam do diabła, chodźmy do Musso.

Co uczyniliśmy. Siedliśmy przy stoliku w Starej Sali i przerzucając menu zamówiliśmy parę drinków.

- Pamiętasz jeszcze? - spytałem. - Pamiętasz, jak kiedyś przychodziliśmy tutaj i patrzyliśmy po stolikach obstawiając, kto jest aktorem, kto producentem czy reżyserem, kto pracuje w branży porno, kto jest tajniakiem, a kto tylko udaje filmowca? „Zobacz, jak tokują o szemranych interesach ubitych przy okazji filmu, o kontraktach, o swoim ostatnim filmie”. Nędzne szczury, pokraki... rzygać się chce, kiedy niosą im te półmichy z płastugą i rybą mieczem.

- Mieliśmy ich za buców i na co nam przyszło - zadumała się Sara.

- No cóż, nie umkniesz widmom przeszłości...

- Święta prawda! Chyba zamówię sobie płastugę...

Kelner sterczał nad nami z niechętną miną, przestępując z nogi na nogę. Krzaczaste brwi wpadały mu do oczu. Musso istniał bez naszej pomocy od 1919 roku; byliśmy tylko zawadą w lokalu, ja, Sara i cała reszta gości. W duchu przyznawałem mu rację. Stańło na rybie mieczu. Z frytkami.

33

Plan był zlokalizowany w 3 miejscach. Ekipę stale przerzucano z pokoju do pokoju, z zaułków w uliczki, z baru do baru.

W jednej z nocnych scen aktorzy mieli kraść kukurydzę z opustoszałej parceli, a potem uciekać przed policją.

Posadzona kukurydza czekała już na kradzież.

Wynajęcie parceli kosztowało 5 tysięcy dolarów. Parcela była obecnie własnością Ośrodka Rehabilitacji Alkoholików. Pinchot rozglądał się za czymś tańszym, w końcu jednak stanęło na tej właśnie parceli. Nawiasem mówiąc, tej samej, z której dama mojego serca kradła kukurydzę przed ponad 30 laty. Nową kukurydzę zasiano w tym samym miejscu, gdzie rosła kiedyś. Inne rzeczy nieco się pozmiały. Kamienica, w której mieszkała moja luba, kiedy się do niej sprowadziłem, była teraz zajęta przez dom starców.

Sąsiadujące z opustoszałą parcelą solidne gmachy, gdzie mieściło się obecnie Centrum Rehabilitacji, w tamtych latach było popularną tancbudą, co dzień wypełnioną po brzegi, zwłaszcza w sobotnie wieczory. Cały parter zajmowała olbrzymia sala taneczna. Pod sufitem wolniutko obracały się wielkie świetliste kule. Orkiestra przygrywała do białego rana. Na jezdni stały rzędem eleganckie samochody. W niektórych czekali szoferzy.

Nienawidziliśmy tancbudy i jej klientów. Sami żyliśmy o pustym żołądku, żrąc się między sobą, na bakier z policją i właścicielką kamienicy, od kiedy wyszliśmy za kaucją z Lincoln Heights.

Teraz gmach roił się od nawróconych pijaków, którzy czytali Biblię, palili papierosa za papierosem i grali w bingo w dawnej sali tanecznej.

Tylko opustoszała parcela ani trochę się nie zmieniła. Przez te wszystkie dziesięciolecia nikt na niej nic nie postawił.

Francine i Jack mieli już za sobą kilka prób. Poznicali w przyczepach, a my staliśmy w pobliżu, czekając na rozpoczęcie zdjęć. Właśnie przytknąłem do ust butelkę piwa, kiedy czyjaś dłoń spoczęła na moim ramieniu. Stał za mną facet o miłej powierzchowności. Równo przycięta broda, miły uśmiech, miłe spojrzenie. Widywałem go przedtem, ale nie wiedziałem, kim jest. Nie miałem pojęcia, jaką funkcję pełni ani też o to nie dopytywałem. Prawdę mówiąc, podejrzewałem, że naprawdę jest jednym z kapusiów Firepower.

- Bardzo mi przykro - oświadczył ale nie wolno pić na planie.

- Dlaczego?

- Umowa, którą podpisaliśmy z właścicielami posesji, zezwala na filmowanie na tym terenie, zabrania jednak picia.

- Wody też?

- Pan dobrze wie, o czym mówię.

- Owszem, wiem, że eks - pijaczkowie nie mogą znieść widoku pijących.

- Oni nie uznają alkoholu.

- Przecież cały ten film obraca się wokół picia.

- Z trudem doszliśmy z nimi do porozumienia. Szkoda by było, gdyby pan zaprzepścił nasze wysiłki.

- Niech ci będzie, brachu. Ale robię to dla Pinchota, nie dla ciebie.

Odszedł, unosząc swój notatnik z zaszczypniętymi kartkami. Kręcił szczupłym, gładkim tyłkiem. Aż się prosił, żeby mu dokopać.

Stałem plecami do budynku, pociągnąłem jeszcze raz i schowałem butelkę do kieszeni płaszcza.

- Mogą cię zobaczyć - przestraszyła się Sara.

- Chcesz powiedzieć, że wszyscy eks - pijaczkowie wiszą w oknach, podglądając, jak piję piwo?

- Nie, ale wszędzie kręcą się ich ludzie.

- Dobra, będę pociągał w ukryciu.

- Stoisz fochy jak niektórzy z tutejszych gwiazdorów.

Sara miała rację. Nie miałem prawa stroić fochów. Czołowy aktor zarabiał 750 razy więcej ode mnie. Zjawił się Jon Pinchot.

- Sie masz, Saro... Sie masz, Hank...

Podobno Friedman rozesłał już nowe czeki. Czek dla mnie został wysłany na adres domowy, powinien już czekać w skrzynce. Nasza intryga się powiodła.

- Muszę już iść - powiedział Jon. - Zaraz zaczniemy kręcić scenę na poletku kukurydzy. Chodźcie popatrzeć. Powiecie mi, jak się wam podoba...

Wreszcie kamery poszły w ruch. Francine wbiegała na pagórek, na którym rósł zagon kukurydzy.

- Dajcie mi kukurydzy! - darła się.

Pamiętam, jak Jane wbiegła na ten pagórek, a ja wlokłem się za nią z wielkim worem butelek. Tylko że kiedy Jane wołała: „Dajcie mi kukurydzy”, to brzmiało tak, jakby chciała odzyskać całe życie, życie, którego nie zakosztowała, życie, z którym się rozminęła. Ta kukurydza miała być jej zadośćuczynieniem, jej zemstą, zewem triumfu.

Francine krzyczała: „Dajcie mi kukurydzy!” jęśliwym, rozkapryszonym głosem, w którym nie było nawet cienia pijackiej desperacji. Szło jej nie najgorzej, ale to nie było to.

Kiedy zaczęła zrywać kolby, wiedziałem już, że to nigdy nie będzie to samo. Francine była aktorką, Jane była pijaną wariatką. Była klasycznym okazem skończonej wariatki. Jednak widz nie oczekuje od sztuki aktorskiej aż takiej doskonałości. Widz zadowala się

pryzwoitą imitacją.

No więc Francine rwała kolby, upychając je do torebki, a Jack mówił: „Zalałaś się... Te kolby są jeszcze zielone...”

Zajechał wóz policyjny, migocąc czerwonymi światłkami i oślepiając kradnących blaskiem reflektorów. Francine i Jack zaczęli uciekać do domu, tak jak my wtedy z Jane. Właśnie dobiegali do windy, kiedy z megafonu rozległ się wrzask gliniarza: „STAC, BO STRZELAM!”

Jednak gliny wcale nie wyskoczyły za Jackiem i Francine, tylko siedziały w samochodzie. Kamery zatrzymały się.

Przez dobre parę minut rozglądaliśmy się z Sarą za Jonem Pinchotem. W końcu znaleźliśmy go, stał spokojnie gdzieś z boku.

- Słuchaj, stary, przecież gliny miały wyskoczyć z auta i biec za nimi.

- Wiem, ale drzwi w wozie się zacięły. Nie mogli wysiąść.

- Co takiego?

- Wiem, że to nieprawdopodobne. Będziemy musieli naprawić te drzwi i nakręcić całą scenę od początku.

- Strasznie nam przykro - pocieszyła go Sara.

Jon był przygnębiony. Zwykle kiedy coś mu nie szło, potrafił się z tego śmiać.

- Przyjdę do was, jak powtórzymy scenę.

Wróciliśmy na drugą stronę ulicy. Martwiłem się, że Jon jest taki oklapły. Zawsze promieniował jakąś wrodzoną pewnością siebie. Niektórzy nie lubili go za to, uważali, że się popisuje, ale jego pewność siebie była z gruntu szczerą. Każdy z nas lubi strugać twardziela. Też nie należę do wyjątków. Widok Jona tracącego ducha sprawiał mi przykrość.

Francine, Jack i inni członkowie ekipy pochowali się do swoich przyczep. Nie cierpiałem długich przerw między ujęciami. Filmy kosztują majątek z tego powodu, że przez większość czasu nikt nic nie robi, tylko wszyscy czekają i czekają. Nic się nie dzieje, dopóki *każda rzecz* nie jest gotowa: kamera, światła; dopóki fryzjer się nie wyszcza, a konsultant nie skonsultuje. Wszyscy umyślnie opierdalają się w ten sposób, biorąc forszę za co się tylko da. Nikt poza jednym facetem nie może wetknąć wtyczki do gniazdka, dźwiękowiec wścieka się na asystenta reżysera, a aktorzy mają muchy w nosie, bo aktorzy zawsze mają muchy w nosie, i tak dalej. Cały czas odbywa się nieustające trwonienie wszystkiego. Nawet przy produkcji filmu o tak skromnym budżecie stale korciło mnie, żeby wrzasnąć: „RUSZCIE WRESZCIE DUPĄ, DO KURWY NĘDZY! WYSTARCZY 10

MINUT NA KAŻDĄ RZECZ, Z KTÓRĄ BABRZECIE SIĘ GODZINAMI!”

Nigdy nie odważyłem się tego powiedzieć. Byłem tylko scenarzystą, mało znaczącą pozycją w ich budżecie.

Wtem moje ego zostało dowartościowane. Na planie pojawiła się ekipa telewizyjna z Włoch i jeszcze jedna z Niemiec. Jedną i drugą kierowały kobiety. Obie chciały przeprowadzić ze mną wywiad.

- My pierwsi uzyskaliśmy zgodę - upierała się Włoszka.

- Tak, ale wy go całkiem wyeksploatujecie - denerwowała się Niemka.

- Taką mam właśnie nadzieję - oświadczyła Włoszka. Zasiadłem przed włoskimi jupiterami. Włączono kamerę.

- Co pan sądzi o kinie?

- Unikam jak mogę.

- Czym się pan zajmuje w czasie wolnym od pisania?

- Końmi. Gram na wyścigach.

- Czy konie pomagają panu w twórczości?

- Tak, pozwalają o niej zapomnieć.

- Czy w swoim filmie pije pan?

- Tak.

- Czy uważa pan, że picie jest dowodem męskości?

- Niczego nie uważam za dowód męskości.

- Jaka jest wymowa pańskiego filmu?

- Żadna.

- Żadna?

- Żadna. No, chyba że zagłądanie śmierci w tyłek.

- Co pan widzi, kiedy pan zagłada śmierci do tyłka?

- To samo co pan.

- Jaka jest pańska dewiza życiowa?

- Jak najmniej myśleć.

- To wszystko?

- Nie. Jeszcze: bądź dobry, jeśli nie masz lepszego pomysłu.

- Ładne.

- Ładne niekoniecznie znaczy dobre.

- Dziękujemy, panie Chinaski. Co chciałby pan powiedzieć włoskim odbiorcom?

- Nie drzyjcie się tak strasznie. Czytajcie Celine'a.

Jupitery Włochów pogasły.

Wywiad z Niemcami był jeszcze mniej interesujący.

Ich dziennikarka chciała wiedzieć, *ile* piję.

- Pije, ale już nie tyle, co kiedyś - poinformowała ją Sara.

- Nie powiem ani słowa więcej, jeżeli natychmiast nie dostanę jeszcze jednego drinka.

Drink pojawił się w okamgnieniu, w papierowym kubeczku, który osuszyłem do dna. Palce lizać. Nagle to, że ktoś chce wiedzieć, co myślę, wydało mi się idiotyczne. Najlepszą część swojej istoty pisarz przelewa na papier. Reszta to brednie.

Niemka się nie omyliła. Włoszka wyeksploatowała mnie do cna.

Byłem teraz rozgrymaszonym gwiazdorem. W dodatku niepokoiłem się o scenę na poletku kukurydzy.

Chciałem koniecznie porozmawiać z Jonem, powiedzieć mu, że Francine powinna być bardziej pijana i bardziej szalona, powinna stać na krawędzi życia i śmierci, rwąc jedną ręką kukurydzę pośród domów, których fasady przypominały twarze ze snów, twarze, które z wysoka obserwują naszą żalostną egzystencję: bogaczy i biedaków, pięknych i szpetnych, zdolnych i bezużytecznych.

- Nie lubi pan filmu? - spytała Niemka.

- Nie.

Światła pogasły. Wywiad dobiegł końca.

Tymczasem jeszcze raz nakręcono scenę na poletku kukurydzy. Mogło być lepiej, ale nie było najgorzej.

34

Była dziesiąta rano, kiedy zadzwonił telefon. Dzwonił Jon Pinchot.

- Przerwano produkcję filmu...

- Jon, przestałem już wierzyć w takie opowieści. Chcą w ten sposób po prostu zrobić dookoła siebie więcej szumu.

- Kiedy naprawdę przerwano produkcję.

- To przecież bez sensu. Za dużo zainwestowali w przedsięwzięcie, ponieśliby wielkie straty...

- Hank, Firepower zwyczajnie nie ma ani grosza. Nie tylko nasz film stanął, stanęła produkcja *wszystkich* filmów. Dziś rano poszedłem do gmachu Zarządu wytwórni. Zostałem samych wartowników. W całym budynku nie było NIKOGUŚKO! Przeszedłem cały gmach od dołu do góry i z góry na dół. Darłem się: „Halo! Halo! Jest tu kto?” Nikt nie odpowiedział. Jakby wszystkich wymiotło.

- No dobrze, Jon. Co wobec tego z klauzulą „czy się stoi, czy się leży” Jacka Bledsoe'a?

- Nie mogą mu zapłacić ani na stojąco, ani na leżąco, bo wszyscy zatrudnieni w Firepower, nie wyłączając nas, nie dostaną odtąd ani grosza. Niektórzy już od dwóch tygodni pracują za darmo. Nie ma dla nikogo pieniędzy...

- Co zamierzasz w związku z tym?

- Sam nie wiem, Hank, sprawa wygląda beznadziejnie...

- Tylko nie działaj pochopnie, Jon. Może inna spółka zechce przejąć nasz film?

- Nie zechce. Nikomu nie podoba się nasz scenariusz.

- Racja. Byłbym zapomniał...

- Co myślisz w tej sytuacji zrobić?

- Ja? W zasadzie wybieram się na tor, ale jeżeli masz ochotę wpaść do mnie wieczorem na parę drinków, będziesz mile widziany.

- Dzięki, Hank, ale mam randkę z parą lesbijek.

- Powodzenia.

- Nawzajem.

Jechałem Autostradą Portową na północ, w stronę Hollywood Park. Na wyścigach grałem od ponad 30 lat. Zaczęło się wtedy, kiedy wykrwawiłem się prawie na śmierć w szpitalu okręgowym Los Angeles. Powiedzieli mi tam, że jeżeli jeszcze raz wezmę alkohol do ust, skończy się to dla mnie fatalnie.

- To co ja będę robił? - spytałem Jane.

- Robił z czym?

- Co będę robił zamiast pić?

- No, zawsze jeszcze są konie.

- Konie? Co się robi z końmi?

- Konie się obstawia.

- Obstawia? To brzmi dość głupio.

Pojechaliśmy na wyścigi i zgarnąłem sporą sumkę. Zacząłem codziennie chodzić na tor. Powoli zacząłem też po trochu popijać. Piłem coraz więcej i jakoś nie umarłem. Wręcz przeciwnie, miałem *i* picie, *i* konie. Byłem załatwiony. W tamtych czasach w niedziele nie było gonitw, więc wsiadałem w starego gruchota i jechałem do Agua Caliente, wracałem tego samego dnia. Czasem po wyścigach konnych oglądałem jeszcze wyścigi psów, potem zaglądałem do miejscowych barów. Nigdy mnie nie okradziono ani nie oszukano, a meksykańscy barmani i właściciele lokali traktowali mnie dosyć uprzejmie, chociaż zdarzało się, że byłem jedynym gringo. Lubiałem jazdę po nocy do

domu i było mi obojętne, czy zastanę, czy nie zastanę Jane. Powiedziałem jej po prostu, że Meksyk jest zbyt niebezpieczny dla kobiet. Kiedy wracałem, zwykle nie było jej w domu. Bawiła w miejscu o wiele bardziej niebezpiecznym: przy Alvarado Street. Nie miałem nic przeciwko temu, o ile zostawiła mi 3 czy 4 piwa. Jeżeli jednak wypila wszystko i lodówka świeciła gołymi półkami, wtedy rzeczywiście była w niebezpieczeństwie.

Jak chodzi o konie, to przeprowadziłem dogłębne studia w dziedzinie zakładów. Opracowałem ze dwa tuziny systemów. Wszystkie były skuteczne, tyle że nie mogłem ich używać jednocześnie, bo opierały się na odmiennych przesłankach. Wszystkie moje systemy miały tylko jeden wspólny mianownik: Publiczność zawsze przegrywa. Należało ustalić, na kogo stawia Publiczność, i postępować odwrotnie.

Jeden z moich systemów opierał się na numerze konia na ścierce i jego numerze w startmaszynie. Istnieją numery, które publiczność niechętnie obstawia. Jeżeli z tablicy wynika, że nie lubiany numer na ścierce jest mocno grany w stosunku do pozycji konia w startmaszynie, wtedy koń rokuje duże szanse na zwycięstwo. Studiując przez wiele lat wyniki gonitw na torach kanadyjskich, meksykańskich i amerykańskich, dopracowałem się systemu opartego wyłącznie na numerach niesionych (numer na ścierce zależy od toru i gonitwy, w której koń ostatnio startował).

„Przewodnik Wyścigowy” wydawał opasłe czerwone księgi z wynikami gonitw. Kosztowały 10 dolarów. Przez całe tygodnie wczytywałem się w nie godzinami. Wyniki układają się według pewnego wzoru. Jeżeli uda ci się rozszyfrować ten wzór - jesteś w domu. Możesz kazać szefowi pocałować się w dupę. Paru szefom kazałem się całować w dupę, a potem musiałem szukać sobie nowych, głównie dlatego, że odstępowałem od własnych systemów albo próbowałem je przechytrzyć. Słabość natury ludzkiej to jeszcze jedna pułapka, z którą zmagają się gracze na torze.

Wjechałem na teren Hollywood Park. Skierowałem się na „Aleję Naklejek”. Znajomy trener sprezentował mi naklejkę z napisem „Właściciel/Trener”, którą przyklejałem na samochodzie parkując, a także przepustkę na teren klubowy. Porządny chłop, najbardziej podobało mi się w nim to, że nie był ani literatem, ani aktorem.

Wszedłem do klubu, znalazłem wolny stolik i wziąłem się do obliczeń. Zawsze zaczynałem od obliczeń, potem płaciłem dolara wstępu i szedłem do Pawilonu Cary Granta. W pawilonie było pustawo i dawało się swobodnie myśleć. Co się tyczy samego Cary Granta, to w pawilonie wisi jego olbrzymie zdjęcie. Grant nosi na nim staroświeckie okulary i ma na ustach swój słynny uśmiech. Uśmiech pełen rezerwy. Ale co też był z niego za gracz, pożałuj Boże. Należał do gatunku graczy, którzy stawiają po dwa dolary.

Kiedy przegrywał, leciał w stronę toru, wrzeszcząc i wymachując rękami. „NIE RÓBCIE MI TEGO!” - darł się. Ktoś, kto zakłada się o dwa dolary, równie dobrze może siedząc w domu przełożyć sobie tę sumę z kieszeni do kieszeni.

Ja sam jednak nie stawiałem nigdy więcej niż 20 dolarów. Nadmierna chciwość popycha do błędów, ponieważ wydawanie większych sum zakłóca tok myślenia. I jeszcze dwie uwagi: Nigdy nie należy obstawiać konia, który wygrał w poprzedniej gonitwie, i nigdy nie należy obstawiać konia, który zamykał stawkę.

Dzień płynął całkiem miło, tyle że jak zwykle cierpiałem z powodu 30 - minutowych przerw między gonitwami. 30 minut to o wiele za długo. Potworna strata czasu. Czuję, jak życie ze mnie wycieka. Siedzisz na ławce, a wokół wszyscy rajcują o tym, który koń powinien wygrać i dlaczego. Rzygać się chce. Chwilami odnosisz wrażenie, że jesteś w domu wariatów. Bo faktycznie jesteś. Każdy z tych przemądrzałych buców uważa się za mądrzejszego od całej reszty przemądrzałych buców, z którymi siedzi na kupie. A wśród nich ja.

Lubię, kiedy coś się dzieje naprawdę, kiedy kalkulacje sprawdzają się na mecie i życie nabiera sensu, zaczyna pulsować w jakimś rozsądnym rytmie.

Natomiast przerwy między gonitwami są dla mnie istną torturą; siedzisz otoczony brzęczącym, bzyczącym rojem ludzkim, niepoprawnym i niedouczone, który na domiar złego stale cofa się w rozwoju. Często straszylem moją biedną żonę Sarę, że nie pójdę na tor, tylko będę siedział przez cały dzień w domu, tuzinami płodząc nieśmiertelne poematy.

Jakoś udało mi się przetrwać tamto popołudnie i jechałem do domu z łupem w wysokości ponad 100 dolarów. Wracalem w tłumie ludzi pracy. Cóż to była za zgraja. Wkurwieni, wykończeni, bez grosza, pędzili do domu pieprzyć się, jeżeli mieli z kim, oglądać telewizję, kłaść się wcześniej, żeby. od rana pchać ten sam wózek.

Wjechałem na podjazd. Sara podlewała ogródek. Była wspaniałą ogrodniczką. W dodatku była pogodzona z moim szaleństwem. Żywiła mnie zdrowo, strzygła mi włosy, obcinała paznokcie u nóg i generalnie rzecz biorąc, trzymała mnie przy życiu na wiele sposobów.

Wysiadłem z auta i wszedłem do ogródka pocałować ją na powitanie.

- Wygrałeś coś? - spytała.

- Jasne, że tak. Parę groszy.

- Nie było żadnych telefonów.

- To wszystko dość okropne - stwierdziłem. - I to po tym, jak Jon zagroził, że utnie

sobie palec i tym podobne. Naprawdę szczerze mu współczuję.

- Może powinieneś go był zaprosić na wieczór.

- Zaprosiłem, ale twierdził, że umówił się z kimś i ma związane ręce.

- Czyżby związek sadomasochistyczny?

- Tego nie wiem. Wiem tylko tyle, że umówił się z parą lesbijek. Chce się jakoś rozerwać.

- Zwróciłeś uwagę na róże?

- Tak, wyglądają wspaniale. Ta czerwień, ta biel, ta żółć. Żółty to mój ulubiony kolor, mógłbym go jeść łyżkami.

Sara z węzłem w ręku podeszła do hydrantu i zakręciła kran. Razem weszliśmy do domu. Czasami życie bywa całkiem znośne.

35

Potem nagle, jakby nigdy nic, film ruszył od nowa. Wiadomość jak zwykle przekazał mi przez telefon Jon.

- Tak jest - zapewnił mnie - od jutra rusza produkcja.

- Nic z tego nie rozumiem. Myślałem, że film całkiem padł.

- Firepower upłynniła część swojego majątku. Filmotekę i parę hoteli w Europie. Na dodatek udało im się wyludzić sporą pożyczkę od Włochów. Mówi się, że włoskie pieniądze trochę śmierdzą, ale cóż... pieniądz to w końcu pieniądz. Tak czy owak, chciałbym, żebyście jutro wpadli z Sarą na plan.

- Czy ja wiem...

- Jutro wieczorem...

- No dobrze... Gdzie i kiedy?

Siedzieliśmy z Sarą w boksie restauracji. Panował miły nastrój piątkowego wieczoru. Siedzieliśmy sobie z Sarą, kiedy nagle zjawił się Rick Talbot. Przysiadł się do nas i oto siedział w naszym boksie. Chciał tylko napić się kawy. Oglądałem go wiele razy w telewizji, jak prezentował filmy. Jego partnerem w programie był Kirby Hudson. Świetnie prowadzili swój program, często bardzo się przy tym emocjonując. W dodatku byli szalenie dowcipni. Żaden z licznych naśladowców ich stylu nie umiał im dorównać.

Rick Talbot wyglądał o wiele młodziej niż w telewizji. Sprawiał też wrażenie bardziej zamkniętego w sobie, nieomal nieśmiałego.

- Oglądamy cię często - powiedziała Sara.

- Dziękuję...

- Czy mógłbyś mi powiedzieć, co cię najbardziej wkurza w Kirby Hudsonie? - spytałem.

- Palec... Nie cierpię, kiedy pokazuje palcem...

Akurat nadeszła Francine Bowers. Wcisnęła się do boksu. Powitaliśmy ją wszyscy. Okazało się, że znają się z Rickiem. Francine miała przy sobie mały notatniczek.

- Słuchaj, Hank, chciałabym, żebyś opowiedział mi więcej o Jane. Była Indianką, prawda?

- Pół Indianką, pół Irlandką.

- Dlaczego piła?

- Picie było dla niej ucieczką, a także formą powolnego samobójstwa.

- Czy wzięłaś ją kiedykolwiek ze sobą gdzie indziej niż do baru?

- Wziąłem ją na mecz baseballowy na Wrigley Field, jeszcze w czasach, kiedy L.A. Angels grali w lidze Pacific Coast.

- I co?

- Oboje daliśmy nieźle w szyję. Jane wściekła się na mnie i zwiła, kiedy mieliśmy wsiadać do samochodu. Kilka godzin jeździłem rozglądając się za nią. Kiedy wreszcie wróciłem do domu, zastałem ją nieprzytomną na łóżku w naszym pokoju.

- Jaki miała głos? Głośno mówiła?

- Potrafiła milczeć godzinami. Potem nagle ni stąd, ni zowąd dostawała szału, zaczynała przeklinać, wrzeszczeć i ciskać przedmiotami. Trwało to zwykle jakieś 20 minut, po czym uspokajała się, piła i zaczynała od nowa. Bez przerwy wyrzucano nas z kolejnych mieszkań. Wyrzucono nas w sumie tyle razy, że nie byliśmy w stanie spamiętać wszystkich miejsc, w których mieszkaliśmy. Kiedyś, szukając mieszkania, zastukaliśmy do drzwi. Stała w nich właścicielka, która dopiero co nas wyrzuciła. Na nasz widok zbladła i z wrzaskiem zatrzaskała drzwi.

- Jane już nie żyje? - zaciekawiał się Rick Talbot.

- Od dawna. Nikt już nie żyje. Żaden z tych, z którymi piłem.

- Co *ciebie* trzyma przy życiu?

- Lubię pisać. Pisanie mnie podnieca.

- Poza tym karmię go witaminami, unikam tłuszczów w diecie, a z mięsa podaję wyłącznie ryby i drób - dodała Sara.

- Dalej pijesz? - spytał Rick Talbot.

- Głównie kiedy piszę albo znajduję się wśród ludzi. Nie czuję się najlepiej między ludźmi, a kiedy piję, przestaję odczuwać ich obecność.

- Powiedz mi jeszcze coś o Jane - poprosiła Francine.

- Hmm... Trzymała pod poduszką różaniec.

- Chodziła do kościoła?

- Kiedy jej odbiło, szła na coś, co nazywała „mszą przeciwkacową”. O ile sobie przypominam, msza zaczynała się o ósmej trzydzieści i trwała około godziny. Nie cierpiała mszy o dziesiątej, która potrafiła się wlec przez dwie godziny.

- Czy chodziła do spowiedzi?

- Nie pytałem...

- Czy mógłbyś opowiedzieć o niej coś, co by mi przybliżyło jej charakter?

- Może to, że chociaż zachowywała się koszmarnie kłęła, była pierdolnięta i uwielbiała wypić wszystko, co robiła, robiła z pewną klasą. Łudzę się, że sam nabrałem przy niej pewnej klasy.

- Bardzo ci dziękuję. Myślę, że to wszystko jakoś mi pomoże.

- Nie ma za co.

Francine ulotniła się ze swoim notatnikiem.

- Chyba nigdy tak dobrze nie bawiłem się na planie - wyznał Rick Talbot.

- Co masz na myśli? - zaciekała się Sara.

- Ogólny klimat, klimat balangi, który unosi się czasem nad niskonakładowymi filmami. Tutaj wyczuwam go ze zdwojoną siłą...

Widać było, że nie łże. Oczy mu się świeciły. Uśmiechał się z niekłamaną radością. Zamówiłem jeszcze jedną kolejkę.

- Dla mnie tylko kawa - poprosił. Przyniesiono zamówienie do stolika.

- Patrzcie! Jest Sesteenov! - ucieszył się Rick.

- Kto taki? - spytałem.

- Zrobił ten genialny film o cmentarzach dla zwierząt. Ej, Sesteenov!

Sesteenov podszedł do nas.

- Siadaj - zaprosiłem. Sesteenov wcisnął się do boksu.

- Zamówić ci coś? - zaproponowałem.

- Nie, nie...

- Patrzcie - ucieszył się Rick Talbot. - Przyszedł Illiantovitch! Illiantovitcha znałem. Zrobił kilka dziwaczkich, ponurych filmów, których tematem był triumf ludzkiej odwagi nad gwałtem, jaki niesie życie. Filmy, mimo ponurego patosu, były zupełnie niezłe.

Illiantovitch był bardzo wysoki. Chodził ze zwieszoną głową, wodząc oczami szaleńca, którymi przewiercał cię na wylot. Było to nieco krępujące.

Ścisnęliśmy się, żeby zrobić mu miejsce. Boks trzeszczał w szwach.

- Zamówić ci coś? - spytałem.

- Podwójną wódkę - poprosił.

To była odpowiedź, jaką lubię. Skinąłem na barmana.

- Podwójna wódka - zaordynował, wpijając w barmana wzrok szaleńca. Barman ruszył pędem do roboty.

- Cudowny wieczór - powiedział Rick.

Zachwyciła mnie jego prostota. Kiedy jest się tak sławnym jak on, wyznanie, że człowiek dobrze się bawi, wymaga sporej odwagi.

Illiandrovitchowi przyniesiono podwójną wódkę, którą obalił jednym haustem.

Rick Talbot wypytywał wszystkich, nie wyłączając Sary. W naszym boksie nie istniały zazdrość ani rywalizacja. Czułem się jak u siebie w domu.

W którymś momencie zjawił się uśmiechnięty od ucha do ucha Jon Pinchot. Podeszedł do boksu i skinął lekko głową.

- Mam nadzieję, że za chwilę zaczniemy zdjęcia. Przyjdę was zgarnąć...

- Dzięki, Jon. Odszedł.

- To dobry reżyser - pochwalił Rick Talbot. - Mimo to jestem ciekaw, dlaczego upatrzyłeś sobie akurat jego?

- To on sobie mnie upatrzył...

- Naprawdę?

- Naprawdę.... W zaufaniu mogę opowiedzieć ci coś, co ci wyjaśni, dlaczego go lubię i uważam za dobrego reżysera...

- Opowiedz - poprosił Rick.

- A zachowasz to dla siebie?

- Jasne...

Nachyliłem się przez stolik i opowiedziałem mu o Jonie, pile łańcuchowej i małym palcu u ręki...

- To wszystko prawda? - zdumiał się Rick.

- Jak najbardziej. Pamiętaj, dyskrecja obowiązuje.

- Jasne...

(Zdawałem sobie sprawę, że opowiadając historię Rickowi, sam popełniłem niedyskrecję.)

Illiandrovitch zdążył tymczasem wypić dwie podwójne wódki. Siedział zapatrzony w trzeci kieliszek. Przez cały czas nie spuszczał mnie z oka. Nagle wyciągnął portfel i

wydobył z niego zatłuszczoną wizytówkę, którą mi wręczył. Wizytówka była brudna, wymamlana; wszystkie rogi miała pozaginane. Dawno zrezygnowała z bycia wizytówką. Illiantovitch sprawiał wrażenie niechlujnego geniusza. Podziwiałem go za to. Wyraźnie nie zależało mu na pozorach. Chwycił kieliszek i wlał podwójną wódkę do gardła.

Potem omiółł mnie pochmurnym wzrokiem. Chciałem mu odpowiedzieć, ale nie byłem w stanie znieść jego mrocznego spojrzenia. Uciekłem oczami w bok. Skinąłem na barmana, żeby nalał następną kolejkę. Dopiero wtedy odwilżyłem Nip spojrzeć na Illiantovitcha.

- Jesteś największy z wielkich - oświadczyłem. Nikt się nie może z tobą równać.

- O nie, nie - zaprotestował. - TY jesteś największy! Ofiarowuję ci moją wizytówkę! Jest na niej termin PREMIERY MOJEGO NAJNOWSZEHO FILMU! MUSISZ KONIECZNIE PRZYJECHAĆ!

- Na pewno przyjadę, stary - zapewniłem go. Wyjąłem portfel i starannie schowałem wizytówkę.

- Ale wieczór - cieszył się Rick Talbot.

Pogadaliśmy jeszcze chwilę, dopóki nie zjawił się Jon Pinchot.

- Zaraz zaczynamy zdjęcia. Chodźcie już, żebyśmy mogli was porozstawiać.

Wszyscy podnieśliśmy się z miejsc i posłusznie ruszyliśmy za Jonem, jeden tylko Illiantovitch rozparł się w boksie.

- Co mi tam, kurwa, strzeleć sobie jeszcze parę kielichów. A wy - jazda stąd.

Skinął na barmana, podniósł skiepowanego peta do ust i pstryknął zapalniczką, przypalając sobie czubek nosa. Ruszyliśmy w mrok nocy.

36

Trwały przygotowania do zdjęć w uliczce przed barem. Barman miał stoczyć walkę z jednym z klientów. Na dworze panował ziąb. Wszystko było dopięte prawie na ostatni guzik. I za barmana, i za Jacka Bledsoe'a w scenie bójki mieli wystąpić dublerzy. To znaczy w zbliżeniach miały pojawiać się twarze Bledsoe'a i barmana, ale w planach ogólnych mieli walczyć dublerzy.

Bledsoe wypatrzył mnie.

- Ej, Hank, pozwól do nas.

Podszedłem bliżej.

- Pokaż im twój styl walki.

Zrobiłem parę uników, serwując lewe proste, od czasu do czasu robiłem wypad do przodu, serwując na przemian lewe i prawe.

Przystanąłem, żeby im objaśnić, jak wyglądały nasze walki przed laty.

- Wyglądało to, prawdę mówiąc, nieszczęśliwie. Najpierw bez końca robiliśmy uniki, wreszcie któryś z nas ruszał do ataku. Jak na walczących po pijaku zadawaliśmy chyba bardzo ostre i brutalne ciosy. Po jakimś czasie odsuwaliśmy się od siebie, żeby ocenić sytuację, i znów ruszaliśmy do ataku, młóćąc pięściami. Ładowało się głównie w bebechy. Zwycięzca mógł być tylko jeden. Walka kończyła się dopiero wtedy, kiedy jeden z walczących tracił przytomność. Niezły teatr, w dodatku za darmo...

Zdjęcia miały się zacząć za chwilę. Wycofaliśmy się z uliczki i przystanęliśmy na uboczu. W tym momencie wkroczył Harry Friedman, prowadząc ze sobą hollywoodzką cizję w peruce, ze sztucznymi rzęsami i krzykliwym makijażem. Usta dwa razy większe niż w naturze, biust także. Zawinął do nas również wybitny twórca *Ratmana* i *Pencilheada*, Manz Loeb. Towarzyszyła mu słynna aktorka Rosalind Bonelli. Musieliśmy podejść z Sarą, żeby nas przedstawić. Loeb i Bonelli uśmiechali się miło i byli uprzejmi, ale odniosłem przykre wrażenie, że czują wobec nas wyższość. Co zresztą nie miało specjalnego znaczenia, bo ja również odczuwałem wobec nich wyższość. Tak to bywa.

Wycofaliśmy się z powrotem na stanowiska obserwacyjne. Zaczęła się ostra bójka. Walka od samego początku wyglądała dosyć brutalnie. Nasze walki robiły się brutalne dopiero pod sam koniec, kiedy jeden z walczących był już bezsilny (zazwyczaj ja), a drugi nie mógł się zatrzymać.

Jeszcze dwa słowa na temat naszych walk. Jeżeli nie należałeś do „Klubu” Barmana i przegrałeś, zostawiano cię pośród kubłów na śmieci na pastwę szczerom. Wspomnienia cisnęły się drzwiami i oknami. Któregoś ranka obudził mnie ryk klaksonu i światła wozu ciężarowego. Nade mną stała śmieciarka.

- EJ, TY TAM, SPIERDALAJ Z JEZDNI! MAŁOŚMY CIĘ NIE PRZEJECHALI!

- Au, aua, przepraszam...

Wstać, kiedy człowiekowi kręci się w głowie, kiedy chory, pobity, marzy tylko o samobójstwie, a przed nim siedzą mili, zdrowi czarni mężczyźni, którym zależy wyłącznie na wywiezieniu śmieci zgodnie z harmonogramem.

Kiedy indziej z okna wychyliła się głowa czarnej kobiety:

- EJ, BIAŁY ŚMIECIU, SPIERDALAJ SPOD MOICH DRZWI!

- Ta jest, psze pani, pszaszam najmocniej...

Najgorsze było jednak, kiedy wracała przytomność, gdzieś między kubłami na śmieci; ból był zbyt silny, żeby się ruszyć, ale wiedziałeś, że w końcu będziesz musiał się ruszyć; pojawiała się najczarniejsza z myśli: założę się, że znowu rąbnęli mi portfel...

Tu zaczynała się zabawa. Bez sięgania ręką starasz się wyczuć, czy portfel wrzyna ci się w póldupek. Czujesz w tym miejscu dziwną pustkę. Nie masz najmniejszej ochoty wyciągać ręki, ale w końcu zbierasz się na odwagę. *Jak zwykle* nie znajdujesz portfela. Z biegiem czasu byłem coraz bardziej rozczarowany ludzkością.

Teraz jednak scena bójki dobiegła końca. Jon Pinchot podszedł do nas.

- No i jak? - spytał.

- Nie za bardzo.

- Dlaczego?

- W tamtych walkach gladiatorzy mieli w sobie coś z kłownów, grali dla publiczności. Kiedy jednemu z nas udało się, padając, podciąć drugiego, odwracał się do tłumu i pytał: „Fajnie, co?”

- Teatr dla ubogich?

- Coś w tym rodzaju.

Jon podszedł do dublerów i zaczął coś wyjaśniać. Dublerzy słuchali z uwagą. Poczciwy Jon, był pewnie pierwszym reżyserem w historii, który brał sobie do serca wskazówki scenarzysty. Czulem się zaszczycony. Moje życie nie było dotąd zbyt szczęśliwe, teraz wyglądało na to, że los zaczął się do mnie uśmiechać. Nie miałem nic przeciwko temu.

Jeszcze raz skreślił scenę bójki.

Przyglądałem się walczącym i muszę przyznać, że wymiękłem patrząc, jak wskrzeszają zapomniany sen. Chciałem być jednym z nich, przeżyć te chwile jeszcze raz. Miałem ochotę walić pięściami w mur zaułka, nie bacząc na to, co sobie kto o tym pomyśli. Walić na umór.

Kiedy było po wszystkim, Jon podszedł do nas.

- I jak? - spytał.

- Podobało mi się.

- Mnie też - przyznał. I to by było na tyle.

Wróciliśmy z Sarą do boksu w barze.

Illiantovitch już znikł. Pewnie zabrakło wódki.

Złożyliśmy z Sarą zamówienia, a Rick przyniósł następną kawę.

- Jeden z najmiłszych wieczorów w moim życiu - wyznał Rick.

- Żartujesz, Rick. To gdzie ty dotąd chodziłeś wieczorami?

Wpatrywał się w filiżankę z uroczym uśmiechem niewiniątka.

Znowu nadeszła Francine Bowers z nieodłącznym notatnikiem.

- Jak umarła Jane?

- Cóż, byłem wtedy związany z inną kobietą. Z Jane rozstaliśmy się już 2 lata wcześniej. Wpadłem do niej w odwiedzinie przed Bożym Narodzeniem. Była w tym hotelu pokojówką, bardzo przez wszystkich lubianą. Każdy z gości dał jej w prezencie butelkę wina. Pod sufitem jej pokoju biegła wążutka półeczka. Stało na niej z 18 czy 19 butelek. „Czy oni sobie nie zdają sprawy, że wykitujesz, jak to wszystko wypijesz? A na pewno wypijesz” - zżymałem się. Popatrzyła na mnie i tyle. „Zabieram stąd to pierdolone szkło. Oni chcą cię zabić!” Znowu nic nie powiedziała, tylko popatrzyła na mnie. Spędziłem z nią tę noc i obaliłem 3 butelki, zmniejszając ich ilość do 15 czy 16. Rano, wychodząc, poprosiłem: „Nie wypij wszystkiego od razu...” Wróciłem półtora tygodnia później. Drzwi do pokoju zastałem otwarte. Zobaczyłem na łóżku wielką plamę krwi. W całym pokoju nie było ani jednej butelki. Odszukałem Jane w szpitalu okręgowym Los Angeles. Leżała w sypialce alkoholowej. Siedziałem przy niej dłuższy czas. Nic nie robiłem, tylko patrzyłem na nią, od czasu do czasu zwilżałem jej wargi wodą, odgarniałem wpadające do oczu włosy. Pielęgniarki zostawiły nas samych. Nagle Jane otwarła oczy i powiedziała: „Wiedziałam, że to ty”. W trzy godziny później nie żyła.

- Życie nie dało jej szansy - zauważyła Francine Bowers.

- Bo wcale tego nie chciała. Była jedyną ze znanych mi osób, która pogardzała ludzkością równie silnie jak ja.

Francine zamknęła notatnik.

- Wybacz, ale przypatruję ci się cały wieczór. Nie wyglądasz na złego człowieka - odezwał się Rick.

- Ty też nie - nie pozostałem dłużny.

37

W parę dni później przyjechaliśmy w to samo miejsce na zdjęcia dzienne. Jon Pinchot odszukał nas, zanim zdążyliśmy wejść do baru.

- Zaczekaj - poprosił. - Lada chwila zjawi się tutaj Corbell Veeker, fotograf. Chce zrobić zdjęcia tobie, Jackowi i Francine. Gość o światowej sławie. Słynie z fotografii kobiet, rzeczywiście potrafi wydobyć ich czar...

Staliśmy w zaułku na tyłach baru. Cień przepłatał się ze światłem słońca. Liczyłem się z długim oczekiwaniem, tymczasem Corbell Veeker zjawił się już po 5 minutach. Miał około 55 lat, nalaną twarz i wielkie brzuszysko. Nosił beret i szalik. Towarzyszyło mu 2 chłopców. Obaj wzięli się do rozpakowywania sprzętu. Wyglądali na posłusznych i zastraszonych.

Przedstawiono nas Corbellowi, następnie Corbell przedstawił nam swoich

asystentów.

- David...

- William...

Uśmiechnęli się blado.

Zjawiała się Francine.

- Ach, och, ach! - wykrzyknął Corbell Veeker, rzucając się, aby ją ucałować.

Cofnął się o krok.

- Zaraz, zaraz... O to, to - zawołał gestykulując. - Dokładnie to! Znakomicie!

Na zapleczu baru stała porzucona stara kanapa. Wzrok Corbella padł na zdezelowany mebel.

- Ty - spojrzał w moją stronę - siądziesz na kanapie...

Posłusznie wykonałem polecenie.

- Francine, siądziesz mu na kolanach...

Francine miała jaskrawoczerwoną sukienkę z rozcięciem u dołu, do tego czerwone buty, czerwone pończochy i białe perły. Siadła mi na kolanach. Poszukałem wzrokiem Sary. Puściłem do niej oko.

- Doskonale! Tak trzymać!

- Bardzo cię gniotę? Mam strasznie kościsty tyłek - zaniepokoiła się Francine.

- Nie przejmuj się. Nie ma sprawy - uspokoilem ją.

- Aparat numer CZTERY! - wrzasnął Corbell Veeker. David podskoczył z aparatem numer cztery. Corbell zawiesił aparat na szyi. Przykląkł na jedno kolano... Pstryknęło i błysnęło...

- TAK, WŁAŚNIE! BARDZO DOBRZE!

Znowu pstryknęło i błysnęło.

- TAK, WŁAŚNIE TAK!

Pstryk, błysk...

- FRANCINE, ODSŁOŃ JESZCZE TROCHĘ NÓG! O TO, TO! TAK JEST!

Pstryk, błysk, pstryk, błysk...

Fotografował namiętnie, z wielką pasją...

- FILM! FILM! - wrzasnął nagle.

William rzucił się i załadował nowy film do aparatu, a naświetloną kliszę schował do specjalnego pudełeczka. Corbell opadł na oba kolana, nastawił ostrość.

- KURWA MAĆ, NIE CHCĘ TEGO APARATU! POPROSZĘ APARAT NUMER SZEŚĆ! PRĘDZEJ, PRĘDZEJ! - naglił.

David podbiegł z aparatem numer sześć, zarzucił go Veekerowi na szyję, a aparat numer cztery uniósł na stronę.

- WIĘCEJ NÓG, FRANCINE! ZNAKOMICIE! FRANCINE, UWIELBIAM CIĘ! JESTEŚ OSTATNIĄ WIELKĄ GWIAZDĄ HOLLYWOOD!

Pstryk, błysk... Pstryk, błysk... jeszcze raz... i jeszcze raz... i jeszcze raz.

Nadszedł Jack Bledsoe.

- PRZYSIĄDŹ SIĘ DO NICH, JACK! PO JEDNYM Z KAŻDEJ STRONY! TAK, WŁAŚNIE TAK!

Pstryk, błysk... Pstryk, błysk...

- FILM! FILM! - wrzasnął Corbell Veeker.

Fotografie miały ukazać się w eleganckim, wysokonakładowym piśmidle dla pań.

- W PORZĄDKU, PANOWIE! A TERAZ JAZDA Z KANAPY! CHCĘ MIEĆ SAMĄ FRANCINE!

Kazał Francine wyciągnąć się na kanapie. Jednym łokciem miała się wesprzeć na bocznym oparciu, drugą rękę, uzbrojoną w długi papieros, przerzucić przez oparcie za plecami. Pozycja bardzo przypadła Francine do gustu.

Pstryk, pstryk, błysk, błysk...

Ostatnia wielka gwiazda Hollywood.

Chłopcy pędem donosili nowe filmy i nowe aparaty... Czuli pewnie, że na stacji benzynowej musieliby się zwijać dwa razy prędzej.

Wzrok Corbella padł na ogrodzenie z drutu.

- DRUCIANA SIATKA! wrzasnął.

Kazał się oprzeć Francine o siatkę w wyzywającej pozie. My z Jackiem Bledsoem mieliśmy stanąć po obu bokach Francine.

- BARDZO DOBRZE! BARDZO DOBRZE!

Strasznie się napalił na tę siatkę i pstrykał jedno zdjęcie za drugim. Siatka wyraźnie go podnieciła, siatka czy może to, co było zza niej widać.

Błysk, pstryk, błysk, pstryk...

I nagle okazało się, że jest po wszystkim.

- Bardzo wam dziękuję...

Jeszcze raz ucałował Francine. Jego chłopcy krzątali się, zbierając sprzęt do kupy, pakując, numerując... William miał notes, w którym spisywał każdy drobiazg: numer zdjęcia, godzinę, temat, użyty aparat i rodzaj kliszy.

Potem wszyscy sobie poszli, a my z Sarą udaliśmy się do baru. W barze siedziała

regularna załoga. Teraz, kiedy zostali gwiazdami ekranu, nabrali dostojeństwa. Przycichli, jakby pogrążeni w głębokich rozważaniach. Wolałem, kiedy zachowywali się po dawnemu. Film dobiegł końca. Żałowałem trochę, że opuściłem tyle dni zdjęciowych, ale gra na wyścigach wymaga wielu wyrzeczeń.

Postanowiliśmy z Sarą potraktować tę okazję ulgowo. Ja zamówiłem piwo, Sara czerwone wino.

- Myślisz, że jeszcze kiedyś napiszesz scenariusz? - spytała.

- Wątpię. Za dużo tych pieprzonych kompromisów. Stałe musisz się wczuwać w punkt widzenia kamery. Czy publiczność załapie, o co chodzi? W dodatku publiczność kinowa z byle powodu czuje się znieważona i sprowokowana. Czytelnicy powieści i opowiadań uwielbiają, kiedy się ich prowokuje i znieważa.

- Trzeba przyznać, że jesteś w tym niezły...

Do baru wszedł Jon Pinchot. Usiadł po mojej lewej ręce.

- Jasna cholera - zaklął z uśmiechem.

- Co się stało? - zaniepokoiła się Sara.

- Znowu zatrzymano produkcję? - spytałem domyślnie.

- Nie, nie, chodzi o coś innego...

- Co takiego?

- Jack Bledsoe odmówił zgody na publikację zdjęć, które Corbell zrobił przed chwilą.

- Co?

- No właśnie. Jeden z chłopców Corbella Veekera przyniósł mu do przyczepy papiery do podpisania, ale Jack odmówił zgody na publikację. No to poszedł do niego Corbell. To samo.

- Ale czemu? - zdziwiłem się. - Najpierw pozwolił się sfotografować, a teraz nie chce podpisać zgody?

- Nie wiem. Zawsze jednak możemy opublikować zdjęcia z tobą i z Francine. Przyjdziecie obejrzyć następną scenę?

- Jasne...

- Zajdę po was...

- Dzięki...

Siedzieliśmy z Sarą rozmyślając o całej sprawie. To znaczy tylko przypuszczam, że Sara o niej rozmyślała, bo ja tak.

Doszedłem do wniosku, że aktorzy stanowią odrębny gatunek ludzkości, kierujący się niepojętymi dla nas pobudkami. Rozumiecie, kiedy przez wiele lat po ileś godzin dziennie

spędzasz udając, że jesteś kimś, kim nie jesteś, to może ci się coś od tego zrobić. Ile wysiłku wymaga samo bycie sobą. A tu nagle za wszelką cenę masz stać się kimś, kim w ogóle nie jesteś. *Kolejnym* kimś, kim wcale nie jesteś. I jeszcze kimś. Jasne, że na początku to może być podniecające. Ale po jakimś czasie ktoś, kto przedzierzgnął się w dziesiątki osób, może mieć trudności z przypomnieniem sobie, kim w ogóle jest, zwłaszcza jeżeli sam układał swoje kwestie.

Jack Bledsoe musiał pogubić się właśnie w ten sposób, po czym uznał, że do zdjęć pozował nie on, tylko ktoś inny. W tej sytuacji jedyne, co mu zostało, to odmowa zgody na publikację. Postanowiłem wyjaśnić wszystko Sarze.

Patrzyłem, jak odstawia kieliszek i zapala papierosa.

E tam, machnąłem ręką, powiem jej kiedy indziej. Pociągnąłem solidny łyk mojego piwa, zastanawiając się, czy w eleganckim czasopiśmie dla pań wykorzystają zdjęcia, na których Francine wbija się kościstym tyłeczkiem w moje kolana...

38

32 dni zdjęciowe minęły jak z bicza trzaśł i przyszedł czas na bankiet.

Na parterze był długi bar, trochę stolików i duży parkiet taneczny. Na piętro prowadziły schody. Przyszła głównie ekipa filmowa i aktorzy. Nie wszyscy zaproszeni dopisali, za to kręciło się trochę osób, których w życiu na oczy nie widziałem. Nie było orkiestry, tylko z głośników dobywało się gromkie disco; niemniej alkohol dawano taki jak trzeba. Docisnęliśmy się z Sarą do baru. Za ladą stały dwie barmanki. Wziąłem wódkę, a Sara czerwone wino.

Jedna z barmanek poznała mnie i wyniosła z zaplecza którąś z moich książek. Złożyłem autograf.

Panował upał i ścisk - letnia noc, brak wentylacji.

- Weźmy jeszcze po drinku i chodźmy na górę - zaproponowałem Sarze. - Tutaj jest za gorąco.

- O.K. - zgodziła się.

Weszliśmy na górę. Było tam chłodniej i luźniej. Parę osób tańczyło. Wyczuwało się jakiś brak środka ciężkości, mankament wszystkich przyjęć. Poczulem, że ogarnia mnie przygnębienie. Opróżniłem kieliszek do dna.

- Wezmę sobie jeszcze drinka - powiedziałem Sarze. - Miałabyś też ochotę?

- Nie, idź sam...

Zszedłem po schodach, ale zanim dotarłem do baru, gruby kudłacz w ciemnych okularach chwycił mnie za rękę i zaczął nią potrząsać.

- Chinaski, czytałem wszystko, co napisałeś, wszystko co do słówka!

- I jak? - spytałem.

Nadal potrząsał moją dłoń.

- Któregoś wieczoru spiliśmy się razem w Jadłodajni Barneya. Pamiętasz mnie?

- Nie.

- Chcesz powiedzieć, że nie pamiętasz, jak upiliśmy się razem w Jadłodajni Barneya?

- Nie.

Przesunął okulary z nosa na czoło.

- A teraz mnie poznajesz?

- Nie. - Wyrwałem rękę i odmaszerowałem do baru. - Podwójna wódka - poleciłem barmance.

Postawiła przede mną kieliszek.

- Mam koleżankę, która nazywa się Lola - oznajmiła. - Znasz jakąś Lolę?.

- Nie.

- Twierdzi, że była twoją żoną przez dwa lata.

- Nic podobnego - zaprzeczyłem.

Ruszyłem od baru w stronę schodów. Czekał tam kolejny grubas, tym razem łysy, za to z gęstą brodą.

- Chinaski - powitał mnie.

- Tak?

- Andre Wells... Zagrałem epizod w pańskim filmie... Też jestem pisarzem... Skończyłem powieść, jest gotowa do druku. Chciałbym, żeby ją pan przeczytał. Czy mogę wysłać panu egzemplarz?

- W porządku... - Podąłem grubasowi numer skrytki pocztowej.

- Nie ma pan adresu domowego?

- Oczywiście, że mam. Ale książkę przyślij na skrytkę pocztową.

Doszedłem do schodów. Wchodząc na górę, wypilem połowę wódki. Sara rozmawiała ze statystką. Zauważyłem Jona Pinchota. Stał samotnie, z kieliszkiem w ręku. Podeszedłem do niego.

- Hank - powiedział - jestem zdumiony, że cię tu widzę...

- A ja jestem zdumiony, że Firepower szarpnęła się na bankiet...

- Nas obciążają kosztami...

- Rozumiem... Co dalej?

- Siedzimy w montażowni, pracujemy nad materiałem. Potem będziemy zgrywać

muzykę... Może byście wpadli zobaczyć, jak to wygląda?

- Kiedy?
- Kiedy zechcesz. Pracujemy 12, 14 godzin na dobę.
- Dobrze... Słuchaj, co się dzieje z Popppy?
- Z kim?
- Z tą, która wyłożyła 10 tysięcy, kiedy mieszkaliście przy plaży?
- A, Popppy. Jest teraz w Brazylii. Załatwimy tę sprawę.

Dopiłem wódkę.

- Nie zejdziesz na dół potańczyć? - spytałem go.
- Nie, czułbym się jak idiota...

Ktoś zawołał Jona po imieniu.

- Przepraszam - pojechał mnie. Nie zapomnijcie wpaść do montażowni.

I Jon zniknął, przecinając salę na ukos.

Podszedłem do balustrady i popatrzyłem w dół na bar. Kiedy rozmawiałem z Jonem, do baru wkroczył Jack Bledsoe z kumplami motocyklistami. Kumpie stanęli twarzami do tłumu, opierając łokcie na ladzie baru. Wszyscy z wyjątkiem Jacka mieli po butelce piwa. Jack popijał 7 - up. Nosili skórzane kurtki, szaliki, skórzane spodnie i buty.

Podszedłem do Sary.

- Schodzę zobaczyć się z Jackiem Bledsoem i jego bandą... Idziesz ze mną?

- Jasne.

Zeszliśmy na dół i Jack przedstawił nam po kolei swoich kumpli.

- To jest Henek Pała...

- Sie masz, stary...

- To Nahaj...

- Siemanko...

- Nocny Gwint...

- Cześć, cześć...

- Hycel...

- Jak rany!

- Edek 3 - jajca...

- Kurrna...

- ZaPierd...

- Miło poznać...

- I Pizdobój...

- Ten, tego...

I to by było na tyle. Wyglądali na fajnych chłopaków, tyle że oparli o bar, z butelkami w rękę, nosili się trochę teatralnie.

- Jack, zagrałeś znakomicie - pochwaliłem.

- I to jak! - poparła mnie Sara.

- Dziękuję... - Posłał mi olśniewający uśmiech.

- Wracamy na górę, cholernie tutaj gorąco... Może byście poszli z nami? - zaproponowałem.

Skinąłem na barmankę, żeby nam dołąła.

- Napiszesz jeszcze kiedyś scenariusz? - spytał Jack.

- Wątpię... Zbyttna utrata prywatności... Lubię siedzieć i gapić się w ścianę...

- Jakbyś się namyślił, daj mi znać.

- Jasne. Słuchaj, dlaczego twoi chłopcy stoją plecami do baru? Szukają dziewczyn?

- Nie, dziewczyn mieli po uszy. Muszą troszkę ochłonąć. - No dobra, do zobaczenia Jack...

- Tak trzymać - dorzuciła Sara.

Wróciliśmy na górę. Jack wkrótce ulotnił się ze swoim gangiem.

Oparliśmy się z Sarą o balustradę. Zobaczyłem Jona. Już wcześniej podpatrzyłem, że tańczył. Pomachałem mu.

- Ty, co się dzieje z Francine? Dlaczego nie dotarła na przyjęcie?

- Dzisiaj nie będzie prasy.

- Kapuję.

- Będę spadał - oświadczył Jon. - Jutro od rana montuję.

- Leć...

Jon ulotnił się.

Na dole zrobiło się pusto i chłodniej, więc zeszliśmy do baru. Byliśmy z Sarą ostatnimi gośćmi. Została tylko jedna barmanka.

- Po jednym na drogę - zaordynowałem.

- Alkohol jest już płatny - oświadczyła.

- Jak to?

- Firepower wynajęła lokal tylko do północy. Jest już dziesięć po dwunastej... Przemycę wam coś do picia, bo strasznie lubię pańskie książki, błagam, tylko nie mówcie o tym nikomu.

- Moja droga, nikt się o tym nigdy nie dowie...

Napełniła kieliszki. Do lokalu zaczął napływać tłum nocnych dyskomanów. Był już czas na nas. Najwyższy czas. Czekają na nas 5 naszych kotów. Trochę mi było żal, że zdjęcia się już skończyły. Co by nie mówić, była to jakaś podróż w nieznane. Dopiliśmy i wyszliśmy na ulicę. Auto stało tam, gdzie je zostawiłem. Otworłem drzwi przed Sarą, sam wsiadłem z drugiej strony. Zapaliłem silnik i wkrótce mknęliśmy Autostradą Portową na południe. Prosto w objęcia codzienności. Trochę mi to odpowiadało, trochę nie.

Sara zapaliła papierosa.

- Nakarmimy koty i pójdziemy spać.

- Może jeszcze po jednym?' - zaproponowałem.

- Czemu nie - zgodziła się Sara.

Są rzeczy, co do których jesteśmy zgodni z Sarą.

39

W parę dni później zajechaliśmy do montażowni, gdzie Jon Pinchot skrzęcił się z montażystą Kayem Bronsteinem.

Jon powyciągał dla nas krzesła.

- Pokażę wam nie zmontowany materiał, jeszcze w stanie surowym. Trzeba będzie w to włożyć kupę roboty...

- Nie ma dwóch zdań - poparła go Sara.

- Chcielibyśmy zmontować twój film tak, jak na to zasługuje - wyznał Kay. - Uważam, że jest genialny.

- Dziękuję - uradowałem się.

- Już teraz wgrywamy muzykę - powiedział Jon. - Friedman z Fischmanem ubijają kolejny interes w Londynie. Dzwonią do mnie 4, 5 razy dziennie, wrzeszcząc: „PRZERWIJ ZGRANIE DŹWIĘKU! PRZERWIJ ZGRANIE DŹWIĘKU!” Udaję, że ich nie rozumiem. Wybraliśmy świetne kawałki, ale tantiemy będą kosztować słono. Friedman z Fischmanem chcą, żebym użył spreparowanej muzyczki filmowej, która co prawda nie kosztuje grosza, za to jest *koszmarna*. Taki dźwięk położyłby cały film. Wgrywam więc porządne kawałki w ścieżkę dźwiękową tak, żeby się ich później nie dało usunąć.

- Robiłeś kiedyś film w takich warunkach? - spytałem.

- Nie. Nie ma drugich takich jak Friedman z Fischmanem. Ale ja ich uwielbiam.

- Uwielbiasz?

- Tak, oni są jak dzieci, wszystko robią z sercem. Nawet kiedy kładą ci nóż na gardle, robią to z uczuciem. Zdecydowanie wolę mieć do czynienia z nimi niż z którymś z bandy

działaczy związkowych, którzy trzymają w garści pół Hollywood.

Jon pogasił światła i zaczęliśmy oglądać film. Po malutkim ekranie, nie większym od ekranu tv, przesuwała się lista wykonawców. Potem pojawiło się moje nazwisko. Byłem, może tylko przez krótką chwilę, ale byłem częścią Hollywood. Utraciłem niewinność.

Akcja posuwała się przyzwoicie. Nie mogłem się dopatrzeć żadnych błędów.

- Fajne. Fajne - chwaliłem.

- A co o tym sądzisz? - zapytał Jon.

Leciała scena, w której Jack poznaje Francine. Siedzą przy końcu baru. Jack przynosi Francine parę kieliszków, które ona obala jeden za drugim. Jack siedzi nad butelką piwa. Prawą ręką odpycha butelkę i mówi: „To już koniec...” „Koniec czego?” - pyta Francine. Jack wdaje się w opowieść o tym, jak to nie ma pieniędzy, jest splukany do suchej nitki, nie stać go na jeden kieliszek więcej...

- NIE, NIE! - krzyknąłem. - WSZYSTKO, TYLKO NIE TO!

Jon zatrzymał taśmę.

- O co chodzi?

- Każdy alkoholik w tym mieście pęknie ze śmiechu, jak to zobaczy.

- Co się stało?

- Facet, który pije, *nigdy* nie odepchnąłby nie dopitej w połowie butelki piwa mówiąc: „To już koniec”... Obciągnąłby ją do końca i dopiero wtedy by powiedział: „To koniec”.

- Hank ma rację - poparła mnie Sara. - Też to zauważyłam...

- Zrobiłem 5 dubli tej sceny. Wydawało mi się, że ten jest najlepszy.

- Jon, kiedy zobaczyłem, jak on odpycha tę butelkę, poczułem się *znieważony*, jakby mnie ktoś w gębę strzelił...

- Zdaje się, że mamy taki dubel, w którym jest tylko resztkę piwa na dzień...

- Resztkę to też za dużo, ale błagam, koniecznie wymieńcie to ujęcie - poprosiłem.

Można się było takich rzeczy spodziewać, kiedy reżyser, który nie był alkoholikiem, i aktor, który nienawidził alkoholu, brali się razem za film. W dodatku scenarzysta alkoholik wolał siedzieć na torze wyścigowym niż na planie.

Obejrzeliśmy taśmę do końca.

Jon zapalił światła.

- Jak się wam podobało? Materiał naturalnie jest jeszcze mocno nie doczyszczony.

- Znakomite zdjęcia i muzyka - pochwaliła Sara.

- Co powiesz o tekstach, kochanie? - spytałem.

- Chinaski nadal w formie - oświadczyła.

- Dziękuję.

- Nawet jak cię nie było, twój duch zawsze unosił się nad aktorami i ekipą - powiedział Kay.

- O - ucieszyłem się.

- Hank, powiedz, jak ci się to podoba? - spytał Jon.

- Podoba mi się gra Jacka. Francine wydaje mi się trochę sztywna.

- Zagrała bardzo dobrze wziął ją w obronę Jon. - Ile razy pojawia się w kadrze, film nabiera rumieńców.

- Być może. W każdym razie miło mi było wziąć udział w twoim filmie i w głośnym powrocie Francine na ekran...

I tak, żeby uczcić nasze zadowolenie, zamknęliśmy montażownię na klucz, zjechaliśmy windą, wyszliśmy na ulicę, wsiedliśmy do mojego auta i pojechaliśmy coś przekąsić. Tym razem nie do Musso, tylko do pobliskiej restauracji, 8 przecznic na zachód. Jak to się dziwnie plecie, pomyślałem, najpierw coś ciurczy dzień po dniu, dzień w dzień, dzień za dniem, a potem nagle już jest po wszystkim. Ciągle czułem się jeszcze trochę tak, jakbym nigdy nie napisał żadnego scenariusza. I nie napiszesz - mógłby powiedzieć niejeden krytyk - dopóki twoje piarstwo będzie się kręcić wokół podłości i faktów oczywistych. Między krytykiem filmowym a zwykłym odbiorcą istnieje jednak pewna różnica. Co to za różnica? - spytacie. Odpowiem: Krytyk obejrzał film za darmo.

- Zatrzymaj się - poprosił Jon - jesteśmy na miejscu.

Posłusznie się zatrzymałem.

40

Wróciłem na tor. Czasem się zastanawiałem, co ja tam robię. Kiedy indziej nie miałem tych wątpliwości. Tor dawał mi okazję do zapoznania się z tłumem od najgorszej strony, dzięki czemu byłem na bieżąco w kwestii natury ludzkiej. Jej składnikami są bez wątpienia gniew, strach i chciwość...

Na każdym torze wyścigowym, pod każdą szerokością geograficzną i o każdej porze spotyka się pewne charakterystyczne indywidua. Czuję, że jestem do nich zaliczany, i wcale mi to nie odpowiadało. Z dwojga złego wolałbym być niewidzialny. Nie przepadam za rajcowaniem z innymi graczami. Nie pociągają mnie dyskusje o koniach. Obce mi jest koleżeństwo graczy. Zresztą gramy przeciw jedni przeciw drugim. Dla toru żaden dzień nie jest stratny. Tor pobiera swoją dolę, państwo pobiera swoją dolę, a dola ta stale rośnie, co oznacza dla grającego czy grającej, że jeśli zamierza stale wygrywać, musi mieć konsekwentny styl gry, niezrównaną metodę, logikę i intuicję. Przeciętny gracz gra na

dubę, porządek, triple, zwycięzcę 6 lub 9 kolejnych gonitw i zostaje z plikiem bezużytecznych kartoników w ręku. Gra górą i dołem, na zwycięzcę i na miejsce. Tymczasem istnieje tylko jedna metoda gry - ta, w której *ty* zostajesz zwycięzcą. Koniec, kropka. Prostota to sekret najgłębszych objawień, pisarstwa, malarstwa, każdej czynności. Życie jest doniosłe w swojej prostocie. Mam wrażenie, że tor uświadomił mi tę prawdę.

Z drugiej strony, wyścigi to choroba, zapchajdziura, niewola, substytut tego, czemu nie jesteśmy w stanie stawić czoła. Każdy z nas jednak szuka jakiejś ucieczki. Godziny wloką się jedna za drugą, trzeba je czymś zappełnić aż do śmierci. Zbyt mało jest rzeczy pięknych i wzniosłych, żeby się chciało człowiekowi pchać ten wózek. Każda rzecz po krótkim czasie brzydnie i obumiera. Budzimy się rano, wysuwamy nogę spod kołdry, stawiamy na podłodze i myślimy: o kurwa, co by tu dalej?

Miewam okresy, kiedy chorobliwie wręcz ciągnie mnie do toru. W ciągu dnia typuję konie czystej krwi, wieczorem można mnie spotkać, jak obstawiam ćwierćkrewki czy biegi w zaprzęgu, zależnie od tego, co jest akurat pod ręką. W takie wieczory widuję ludzi, na których nadziałem się już w dzień. Oni też nie mogą zejść z toru. Krańcowe stadium choroby.

No więc wróciłem na tor i zapomniałem zupełnie o filmie, aktorach, ekipie i montażowni. Tor nadawał mojemu życiu prostoty, choć może lepiej pasowałoby tu słowo „głupota”.

Wieczorami zwykle oglądałem trochę telewizję z Sarą, potem szedłem na górę i dłuubałem przy wierszach. Poezja chroniła mnie przed załamaniem umysłowym. Poezja była tym, czego potrzebowałem. Bardzo potrzebowałem.

Oddawałem się dawnym przyzwyczajeniom przez dwa czy trzy tygodnie, kiedy, po staremu, zadzwonił telefon. Dzwonił Jon Pinchot.

- Skończyliśmy film. Będziemy mieli prywatną projekcję w Firepower. Żadnych dziennikarzy, żadnych krytyków. Mam nadzieję, że dacie radę wpaść.

- Jasne. Powiedz tylko gdzie i kiedy.

Zapisałem co trzeba.

Był piątkowy wieczór. Drogę do gmachu Firepower znałem na pamięć. Sara paliła w zadumie. Ja też podczas jazdy oddawałem się rozmyślaniom. Przypomniałem sobie opowieść Pinchota. Jeszcze zanim znalazł producenta naszego filmu, obszedł całe miasto, przeczesując bary w poszukiwaniu lokalu z odpowiednią załogą. Przedstawiał się jako „Bobby”. Wieczór w wieczór obchodził bar za barem. Ponoć był już o krok od

alkoholizmu. Co więcej, w żadnym z tych barów nie spotkał kobiety, z którą miałby ochotę spędzić noc. Co jakiś czas robił sobie wolne. Przychodził wtedy do nas i na stolyczku do kawy rozkładał przede mną zdjęcia zwiedzonych barów. Wybierałem najlepsze, a on mówił: „Dobra, na ten zwrócę szczególną uwagę”. Nigdy nie tracił nadziei, że scenariusz doczeka się realizacji.

Sala projekcyjna nie mieściła się w gmachu Firepower, tylko na tyłach wytwórni.

Podjechaliśmy. Przy bramie stał wartownik.

- Zamknięty pokaz *Tańca Jima Beama* dla Firepower - powiedziałem.

- Proszę bardzo... Trzeba jechać w prawo - odpowiedział wartownik.

No, no. Ważne osobistości. Wjechałem przez bramę, skręciłem w prawo, zaparkowałem.

Na terenie znajdowało się ileś prywatnych wytwórni. Nie mam pojęcia, dlaczego Firepower nie miała własnej sali projekcyjnej, bo budynek wytwórni był olbrzymi. Musiały nimi kierować jakieś bardzo ważne powody.

Wysiedliśmy i zaczęliśmy się rozglądać za salą projekcyjną. Nigdzie nie było żadnych tabliczek. Wyglądało na to, że oprócz nas nie ma nikogo, a przecież przyjechaliśmy punktualnie. Szliśmy przed siebie, aż wreszcie zauważyłem dwóch szczupłych gości, typowych pracowników wytwórni, opartych o współprzymknięte drzwi. W tej branży wszyscy wyglądali tak samo, to znaczy ekipa, konsultanci i tym podobni: wszyscy mieli od 26 do 38 lat, byli szczupli i nieustannie tokowali z najwyższym ożywieniem.

- Przepraszam najmocniej - przerwałem im - czy w tej sali odbędzie się projekcja *Tańca Jima Beama*?

Przerwali pogawędkę i spojrzeli na nas, jakbyśmy im przeszkodzili Bóg wie w czym.

- Nie - odezwał się w końcu jeden z nich.

Co też z nimi będzie, kiedy dobiją 39. roku życia? Niewykluczone, że właśnie o tym rozprawiali.

Poszliśmy dalej, rozglądając się za salą projekcyjną.

Wreszcie zobaczyliśmy samochód z zapalonym silnikiem, obok niego znajomą sylwetkę. Jon Pinchot stał w towarzystwie współproducenta, Lance'a Edwardsa.

- Jon, gdzie na Boga jest ta sala projekcyjna?

- No właśnie zawtórowała mi Sara. - Gdzie?

- Przepraszam, projekcja będzie gdzie indziej - tłumaczył się Jon. - Próbowałem się do was dodzwonić, ale byliście już w drodze...

- Gadaj, stary, gdzie to jest...

- Gadaj, ale już - zawtórowała Sara.

- Właśnie się za wami rozglądałem... Lance Edwards też tam zaraz jedzie. Możemy pojechać z tobą, Lance?

Lance skinął głową. Wyglądał na wkurwionego. Prawdę mówiąc, pomyślałem, to my mielibyśmy prawo być wkurwieni. W Hollywood często dochodzi do pomieszenia ról.

Jon usiadł na przodzie, obok Lance'a i Sary, ja usadowiłem się na tylnym siedzeniu. Mówiło się, że Lance jest nieśmiały i dlatego taki małowówny. Myślę, że miał po prostu wszystkich w dupie. Jedna z dziennikarek, które przeprowadzały ze mną wywiad dla telewizji, Włoszka, opowiadała: „Pracowałam dla tego sukinsyna! W życiu nie spotkałam równie przerażającego kutwy! Żałuje każdego grosza. Nie używa nawet własnych kopert. Kazał mi skreślać nazwisko i adres i obok wpisywać nowe. Potem wysyłaliśmy kopertę jeszcze raz. Odrywał nie ostemplowane znaczki z korespondencji i przyklejał do swoich listów. Któregoś dnia w trakcie pracy poczułam jego rękę na nodze. „Pan coś zgubił?” - spytałam. „Nie rozumiem, o co pani chodzi?” - zdziwił się. „Chodzi mi o to, czy zgubił pan coś na mojej nodze. Czego pan tam szuka? Jeżeli nic pan nie zgubił, to zabieraj pan te cholerne łapy!” Wyrzucił mnie, nie płacąc nawet odprawy.”

Jechaliśmy i jechaliśmy bez końca.

- Te, Lance, odwieziesz nas z powrotem do naszego auta? - upewniłem się.

Potaknął. Wyglądało, że jest wkurwiony. Jasne, że był wkurwiony: koszta benzyny.

W końcu dotarliśmy na miejsce. Wysiedliśmy i weszliśmy do sali projekcyjnej. Sala była pełna. Przyszli wszyscy. Wyglądali na zadowolonych i zrelaksowanych. Wiele osób trzymało w ręku złotą puszkę z piwem.

- Do kurwy nędzy - zakląłem na cały głos.

- Co się stało? - zaniepokoił się Jon.

- Wszyscy tutaj mają po piwku, a my to CO?

- Czekaj! Czekaj! - uspokajał mnie Jon.

Wybiegł z sali.

Biedny Jon.

Potraktowali nas z Sarą jak obywateli drugiej kategorii. Czegóż jednak można było się spodziewać, skoro odtwórca głównej roli zarabiał 750 razy więcej od scenarzysty? Widzowie nigdy nie pamiętali nazwiska autora scenariusza. Pamiętali tylko nazwiska tych, którym udało się go schrzanić ewentualnie nie schrzanić: reżysera, aktorów i pozostałej hałasty. My z Sarą byliśmy dla nich jakąś hołotą ze slumsów.

Jon zdążył wrócić z dwiema puszkami piwa, akurat kiedy pogasły światła i zaczęła się

projekcja *Tańca Jima Beama*.

Łyknąłem piwa za zdrowie wszystkich alkoholików świata.

Kiedy zaczął się film, cofnąłem się pamięcią (jakże filmowy chwyt) do pewnego poranka, kiedy jako młody człowiek siedziałem w barze i nie czułem się ani dobrze, ani źle, po prostu nie czułem się wcale, i barman zagadnął mnie:

- Wiesz co, chłopcze?

- Co?

- Założymy przewód gazowy przy barze, o tu właśnie, gdzie przesiadujesz dniami i nocami...

- Przewód gazowy?

- Kiedy będziesz miał ochotę skończyć z tym wszystkim, odkręcisz zawór, sztachniesz się parę razy i po krzyku...

- Miło mi, że się o mnie troszczysz, Jim - odparłem.

41

I oto rolki z taśmą zaczęły się obracać, W ślepej uliczce dostawałem wciry od barmana. Jak już wspomniałem, dłonie mam niewielkie, co w walce na pięści nie daje mi większych szans. Barman jak raz miał ogromne łapska. Co gorsza, byłem bardzo odporny na ciosy, więc można mi było zdrowo przyładować. W zasadzie ratowało mnie tylko to, że byłem naprawdę nieustraszony. Staczałem te walki dla zabicia czasu. W końcu ile można przesiedzieć na stołku w barze? Kiedy walczyłem, nic mnie specjalnie nie bolało. Ból pojawiał się dopiero następnego ranka. Pół biedy, jeśli zdążyło się przedtem dotrzeć do własnego pokoju.

Staczając dwie, trzy walki tygodniowo, stopniowo nabierałem formy. Albo też formę tracił barman.

To wszystko jednak miało miejsce ponad 40 lat temu. Teraz siedziałem w jednej z sal projekcyjnych Hollywoodu.

Nie sądzę, żeby streszczenie filmu było komukolwiek potrzebne. Wolałbym raczej opowiedzieć o tym, co w filmie pominięto. W pewnym momencie w filmie pojawia się kobieta, która chciała się mną zaopiekować. Uważała mnie za geniusza, chciała uchronić przed stoczeniem się na bruk. W filmie spędzam u niej tylko jedną noc. Naprawdę mieszkałem z nią około 6 tygodni.

Rzeczona kobieta, Tully, mieszkała w wielkim domu w Hollywood Hills. Zajmowała dom na spółkę z drugą kobietą, niejaką Nadine. I Tully, i Nadine były prężnymi biznesmenkami. Robiły w rozrywce: muzyka, publikacje, co się tylko dało. Znały dosłow-

nie wszystkich, ze dwa, trzy razy w tygodniu wydawały przyjęcia, na których kręciły się różne nowojorskie typki. Nie przepadałem za przyjęciami Tully. Moją ulubioną rozrywką było urzyniecie się do nieprzytomności i obrażanie każdego, kto się napatoczył.

Z Nadine mieszkał ciut młodszy ode mnie facet. Kompozytor, reżyser, czy coś w tym rodzaju. Chwilowo bezrobotny. Z początku go nie lubiłem. Stale nadziewałem się na niego w domu albo na patio, gdzie obaj spędzaliśmy skacowane poranki. Wiecznie łąził w tym cholernym szaliku.

Któregoś ranka, w okolicach godziny jedenastej, siedzieliśmy obaj na patio, leżąc kaca piwem. Na imię miał Rich.

- Jeszcze jedno piwo? - obciął mnie spod oka.

- No... Dzięki...

Wyszedł do kuchni, wrócił, podał mi piwo i usiadł.

Łyknął zdrowo, następnie ciężko westchnął.

- Nie wiem, jak długo jeszcze będę w stanie ją oszukiwać...

- Co takiego?

- No wiesz, nie mam za grosz żadnego talentu. To wszystko bajer...

- To ci dopiero numer - pochwaliłem. - Dobra robota.

- Dziękuję. A z tobą jak jest?

- Piszę. Ale nie w tym rzecz.

- A w czym?

- Obdarła mi fiuta do żywego mięsa. Bez przerwy chce się pieprzyć. Nigdy nie ma dosyć.

- Ja muszę co noc strzelać minetę Nadine.

- Jezu...

- Co tu dużo mówić, Hank, jesteśmy parą utrzymanków.

- Rich, te wyzwolone baby mają nas w garści razem z naszymi jajami.

- Chyba powinniśmy się przerzucić na wódkę zaproponował.

- Zgoda - przystałem.

Tego wieczora, kiedy nasze panie wróciły do domu, żaden z nas nie był w stanie sprostać swoim obowiązkom.

Rich utrzymał się jeszcze przez tydzień, po czym zniknął.

Raz po raz zacząłem nadziewać się na Nadine łążącą na golasa po domu, najczęściej pod nieobecność Tully.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz? - spytałem ją wreszcie.
- Jestem u siebie i wolno mi świecić gołym tyłkiem do woli.
- Daj spokój, Nadine, przyznaj się, o co ci chodzi. Chcesz skosztować mojego indora?
- W życiu! Nawet gdybyś był ostatnim mężczyzną na kuli ziemskiej!
- Gdybym był ostatnim mężczyzną na kuli ziemskiej, musiałabyś się ustawić do mnie

w kolejce.

- Módl się, żebym nie powiedziała o wszystkim Tully.
- No to przestań, do cholery, latać z cipą na wierzchu.
- Świnia!

Plask, plask, plask, poleciała na górę. Wielkie dupsko. Gdzieś na górze strzeliły drzwi. Nie podjąłem jej gry. Nie była warta świeczki.

Tego wieczoru Tully po powrocie wysłała mnie na tydzień do Cataliny. Chyba wiedziała, że Nadine ma ruję.

Tymczasem projekcja dobiegła końca. Rozległy się oklaski. Ściskaliśmy sobie dłonie, padaliśmy w objęcia. Tam do diabła. Byliśmy naprawdę świetni.

Dopadł mnie Harry Friedman. Uścisnęliśmy się, potem podaliśmy sobie ręce.

- Harry - powiedziałem - nakręciłeś przebój sezonu.
- Tak, tak, scenariusz był znakomity! Słuchaj, podobno kończysz powieść o prostytutkach!

- Owszem.

- Musisz ją koniecznie przerobić na scenariusz! Chcę to nakręcić!

- Jasne, Harry. Zgoda...

Zobaczył Francine Bowers i rzucił się w jej stronę.

- Francine, skarbie, byłaś fantastyczna...

Powoli ożywienie opadło i sala wyludniła się. Wyszliśmy z Sarą na zewnątrz.

Lance Edwards przepadł ze swoim samochodem. Byliśmy z Sarą skazani na solidny marsz do naszego wozu. Czuliśmy się znakomicie. Noc była chłodna i rozgwieżdżona. Film został ukończony, wkrótce miał wejść na ekrany. Wtedy doborą się do niego krytycy. Zdawałem sobie sprawę, że powstaje za dużo filmów, robi się jak leci, jedno po drugim. Widz ogląda ich tyle, że ztraca poczucie, czym w ogóle jest film. Krytycy nic się pod tym względem nie różnią od widzów.

Wracaliśmy do domu samochodem.

- Podobało mi się - powiedziała Sara - tylko że w niektórych miejscach...

- Wiem. To nie jest wiekopomny film, ale na pewno jest niezły.

- No właśnie...

Wjechaliśmy na autostradę.

- Już się cieszę na myśl, że zobaczę koty - powiedziała Sara.

- Ja też...

- Napiszesz jeszcze kiedyś scenariusz?

- Mam nadzieję, że nie.

- Hank, Harry Friedman chce, żebyśmy pojechali do Cannes. - . Co? I zostawili koty?

- Powiedział, żeby zabrać koty.

- Mowy nie ma!

- To samo mu powiedziałam.

To była dobra noc, w dodatku wcale nie ostatnia. Przerzuciłem się na środkowy pas autostrady i popędziłem w jej objęcia.

42

Cannes to kolejna historia. Dostałem telefon od Pinchota.

- Nie spodziewamy się głównej nagrody, ale są widoki na coś koło tego.

- Moim zdaniem Jackowi Bledsoe należy się Złota Palma za rolę pierwszoplanową.

- Chodzą słuchy, że Francuzi mają zamiar Złotą Palmę przyznać komuś ze swoich.

Tymczasem w Firepower dział reklamy nasyłał na mnie dziennikarzy rozmaitych czasopism z branży, żadnych wywiadów na temat filmu. W przeszłości zszargałem niejedną świętość, więc dziennikarze węszyli we mnie łatwy łup, licząc, że trafią na idiotę, którego po pijaku pociągną za język, a on im coś idiotycznego palnie. I pewnego idiotycznego wieczoru ich plan się powiódł. Wyraziłem się krytycznie pod adresem aktora, którego w rzeczywistości lubiłem, i jako człowieka, i jako aktora. Była to drobna uwaga, dotycząca tylko pewnego aspektu jego osoby, ale jak słusznie zauważyła jego żona przez telefon: „Może to i prawda, ale nie musiałeś tego mówić”. Trochę miała, a trochę nie miała racji. Dlaczego nie mielibyśmy otwarcie wyrażać naszych sądów, zwłaszcza kiedy się nas pytają. Pozostaje jednak kwestia taktu. Oraz kwestia nadmiaru taktu.

Do diabła, latami byłem obiektem nieustannych napaści, ale w jakiś sposób dodawało mi to tylko energii. Moich krytyków miałem zawsze za skończonych dupków. Jeżeli świat dotrwa do następnego stulecia, ja też przetrwam, podczas gdy krytycy minionej epoki umrą w zapomnieniu, ustępując miejsca nowym krytykom, nowym dupkom.

Tak więc było mi przykro, że zraniłem aktora, ale może aktorzy są po prostu wrażliwsi od pisarzy. Życzę im tego.

Przestałem udzielać wywiadów. Ściślej rzecz biorąc, ubiegających się o wywiad uprzedzałem, że moja stawka wynosi 1000 dolarów za godzinę. Natychmiast tracili zainteresowanie.

Z Cannes kolejny raz zadzwonił Pinchot.

- Mamy kłopoty.

- Co znowu?

- Jack Bledsoe nie chce wyjść z pokoju do dziennikarzy.

- Potrafię go zrozumieć.

- Czekał, nie o to chodzi... Nie chce udzielić wywiadu nikomu, kto nie zrecenzował pochlebnie jego ostatniego filmu. Rzecz w tym, że ostatni film przyniósł mu niewiele pochlebnych recenzji. Oczekującym w hallu hotelowym reporterom powiedział: „Żadnych wywiadów, jestem przez was nie rozumiany”. Jakiś gość wyciągnął rękę do góry i zawołał: „Jack, ja pochlebnie zrecenzowałem twój ostatni film”. Na to Jack: „W porządku, wobec tego *tobie* udzielę wywiadu”. Umówili się w tej kawiarni, o tej a tej godzinie. Rzecz w tym, że Jack się nie stawił.

- Jon, podejrzewam, że wszyscy aktorzy są wrażliwsi od pisarzy i reżyserów.

- Wrażliwsi? No cóż, można to tak nazwać.

- Jak się miewa Francine?

- Bardzo dobrze. Bardzo dobrze. Odzywa się do wszystkich. Obnosi letnie kreacje. Wyraża się dobrze o każdym z nas. Wie, że zrobiła comeback w wielkim stylu. Zdaje sobie sprawę, że jest ostatnią z wielkich gwiazd. Nosi się jak bóstwo. Jest na co popatrzeć.

- Taa... Jak się miewa Friedman?

- Och, Friedman jest wspaniały! Wszędzie go pełno, gada, poci się, wymachuje łapami, a jednocześnie wszyscy boją się jego energii i determinacji. Friedman spędza im sen z powiek, namawiają się na niego przy kielichu. Gdyby mogli, daliby mu w dupę tak, żeby się przekreślił.

- Marne ich szanse. Coś jeszcze?

- Nie, tylko Jack. Nie wiadomo, jak go wyciągnąć z numeru. Wymusiliśmy na nim wreszcie zgodę na udział w jednym z najpopularniejszych programów telewizyjnych we Francji. Zgodził się, po czym się nie stawił.

- No to po co w ogóle jechał do Cannes?

- Żebym ja to wiedział...

Czas płynął, jak to czas ma w zwyczaju. Tor znajdował się tam gdzie zawsze. Co

jeszcze? Wziąłem się za lekturę Jamesa Thurbera. W porywach potrafi być szalenie zabawny. Wielka szkoda, że oglądał świat okiem członka wyższej klasy średniej. Byłby z niego kawał zajebistego sztygara.

Wystukałem też garstkę wierszy. Wierście mi, poezja ma swoje zalety. Poezja chroni przed totalnym szaleństwem.

Tak.

A zarazem nie. Bo okazało się, że film nie zdobył w Cannes żadnej nagrody.

A zatem Sara zaczęła sadzić nowe kwiaty i warzywa w naszym ogrodzie.

A naszych 5 kotów nie spuszczało z nas swoich pięknych ślepi.

43

Po Cannes ciągle było jeszcze coś do roboty w montażowni. Pinchot ostro się zwijał.

Miałem w filmie niewielką rolę. W jednej ze scen grałem stałego bywalca baru. Scenka była krótka. Mogła być dłuższa, ale większość materiału została wycięta. Pozwólcie, że wyjaśnię dlaczego. W scenie siedzę z dwoma innymi facetami, jesteśmy razem w barze, to znaczy razem, ale każdy z osobna. To jest scena, w której Jack po raz pierwszy spotyka Francine. Nasza trzyosobowa załoga miała za zadanie siedzieć zwyczajnie, jak to załoga, kiedy jednak kamera spoczęła na nas, nie mogłem się pohamować. Pociągnąłem łyk piwa, popłukałem usta i z odległości co najmniej 15 centymetrów strzyknąłem piwem z powrotem do butelki. Wyszło bezbłędnie. Nie uroniłem ani kropli. Pojęcia nie mam, co mnie naszło. Nigdy przedtem nie robiłem takich numerów. Niestety, ten epizod skończył na podłodze montażowni.

- Słuchaj, Jon, czemu nie wkleisz z powrotem tego ujęcia? - zagadnąłem.

- Nie mogę. Wszyscy by pytali: „Kim jest, kurczę, ten facet?”

Statyści nie mają prawa do improwizacji.

W końcu jednak nadszedł dzień, kiedy przy filmie nie było już nic do roboty. Ustalono datę rozpowszechniania.

Któregoś wieczora, na tydzień przed premierą, Jon wpadł do nas. Usiedliśmy we troje.

- To co, napiszesz dla nas nowy scenariusz? Jak tylko dasz znać, będę gotów.

- Nie, Jon. Boję się Hollywood i tyle. Mam nadzieję, że tylko tyle.

- Co będziesz teraz pisał?

- Chyba powieść.

- O czym?

- Nigdy się o tym nie mówi na początku.

- Dlaczego?
- Bo to spuszcza powietrze z kół.
- Hank wiecznie kontroluje ciśnienie - dorzuciła Sara. - Nosi przy sobie mały czujniczek, którym bada swoje powieści.
- Sara nie kłamie... Słuchaj, Jon, czy odbędzie się premiera?
- Premiera? Nie, dlaczego?
- Nie będzie premiery? zdumiała się Sara. Nie wygłupiaj się!
- Jon - oświadczyłem - żądam premiery!
- *Ty* żądasz premiery? Nie wierzę! Po co?
- Po co? Dla jaj. Dla zabawy. Chcę zajeżdżać białą, długą na kilometr limuzyną z szoferem, pełnym barkiem wina w najlepszym gatunku, kolorowym telewizorem, telefonem i zapasem cygar...
- Znakomity pomysł - poparła mnie Sara. - Francine na pewno będzie zachwycona.
- Dobra - obiecał Jon - zobaczę, co się da zrobić.
- Powiedz Friedmanowi, że to mu robi reklamę - poradziła Sara. - Powiedz, że mu wzrośnie dochód brutto.
- Będę nad tym pracował...
- I nie zapomnij o białej kilometrowej limuzynie - przypomniałem mu.

Jakimś cudem Jon dopiął swego. Nadszedł wieczór premiery. Sara szykowała się właśnie na górce, kiedy u wylotu podjazdu stanęła biała długaśna limuzyna. Okoliczne dzieciaki zdążyły ją już wypatrzeć; gromadziły się teraz na podwórku sąsiadów. Wyszedłem przed dom i skinąłem na szofera, żeby podjechał pod same drzwi.

- Hank, czy ty jesteś sławny? - zapytał jeden z dzieciaków.
 - Sławny? O, tak, tak...
 - Hank, możemy z tobą jechać?
 - Nie będzie się wam podobało.
 - Zobaczysz, że się nam spodoba.
- Szofer zgasił silnik i wysiadł.
Uścisnęliśmy sobie dłonie.
- Jestem Frank - przedstawił się.
 - A ja Hank.
 - Pan jest tym pisarzem?
 - Tak. Czytałeś coś z moich rzeczy?

- Nie.
- No cóż, ja też nie widziałem, jak prowadzisz samochód.
- Myli się pan. Przed chwilą pan widział, jak podjeżdżam pod dom.
- Coś takiego! Masz rację. Moja żona jeszcze się ubiera. Za, chwilę będzie gotowa.
- Co pan pisze, proszę pana?
- Nie rozumiem. O co pytasz?
- Właśnie o to, proszę pana. Co pan pisze?

Koleś zaczął mnie trochę wpierniczać. Nie byłem przyzwyczajony do szoferów.

- Tego, no, piszę wiersze, opowiadania, powieści...
- No i napisał pan scenariusz, proszę pana.
- A, racja. Tak.
- O czym pan pisze, proszę pana?
- O czym?
- Tak, *o czym?*
- Eee, he, he, piszę o życiu, rozumiesz. Prosto z życia, rozumiesz?
- Moja mama mówi, że wypisuje pan *same świństwa* - oświadczyło jedno z dzieci, wystawiając głowę nad ogrodzeniem.

Szofer spojrział na mnie spod oka.

- Proszę powiedzieć żonie, że czeka nas długa jazda. Nie wolno się nam spóźnić.
- Kto tak powiedział?
- Pan Friedman.

Wszedłem do domu.

- Sara, pospiesz się, limuzyna czeka... - wrzasnąłem.
- Przyjechał za wcześnie...
- Wiem, ale jest piątek wieczór i czeka nas długa droga.
- Zaraz schodzę. Nie denerwuj się. Zdążymy.

Otwarłem puszkę z piwem i włączyłem telewizor. Na kanale ESPN transmitowano turniej bokserski. Trzeba przyznać, że grzmocili się na potęgę. Zawodnicy mieli teraz lepszą kondycję niż w latach mojej młodości. Podziwiałem impet, z jakim walczyli, nie tracąc w ogóle sił. Mieli za sobą miesiące morderczych biegów i treningów halowych. A przed samym występem jeszcze ze dwa, trzy dni intensywne ćwiczeń. Kondycja miała decydujące znaczenie. Talent i odwaga, niezbędne w boksie, bez kondycji nie liczyły się wcale.

Lubiłem oglądać boks. Przypominał mi trochę pisarstwo. Wymagał tych samych cech

- talentu, kondycji i odwagi. Tyle że kondycja w pisarstwie była duchowa, umysłowa. Nigdy się nie jest pisarzem. Pisarzem trzeba *zostać* za każdym razem, kiedy człowiek siada do maszyny. A jak się już usiadło, to przestaje być takie trudne. Czasami największa trudność polega na znalezieniu odpowiedniego krzesła i na tym, żeby do niego dobrnąć. Kiedy indziej nie sposób na nim wysiedzieć. Różne rzeczy, jak to śmiertelnikowi, stają ci na drodze: drobne trudności, poważne trudności, nieustanne łomoty, trzaskanie drzwiami. Kondycja jest niezbędna, żeby się nie dać temu wszystkiemu, co usiłuje nas wykończyć. Doszedłem do tego wniosku obserwując bokserów, konie oraz dżokejów, którzy nie chcieli się poddać mimo pecha, upadku z siodła czy innych przykrych niespodzianek. Pisałem o życiu, he, he. Jednak mój podziw budził przede wszystkim heroizm, z jakim niektórzy *przeżywali* swoje życie. Ten podziw był motorem mojej twórczości.

Na schodach pojawiła się Sara. Wyglądała jak bóstwo.

- Możemy iść.

Wyłączyłem telewizor. Wyszliśmy z domu. Przedstawiłem Sarze szofera.

- Sara! Sara! Sara! - rozwrzeszczały się dzieciaki. Dzieciaki lubiły Sarę.

- Weźmiesz nas z sobą, Sara?

- Musicie najpierw zapytać swoich mam - roześmiała się.

Mam? Czy nikt nigdy nie pyta ojców o zgodę?

Szofer pomógł nam wsiąść na tylne siedzenie. Limuzyna powoli ruszyła spod domu. Dzieciaki leciały za nami wzdłuż płotu. Niedługo umrę, psiakość, i przyjdzie dzień, kiedy połowa tych dzieciaków zasiądzie przy komputerach i zacznie płodzić jakieś żalose wypociny.

Zjeżdżaliśmy po stromym stoku wzgórza. Odkorkowałem pierwszą butelkę wina. Napełniłem dwa kieliszki po brzegi.

- W twoje rączki perswaduję - zwróciłem się do Sary, trącając się z nią kieliszkiem.

- A ja w twoje - nie pozostała dłużna.

Włączyłem telewizor. Nie miał kanału sportowego, więc go wyłączyłem.

- Wiesz, jak tam dojechać? - spytała Sara szofera.

- O, tak...

Odwróciła się do mnie.

- Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że będziesz jechał limuzyną na premierę filmu, do którego napisałeś scenariusz?

- Nigdy. Cieszę się, że zdecydowałem się rozstać z moją ławką w parku.

- Lubię limuzyny. Fajnie jeżdżą, nie uważasz?

- Nie jeżdżą, tylko szybują. Diabelski szybowiec. Unosi nas do piekieł. Pozwól, że ci doleję.

- Świetne winko...

- O, tak...

Podjechaliśmy na północ Autostradą Portową, potem przierzuciliśmy się na Autostradę San Diego. W dalszym ciągu jechaliśmy na północ. Nienawidzę Autostrady San Diego, wiecznie panuje na niej tłok. Dotarło do mnie, że zaczyna lekko kropić.

- Zaczyna padać - stwierdziłem. - Jesteśmy ugotowani. - Wiadomo było, że wszystkie samochody staną. Kalifornijscy kierowcy nie umieją prowadzić w deszczu. Raz jadą za szybko, raz za wolno. Zwykle jadą za wolno.

- Spóźnimy się - powiedziała Sara.

- Chyba masz słuszość, dziecinko...

Zaczęło lać na całego. Kierowców na autostradzie ogarnęła panika. Bezdusznymi oczkami łypali zza przytykających wycieraczek. Kiedyś miałem starego gruchota, który nie miał wycieraczek w ogóle. Chcecie wiedzieć, jak wygląda jazda w warunkach polowych? Chętnie zaspokoję waszą ciekawość. W deszczowe dni woziłem ze sobą przekrojony ziemniak. Zatrzymywałem samochód, wycierałem przednią szybę ziemniakiem i jechałem dalej. Trzeba to było robić umiejętnie, stosując bardzo lekki nacisk.

Tymczasem kierowcy na Autostradzie San Diego zachowywali się w swoich samochodach, jakby ich kładziono na marach. W strugach deszczu wyczuwało się ich panikę. Głupią panikę. Bezużyteczną panikę. Panikę zmarnotrawioną. Panikę powinno się wykorzystywać przeciwko czemuś. Oszczędzać na chwilę, kiedy zdarzy się coś naprawdę przerażającego.

- Cóż, kochanie, mamy pełno wina.

Dolałem jeszcze trochę.

Tu muszę oddać sprawiedliwość szoferowi. Był prawdziwym zawodowcem - W niepojęty sposób potrafił przewidzieć, który pas zwolni, a który wkrótce ruszy, i prześlizgiwał się zgrabnie limuzyną, optymalnie wykorzystując strumień samochodów. Byłem bliski przebaczenia mu, że nie należy do grona moich czytelników. Uwielbiałem profesjonalistów, którzy potrafią robić to, co należy do ich obowiązków, a tacy trafiają się nieczęsto. Istnieją natomiast całe zastępy kiepskich zawodowców: lekarzy, adwokatów, prezydentów, hydraulików, piłkarzy, dentystów, policjantów, lotników itp.

- Chyba zdążymy - powiedziałem do kierowcy.

- Być może - zgodził się.
- Kto jest twoim ulubionym pisarzem? - spytałem.
- Szekspir.
- Wybaczę ci to, jeśli zdążymy.
- Jeśli zdążymy, sam sobie przebaczę.
- Nie dało się dyskutować ze starym maleńkim. Co słowo zbijał człowieku z pantałyku. Popijaliśmy więc wino z Sarą.

W końcu jednak dojechaliśmy. Szofer zatrzymał wóz i otworzył drzwi. Wysiedliśmy.

Znajdowaliśmy się u wlotu do wielkiego pasażu handlowego. Kino było położone gdzieś w głębi.

- Dzięki, Frank - zwróciłem się do szofera.
- Bardzo proszę. Pojadę zaparkować samochód. Znajdę was po filmie.
- Jakim cudem?
- Znajdę was.

I już siedział za kierownicą. Biała długaśna limuzyna rozplynęła się w ruchu ulicznym. Deszcz nie ustawał.

Odwróciłem się i zobaczyłem 4 czy 5 mężczyzn, którzy czekali na nas z parasolami. Staliśmy w nie osłoniętej części pasażu, gdzie momentami zaczynał deszcz. Mężczyźni rzucili się z parasolami w naszą stronę, wstrząśnięci na samą myśl, że kropla mogłaby nam spaść na głowę.

- Ale komedia! - zaśmiałem się.
- Tylko tak dalej - roześmiała się Sara.

Obie strony rzuciły się sobie na spotkanie. Wspólnie zagłębiliśmy się w pasaż. Błysnęły flesze. Wiekopomna chwila. Ławkę w parku miałem już za sobą.

44

- Cholera jasna, zostawiliśmy nasze wino w samochodzie. Na film będziemy potrzebować paru butelek - zwierzyłem się jednemu z facetów w drodze.

- Przyniosę panu, panie Chinaski - powiedział. Pojęcia nie mam, kim był. Odłączył się od grupy.

- I nie zapomnij korkociąga! - krzyknąłem za nim.

Zanurzyliśmy się w pasaż. Po lewej, w pewnej odległości od nas, błysnęły flesze. Po chwili zobaczyłem Francine Bowers. Pozowała do zdjęć, przybierając kolejne pozy i wyrazy twarzy. Nosiła się po królewsku. Pierwsza wśród ostatnich.

Faceci prowadzili nas dalej. Natknęliśmy się na kamerę telewizyjną. Kolejne flesze.

Rozpoznałem jedną z dziennikarek programu rozrywkowego.

- Henry Chinaski - zawołała.

- Witam panią - ukloniłem się i zanim zdążyła mi zadać jakiegokolwiek pytanie, oświadczyłem: - Mamy kłopot. Zostawiliśmy wino w limuzynie. Pewnie w tej chwili obciąża je nasz szofer. Koniecznie musimy mieć jakieś wino.

- Czy jako scenarzysta jest pan zadowolony z filmu?

- Reżyser nie napotkał najmniejszych trudności w pracy z dwójką wymagających czołowych aktorów. W filmie wykorzystaliśmy autentyczną załogę baru. Nikogo z nich nie było stać, żeby dzisiaj tu dotrzeć. Zdjęcia są znakomite, a scenariusz uczciwie napisany.

- Czy film to historia pańskiego życia?

- Parę dni wyjętych z dziesięcioletniego okresu...

- Dziękujemy panu za rozmowę, panie Chinaski...

- Było mi miło...

Pojawił się Jon Pinchot.

- Cześć, Sara, cześć, Hank... Chodźcie za mną...

Podeszliśmy do niewielkiej grupki uzbrojonej w magnetofony kasetowe. Błysnęło parę fleszy. Nie wiedziałem, kim są ci ludzie. Zaczęli zadawać pytania.

- Czy sądzi pan, że picie zasługuje na hymny pochwalne?

- Nie bardziej niż każda inna rzecz pod słońcem.

- Czy pana zdaniem picie jest chorobą?

- Oddychanie jest chorobą.

- Pijacy nie budzą w panu wstrętu?

- Większość tak. Podobnie jak większość abstynentów.

- Kogo może zainteresować życie pijaka?

- Drugiego pijaka.

- Czy sądzi pan, że społeczeństwo akceptuje nałogowych alkoholików?

- O ile są z Beverly Hills, tak. Tych z marginesu, nie.

- Czy „zaprzedał się pan Hollywood?”

- Nie sądzę.

- Dlaczego napisał pan ten scenariusz?

- Kiedy piszę, nigdy nie zastanawiam się dlaczego.

- Kto jest pańskim ulubionym aktorem?

- Nikt.

- Aktorką?

- Też nikt.

Jon Pinchot pociągnął mnie za rękaw.

- Chodźmy lepiej. Zaraz się zacznie.

Ruszyliśmy za nim z Sarą, przyspieszając kroku. Doszliśmy do kina. Wyglądało na to, że wszyscy są już w środku.

- ZACZEKAJCIE! - rozległ się nagle głos za naszymi plecami.

Gonił nas facet, który poszedł po wino. Niósł wielką papierową torbę, którą wcisnął mi w objęcia.

- Jest pan najwspanialszym człowiekiem na świecie! - rozczuliłem się.

Odwrócił się i odbiegł bez słowa.

- Kto to był? - spytałem Jona. - Jakiś pracownik Firepower?

- Nie wiem.

- Chodźcie już do środka - niecierpliwiła się Sara.

Jon wprowadził nas do foyer kina. Drzwi na salę były już zamknięte. Jon pchnął je i poprowadził nas w ciemnościach przejściem między rzędami. Film już się zaczął.

- Nie mogli na nas, kurczę, poczekać? - zdenerwowałem się. - W końcu to my napisaliśmy scenariusz!

- Chodźcie za mną - powiedział Jon. - Zająłem dla was dwa miejsca.

Poprowadził nas do pierwszego rzędu w bocznym sektorze. Dwa wolne fotele znajdowały się pod samą ścianą.

- Zobaczymy się po filmie - pożegnał nas.

W naszym sektorze siedziały dwie dziewczyny.

- Co my tutaj w ogóle robimy? Nie cierpię Henry'ego Chinaskiego. Jako człowiek wzbudza we mnie odrazę!

W ciemnościach wygrzebałem butelkę i korkociąg. Ekran rozjaśnił się.

- Henry Chinaski to stary obleśny dziadyga, który nienawidzi kobiet i dzieci - ciągnęła dziewczyna. Nie wiem, co takiego ludzie w nim widzą!

Druga dziewczyna dojrzała mnie w blasku ekranu. Dźgnęła koleżankę łokciem pod żebro.

- Cśśś... to chyba on!

Odkorkowałem jedną butelkę dla siebie i jedną dla Sary. Unieśliśmy nasze butelki do góry.

- Powinnam tym cipom dać po mordzie - oświadczyła Sara.

- Nie trzeba - uspokoiłem ją. - Moje zarobki w połowie zawdzięczam wrogom. Ich

nienawiść jest tak silna, że zamienia się w nieświadomą miłość.

Oglądaliśmy film z okropnego miejsca. Z naszych foteli sylwetki ludzkie wydawały się długie, chude i powyciągane, ale najgorsze z wszystkiego były głowy, ogromne i bezkształtne, za to prawie zupełnie pozbawione oczu, ust i podbródków. Dźwięk też był za głośny, w dodatku fatalnie zniekształcony.

Dialog brzmiał mniej więcej tak:

- HUUU ŁUU. ŁUDŁAFTA KRISTOL, JO TO JO... Premiera mojego pierwszego i jedyne filmu, a ja nie mogę zrozumieć ani słowa!

Dowiedziałem się później, że zaraz obok było drugie kino. Nasz film leciał o tej samej porze i połowa krzeseł była wolna.

- Jon chyba nie najlepiej to wymyślił - stwierdziła Sara nieśmiało.

- Nie szkodzi, kiedyś obejrzymy sobie film na wideo - pocieszyłem ją.

- Jasne - uspokoiła się.

Zgodnie unieśliśmy butelki.

Dziewczęta przyglądały się nam z głęboką fascynacją i odrazą. Przerośnięte głowy z wielkimi czołami w dalszym ciągu kręciły się po ekranie.

- FLAM FLAM ŁUL WO, TAK BRAK WO SO...

- JA DOL JA, TEK TA TAM, JA WO DO... - PRZYBERSZ...

- BRAKA DAM...

- Sara, spieprzyli cały mój dialog...

- Chyba tak...

Najlepsze było jednak, kiedy wielkim czołom zebrało się na drinka. Wysmukłe, wysokie na pół ekranu kielichy w jednej chwili zniknęły gdzieś pod czołami i już było po wszystkim. Wyłoniły się z czeluści puste i połyskliwe, płynnie falując. Szkło kurczyło się i rozciągało. Ależ kaca musiały mieć te czoła.

W końcu zrezygnowaliśmy z Sarą z patrzenia na ekran i zajęliśmy się wyłącznie butelkami.

Z czasem film dobiegł końca.

Było trochę oklasków. Czekaliśmy, aż opróżni się nasz rząd. Czekaliśmy dosyć długo. Wreszcie wstaliśmy i wyszliśmy z sali.

We foyer powitały nas kolejne flesze i uściski rąk. Jakoś udało się nam wymanewrować.

Potrzebowaliśmy do toalety.

- Spotkamy się przy donicy z palmą obok wejścia do damskiej ubikacji - umówiłem się

z Sarą.

Dobrnąłem do ubikacji męskiej. Przy sąsiednim pisuarze kolebał się zalany gość. Spojrzał na mnie.

- Te, ty jesteś Henry Chinaski, co nie?

- Nie Jestem jego brat, Donny.

Pijany koleś szczał dalej, kolebiąc się.

- Chinaski o żadnym bracie nie pisał.

- To dlatego, że mnie nie cierpi.

- Dlaczego?

- Bo mu skopałem dupę z 60 czy 70 razy.

Koleś nie wiedział, co ma o tym sądzić, więc dalej szczał i kolebał się. Odszedłem od pisuaru, umyłem ręce i wyszedłem z ubikacji.

Czekałem przy donicy z palmą. Zza palmy wyłonił się szofer.

- Polecono mi zawieźć państwa na uroczysty bankiet.

- Świetnie - ucieszyłem się. - Jak tylko Sara...

Sara akurat się zjawiała.

- Wyobraź sobie, kochanie, że większość szoferów czeka na zewnątrz, ale nasz Frank pofatygował się aż tutaj, żeby nas znaleźć. Zdjął tylko czapkę, żeby nie wyglądać na szofera...

- Dziwny wieczór - podsumowała.

Frank poprowadził nas przez pasaż. Szedł ze dwa kroki przed nami.

- Przyznaj się, Frank, częstowałaś się naszym winem?

- Nie, proszę pana.

- Frank, czy aby pierwszym obowiązkiem szofera nie jest pilnowanie limuzyny? Co by było, gdyby na przykład ktoś ci rąbnął samochód?

- A któż by się połasił na taką kupę żelastwa, proszę pana?

- Racja.

Kiedy wyszliśmy z pasażu, Frank natychmiast z powrotem nałożył czapkę. Limuzyna stała przy krawężniku.

Frank pomógł nam się usadowić na tylnym siedzeniu. Ruszyliśmy.

45

Bankiet popremierowy odbywał się u Copperfielda przy La Brea Avenue. Frank zatrzymał się przed restauracją, otworzył drzwi limuzyny. Ruszyliśmy w stronę wejścia i kolejnych fleszy. Odniosłem wrażenie, że nie mają bladego pojęcia, kogo fotografują.

Każdy, kto przyjechał limuzyną, kwalifikował się do zdjęcia.

Wpuszczający poznali nas. Weszliśmy i wmieszaliśmy się w gęsty tłum. Każdy z uczestników trzymał szklaneczkę czerwonego wina. Goście stali w grupkach po 3, 4 albo więcej osób. Jedni rozmawiali, inni nie. Nie było klimatyzacji i chociaż na dworze było chłodno, w środku panował upał, nieznośny upał. Po prostu zbyt wiele osób naraz pochłaniało tlen.

Dostaliśmy z Sarą nasze kieliszki i sterczeliśmy rozglądając się, gdzie by je też odstawić. Wino straszliwie drapało nas w gardło. Od taniego czerwonego wina gorsze może być tylko tanie białe wino, które zdążyło się ocieplić.

- Sara, kim są ci wszyscy ludzie? Czego oni tutaj chcą?

- Jedni robią w filmie, inni usiłują się wkręcić do filmu, a jeszcze inni są tutaj z braku lepszego pomysłu.

- Po co tu przyszli?

- Jedni starają się załapać, inni usiłują nie odpaść. Niektórzy zaliczają każdą imprezę, na jaką uda im się wkręcić. Pewną rolę odgrywa również owczy pęd.

Ogólny nastrój był nieciekawym, wyprany z jakiegokolwiek wesołości. Bankiet zgromadził weteranów, karierowiczów, kanciarzy i różnych bubków. W nieprzytomnym upale banda potępieńców paplała jak najęta.

Podszedł do nas mężczyzna w kosztownym garniturze.

- Państwo Chinascy?

- Tak.

- Byliście państwo proszeni na górę. Proszę ze mną.

Poszliśmy za nim.

Po schodach weszliśmy na pierwsze piętro. Tłok zelżał. Mężczyzna w kosztownym garniturze odwrócił się twarzą do nas.

- Lepiej nie pijcie wina, które tutaj dają. Przyniosę wam butelkę do użytku własnego.

- Dzięki. Może by tak od razu ze dwie.

- Nie ma sprawy. Zaraz wracam.

- Hank, co to wszystko znaczy?

- Korzystaj z uroków tej chwili, bo nie będzie trwać wiecznie.

Popatrzyłem na tłum. Ogólne wrażenie było takie samo jak na dole.

- Ciekaw jestem, co to za facet - zastanawiałem się.

Wrócił niosąc dwie butelki porządnego wina plus korkociąg i dwa czyste kieliszki.

- Dziękujemy bardzo - powiedziałem.

- Bardzo proszę - odparł. - Czytywałem pańską rubrykę w „L.A. Free Press”.
- Wygląda pan na to za młodo.
- Bo jestem młody. Hippisem był mój tatuś. Gazety czytywałem po nim.
- Mogę zapytać o pańskie nazwisko?
- Carl Wilson. Jestem właścicielem tego lokalu.
- A, rozumiem. No cóż, jeszcze raz dziękujemy za porządne wino.
- Nie ma za co. Proszę mi dać znać, gdybyście państwo potrzebowali więcej.
- Oczywiście.

Poszedł sobie. Otworzył butelkę i napełniłem dwa kieliszki. Spróbowałimy. Naprawdę było niezłe.

- A ci tu na górze? - spytał Sary. - Czym się różnią od tych na dole?

- Niczym. Udało im się, bo mają lepsze chody i tyle. Liczą się pieniądze, polityka i koligacje. Ludzie z branży ściągają rodziny i przyjaciół. Talent i kwalifikacje mają drugorzędne znaczenie. Trochę prawie jak z ambony, ale tak właśnie jest.

- Skutki widać gołym okiem. Nawet tak zwane znakomite filmy wydają mi się bardzo kiepskie.

- Wolisz oglądać wyścigi.

- Pewnie.

Podszedł do nas Jon Pinchot.

- Boże święty! Co za publika! Jakbym się wytarzał w lepkim gównie! - wyznał ze śmiechem.

Nadeszła Francine Bowers, Była w siódmym niebie. Powrót na ekrany zakończył się powodzeniem.

- Byłaś dobra, Francine - pochwalilem ją.

- Tak jest - poparł mnie Jon.

- Poszłaś na całość - dorzuciła Sara.

- Może przesadziłam?

- Ani trochę - zapewniłem ją.

- Co to za winko pijecie? - zaciekała się Francine. - Wygląda nie najgorzej.

- Spróbuj. - Przechyliłem butelkę do jej kieliszka.

- Też poproszę - upomniał się Jon.

- Skąd macie takie dobre wino? - dopytywała Francine.

- Ojciec właściciela był hippisem. Obaj czytywali „L.A. Free Press”. Prowadziłem tam rubrykę „Notatki Neandertalczyka”.

Zamilkliśmy. Film był skończony. Nie było o czym gadać.

- Gdzie jest Jack Bledsoe? - spytałem.
- Jack nie chadza na tego typu imprezy - wyjaśnił Jon.
- Ja tam chadzam - nastroszyła się Francine.
- My też - wyznała Sara.

Grupka gości zaczęła machać w naszą stronę.

- Francine, jakieś pismo chce przeprowadzić z tobą wywiad. „Movie Mirror”.
- Już idę - zawołała Francine. - Wybaczcie - zwróciła się do nas.
- Nie ma sprawy.

Odmaszerowała dumnym i statecznym krokiem. W duchu życzyłem jej powodzenia. Życzyłem powodzenia wszystkim, którzy wrócili do życia publicznego po tym, jak poszli w odstawkę.

- Pójdź tam z nią, Jon - poprosiła Sara. - Będzie jej różnie.
- Czy ja też powinienem pójść, Sara?

- Nie, Hank, zaraz byś palnął jakieś świństwo. Poza tym nie zapominaj, że twoja stawka wynosi teraz 1000 dolarów.

- Racja...
- Dobra, pójdę tam - zdecydował się Jon.

Tak też zrobił.

Zbliżył się do nas młody człowiek z magnetofonem.

- Jestem z „Herald Examinera”. Prowadzę rubrykę „Co kto komu”. Czy zaliczyłby pan film do udanych?

- Czy ma pan 1000 dolarów? - spytała Sara.
- Uspokój się, to zwykła pogawędka. Mogę zrobić wyjątek.
- No więc, czy zaliczyłby pan film do udanych?

- Jest ma pewno lepszy od przeciętnego filmu. Kiedy tegoroczne Oscary dawno pójdą w niepamięć, *Taniec Jima Beama* dalej będzie co jakiś czas wyświetlany w centrach sztuki. I o ile nie dojdzie do końca świata, od czasu do czasu będą go pokazywać w telewizji.

- Naprawdę pan tak sądzi?

- Naprawdę. W dodatku, po kilkakrotnym obejrzeniu filmu widzowie zaczną się doszukiwać w poszczególnych dialogach i scenach głębokich, nie zamierzonych przez nikogo aluzji. Nasze społeczeństwo umie tylko przeceniać albo niedoceniać.

- Czy takie teksty wygłaszają bywalcy barów?

- Niektórzy. Dopóki ktoś ich nie zadźga.

- Odnoszę wrażenie, że bardzo wysoko ocenia pan ten film. - Wcale nie uważam, żeby był aż taki dobry. Po prostu inne filmy są aż tak niedobre.

- Który z oglądanych w życiu filmów uważa pan za najwybitniejszy?

- *Eraserhead*.

- *Eraserhead*?

- Tak.

- A na drugim miejscu?

- *Kto się boi Virginii Woolf*?

Zjawił się znowu Carl Wilson.

- Chinaski, na dole stoi jakiś facet, który twierdzi, że jest pańskim znajomym. Niejaki John Galt.

- Niech pan go poprosi na górę.

- No to dziękuję panu, panie Chinaski - zwrócił się do mnie gość z „Herald Examinera”.

- Bardzo proszę.

Odkorkowałem drugą butelkę i napełniłem nasze kieliszki. Sara nad wyraz dobrze przyswajała alkohol. Gadatliwa robiła się tylko wtedy, kiedy zostawaliśmy sami. A i wtedy zwykle mówiła do rzeczy.

Wtem pojawił się John Galt. Wielki John Galt. Szedł w naszą stronę.

- Nigdy z Hankiem nie serwujemy sobie graby - wyjaśnił z uśmiechem. - Witaj, Saro - zwrócił się do Sary. - Czy trzymasz tego typa pod pantoflem?

- Zgadłeś, John.

Cholera, zadumałem się, iluż to człowiek zna facetów imieniem John. Wszędzie roi się od biblijnych imion. John, Mark, Peter, Paul.

Wielki John Galt wyglądał nie najgorzej. Jego oczy nabrały dobroci. Dobroć jest przywilejem najlepszych spośród nas. Znika egoizm. Ustępuje lęk. Kończy się rywalizacja.

- Dobrze wyglądasz, stary - pochwaliłem.

- Ty wyglądasz lepiej niż 25 lat temu - odpłacił komplementem.

- To tylko lepsza woda, John.

- Zawdzięcza wygląd zdrowej diecie i witaminom. Nie używa cukru ani soli, jada tylko białe mięso - wyjaśniła Sara.

- John, jeśli ta wiadomość się rozniesie, sprzedaż moich książek spadnie na łeb, na szyję.

- Twoje rzeczy zawsze się będą sprzedawać. Nawet dziecko dałoby radę je przeczytać.

Wielki John Galt. W swoim czasie - prawdziwa deska ratunku. Kiedy pracowałem na poczcie, zamiast jeść, spać czy zająć się czymkolwiek, chodziłem do Johna. Wielki John zawsze był u siebie. Utrzymywały go kobiety. Kobiety jak świat światem utrzymywały Wielkiego Johna. „Hank, kiedy pracuję, nie jestem szczęśliwy. Ja chcę być szczęśliwy” - mawiał.

Na stolyczku do kawy, między nami, stała zawsze micha spidu, zwykle po brzegi wypełniona pigułkami i kapsułkami.

- Często się.

Zanurzałem palce w misie i wyjadałem prochy jak cukierki.

- John, to kurestwo wyżre ci mózg.

- Każdy człowiek jest inny, Hank. To, co szkodzi jednemu, drugiemu wychodzi na zdrowie.

Przez długie cudowne wieczory pieprzyliśmy o niczym. Przychodziłem z własnym piwem, którym popijałem pigułki. John był najbardziej czytany człowiekiem, jakiego w życiu spotkałem. Wcale nie był przy tym pedantem. Potrafił się jednak zachowywać dziwnie, chyba za sprawą spidu.

Czasem o 3 czy 4 nad ranem miewał napady śmieciarskiej gorączki. Szedł na zaplecza domów i grzebał w kublach. Towarzyszyłem mu w jego eskapadach. „Muszę *to* mieć”. „Nie świruj, John, to jest tylko stary but, który komuś spadł z lewej nogi”. „Muszę go mieć”.

Jego dom tonął w śmieciach. Śmieci piętrzyły się na każdym kroku. Żeby usiąść na kanapie, musiałeś najpierw odsunąć stertę śmieci na bok. Ściany były wytapetowane sloganami i dziwnymi nagłówkami z gazet. W domu Johna wszystko było solidnie pieprzone. Jego wnętrze przypominało testament szaleńca. W piwnicy zalegały tysiące nadgniłych i nabrzmiąłych od wilgoci książek. John czytał każdą z nich, ale spływały po nim jak woda po gęsi. Potrafił przeżyć za trzy grosze, za to kiedy grał z tobą w szachy, walczył na śmierć i życie. John to było prawdziwe kuriozum. W tamtych czasach chyba nieustannie litowałem się nad sobą i on mi to uświadomił. Długie godziny, które z nim spędzałem, były dla mnie przede wszystkim *rozrywką*. Karmiłem się Johnem Galtem, kiedy nic innego nie było pod ręką. Był, podobnie jak ja, pisarzem. Z tą różnicą, że ja miałem odnieść w przyszłości sukces jako literat, a on nie. Od czasu do czasu pisał znakomite wiersze, potem popadał w krańcowe nieróbstwo. „Nie zależy mi na sławie, zależy mi na dobrym samopoczuciu” - tłumaczył. W życiu nie spotkałem nikogo, kto by

tak pięknie deklamował własne, a także cudze wiersze. Był zachwycającym człowiekiem. Kiedy później stałem się sławny, ilekroć wspomniałem o Johnie Galcie, słyszałem w odpowiedzi: „Nie wiem, co Chinaski widzi w tym starym impotencie”. Dla miłośników mojej osoby i twórczości John i jego twórczość byli niestrawni. Zastanawiałem się czasem, czy moja twórczość nie jest aby adresowana do idiotów? Nie żebym na to mógł cokolwiek poradzić. Ptak lata, wąż pełza, a ja wymieniam taśmy w maszynie.

Co by nie mówić, fajnie było znów zobaczyć Johna Galta. Towarzyszyła mu jakaś nowa kobieta.

- Lisa - przedstawił ją. - Lisa też pisze wiersze.

Lisa natychmiast dorwała się do słowa. Terkotała jak karabin maszynowy, a John stał obok w milczeniu. Może po prostu wyrwała się z domu, jednak to, co mówiła, podejrzenie zatraćcało starą jak świat gadką feministek. Nie byłoby w tym nic złego, niech sobie baby gadają, gdyby przy okazji nie pochłaniały tyle tlenu, tymczasem we wnętrzu panował taki upał, że nie można było sobie pozwolić na dodatkowy ubytek świeżego powietrza. Lisa gadała jak najęta, nie szczędząc nam najdrobniejszych szczegółów. Często miewali z Johnem wspólne wieczory poetyckie. Czy słyszałem kiedykolwiek o Babs Danish? Zaprzeczyłem. Otóż Babs Danish jest *czarna* i jest *kobietą*, i na wieczory poetyckie wkłada ogromne kolczyki, deklamuje swoje wiersze z wielkim żarem i kolczyki podskakują jej w uszach. Podczas występu Babs akompaniuje jej brat Tip. Koniecznie powinienem to zobaczyć.

- Hank nie chodzi na wieczory poetyckie - wyjaśniła Sara - ale ja słyszałam Babs Danish i bardzo mi się podobała.

- John, Babs i ja w najbliższą środę będziemy mieli wspólny wieczór w Beyond Baroque. Przyjdziecie posłuchać?

- Ja pewnie przyjdę - obiecała Sara. Sądzę, że dotrzymała obietnicy.

Przyjrzałem się uważniej Johnowi Galtowi. Wyglądał na dobrotliwego poczciwca, ale w jego oczach pierwszy raz w życiu dostrzegłem cierpienie. Wyglądał bardziej na szachistę, który na starcie poświęcił dwa pionki i nie uzyskał przewagi, niż na człowieka, który chce być szczęśliwy.

Wrócił facet z „Herald Examinera”.

- Panie Chinaski - powiedział - chciałem panu zadać jeszcze jedno pytanie.

Poznałem go z Johnem i Lisą.

- John Galt - przedstawiłem. - Wielki zapoznany poeta Ameryki. Ten człowiek pomagał mi, kiedy nikt nie chciał podać mi ręki. Chciałbym, żeby przeprowadził pan

wywiad z Johnem Galtem.

- Słucham, panie Galt.

- Poznaliśmy się z Hankiem jakieś 20 lat temu...

Ulotniliśmy się z Sarą.

- Coś mi się wydaje, że ta Lisa ciosa mu kołki na głowie - zauważyłem.

- Może mu to służy.

- Niewykluczone.

Na górze robił się coraz większy tłok. Wyglądało na to, że nikt jeszcze nie wyszedł. Na co liczyli? Że zawrą znajomości? Że dorwą swoją szansę? Czy to wszystko jest warte zachodu? Czy nie lepiej trzymać się z dala od showbiznesu? O nie, o nie. Kto ma ochotę być ogrodnikiem albo taksówkarzem? Poborcą podatkowym? Czyż nie jesteśmy wszyscy artystami? Czyż nasze umysły nie zasługują na lepszą strawę? Cierpieć a cierpieć to, przynajmniej na oko, nie to samo. Nasza druga butelka zaświeciła dnem.

Wrócił Jon Pinchot.

- Przyszedł Jack Bledsoe. Chce się z tobą widzieć.

- Gdzie jest?

- Tam, przy wejściu.

Faktycznie, Jack Bledsoe czekał oparty o drzwi wejściowe. Po twarzy błąkał mu się słynny delikatny uśmieszek.

Podeszliśmy do niego z Sarą. Wyciągnąłem rękę i uścisnęliśmy sobie z Jackiem prawicę.

Przypomniał mi się John Galt i jego słowa: „Z Hankiem nigdy nie serwujemy sobie graby”.

- Dobra robota, Jack, świetnie zagrałeś. Cieszę się, żeśmy cię mieli na pokładzie.

- Czy przepłynąłem wielką wodę?

- Moim zdaniem, tak.

- Staralem się nie sugerować za bardzo twoim sposobem mówienia i poruszania.

- To też ci się udało.

- Wpadłem powiedzieć ci po prostu cześć.

Zastrzelił mnie. Nie miałem pojęcia, co na to odpowiedzieć.

- Ten, tego, stary... kiedy tylko zechcesz, możemy dać w banię.

- Nie piję.

- Aa, prawda... No cóż, dziękuję ci, Jack, cieszę się, że wpadłeś. Może chociaż jednego

na drogę?

- Nie, będę leciał...

Odwrócił się i zszedł po schodach na dół.

Był sam. Żadnych goryli, żadnych motocyklistów. Miły dzieciak z miłym uśmiechem.

Do widzenia, Jacku Bledsoe.

Wydębilem jeszcze jedną butelkę od Carla Wilsona i dalej sterczeliśmy z Sarą pośród gości, ale nic się nie działo. Wszyscy po prostu stali. Może czekali, aż się upiję i zacznę svirować albo obrzucać wszystkich wyzwiskami, co mi się czasem na bankietach zdarzało. Podejrzewałem jednak coś innego. Podejrzewałem, że trwali w jakimś stuporze. Ich jedynym zajęciem było pławienie się we własnym istnieniu, istnieniu na wpół tylko świadomym. Czynność ta nie była specjalnie dokuczliwa. Pławili się w spokojnych wodach.

Dla mnie z kolei główną wytyczną życiową było unikanie ludzi jak ognia. Im mniej ich miałem w polu widzenia, tym lepiej się czułem. Spotkałem raz człowieka, który podzielał moją filozofię, niejakiego Sama z Kurwidołka. Sam mieszkał podwórko za mną we Wschodnim Hollywood. Leciał na ATD.

- Hank - zwierzył mi się kiedyś - w czasie odsiadki stale za coś podpadałem. Naczelnik ładował mnie do karceru, cóż, z tego, kiedy ja się tam dobrze czułem. Naczelnik przychodził, podnosił klapę i zaglądał do środka. Za którymś razem pyta się mnie: „MASZ JUŻ DOSYĆ? GOTOWY DO WYJŚCIA?” Wziąłem do ręki kawał mojej kupy i rzuciłem w górę. Kiedy przyszedł następnym razem, uchylił tylko pokrywę. „I CO, MASZ JUŻ DOSYĆ?” „ANI TROCHE” odwrzasnąłem mu. W końcu strażnicy musieli mnie wyciągać siłą. „BIERZTA GO ZA DUPEŃ - rozkazał naczelnik. - ZA DOBRZE MU SIĘ TAM POWODZI!”

Sam był wspaniałym facetem, w którymś momencie dostał się w szpony hazardu. Zalegał z czynszem, przesiadywał stale w Gardenie, sypiał po kiblach i natychmiast po przebudzeniu stawał do gry. W końcu wywalono go z mieszkania. Wytropiłem go w dzielnicy koreańskiej. Siedział w kącie jakiejś klitki.

- Hank, nic nie mogę wziąć do ust poza mlekiem, ale zaraz nim rzucam pawia. Lekarze mówią, że nic mi nie jest.

W dwa tygodnie później człowiek, który podzielał moją filozofię stosunków międzyludzkich, już nie żył.

- Słuchaj - powiedziałem do Sary - tutaj się nic nie dzieje. Jakiś śmiertelny marazm.

Chodźmy stąd.

- Możemy pić za darmo, ile chcemy.
- To nie jest warte tej ceny.
- Jest jeszcze wcześniej, może coś się wydarzy.
- Nic się nie wydarzy, o ile ja tego nie zrobię, a *ja* nie jestem w odpowiednim nastroju.
- Zostańmy jeszcze chwileczkę.

Wiedziałem, o co jej chodzi. Dla nas to było pożegnanie Hollywood. Z nas dwojga ją ten świat bardziej pociągał. Nie bardzo, ale jednak trochę pociągał. Zaczęła nawet brać lekcje aktorstwa.

Wszyscy w dalszym ciągu wyłącznie stali. Nie było ani pięknych kobiet, ani interesujących mężczyzn. Było nudniej niż nudno. Było najnudniej, jak tylko nudno może być. Nuda przyprawiała mnie o fizyczny ból.

- Padnę trupem, jeżeli stąd nie wyjdziemy - zagroziłem Sarze.
- No dobra - ustąpiła. - Chodźmy.

Stary poczciwy Frank czekał na dole w limuzynie.

- Wcześniej wychodzicie - zauważył.
- Ehe - odburknąłem.

Frank usadowił nas na tylnym siedzeniu. Odkryliśmy jeszcze jedną butelkę wina. Kiedy my wyciągaliśmy korek z butelki, nasz zaufany człowiek skierował wóz Autostradą Portową na południe.

- Te, Frank, łyknałbyś coś?
- Człowieku, jeszcze jak!

Nacisnął guzik i mała oddzielająca nas szybka zjechała w dół. Wsunąłem butelkę w okienko. Widok był tak komiczny i niecodzienny, że oboje z Sarą parsknęliśmy śmiechem.

Nareszcie wieczór nabrał rumieńców.

46

Potem już nie wydarzyło się zbyt wiele. Film wyświetlano w 3 czy 4 kinach w mieście. Ludzie zaczęli mnie zaczepiać na wyścigach.

- Pan napisał scenariusz do tego filmu?
- Tak.
- Myślałem, że pan gra na wyścigach.
- Gram. A teraz, jeżeli pan wybaczy...

Niektórzy umieli podejść w miły sposób. Reszta - to był prawdziwy postrach. Jak tylko mnie zobaczyli, z błyskiem w oku rzucali się w moją stronę. Nauczyłem się

rozpoznawać ten wzrok i ile razy dostrzegłem w porę, co się święci, obracałem się na pięcie i dawałem nura między trybuny. Jestem pewien, że umknąłem w ten sposób wielu osobom, które nie miały najmniejszego zamiaru mnie zaczepiać. W porę uprzytomniłem sobie, że wszystko kiedyś wróci do normy i z powrotem stanę się starszawym bywalcem wyścigów, który niczym się nie wyróżnia z gromady podobnych mu typów.

Taniec Jima Beama zebrał i dobre, i złe recenzje. „New York Times” piał z zachwytem, natomiast pani z „New Yorkera” wyraziła swoje rozczarowanie. Rick Talbot uznał film za jeden z dziesięciu najlepszych filmów roku.

Zdarzały się też dziwne chwile. Któregoś wieczoru byłem na górze, kiedy Sara nagle zawołała z dołu:

- Recenzują *Taniec Jima Beama*!

Szedł program Wexlera i Selby'ego w telewizji kablowej. Kiedy dotarłem do telewizora, pokazywali akurat ujęcie, w którym Jack Bledsoe z piątego piętra wyrzuca przez okno ciuchy Francine Bowers. Na tym urywał się fragment filmu.

Selby potrząsnął głową i zaczął dokładać filmowi z każdej strony:

- KOSZMAR! ZGROZA! Zasluguje na tytuł *najgorszego filmu roku*! Bohaterem jest jakiś łachudra, któremu gacie opadają do kostek. Brudny. Niechlujny. Obleśny... Ma tylko jedno pragnienie... przyładować barmanowi! Od czasu do czasu ściubi wiersze na skrawkach podartego papieru! Głównie jednak widzimy tego menela w barze, gdzie żłopie kolejne butelki wina albo zebrze o drinka! W jednej ze scen barowych dwie kobiety walczą na zabój o naszego bohatera. Cóż za nonsens! ŻADNA kobieta na świecie nie zawracałaby sobie głowy mężczyzną tego pokroju. W naszym programie stosujemy punktację od 1 do 10. Czy mógłbym, w drodze wyjątku, przyznać filmowi minus jeden?

Jak na zawołanie na ekranie pojawiła się jedynka z minusem.

Głos zabrał Wexler:

- Zgadzam się z twoją opinią, osobiście jednak przyznaję filmowi dwójkę. Rozbawiła mnie jedna scena, ta, w której on kąpie się w wannie z psem.

- Mnie się wydała idiotyczna - skwitował Selby.

Po miesiącu film dalej szedł w 3 czy 4 kinach. Wreszcie zaczęli go grać w kinie koło San Pedro i postanowiliśmy z Sarą się wybrać. W końcu nie widzieliśmy go nigdy na ekranie kinowym, jeśli nie liczyć wielkich jajowatych głów.

Podjechaliśmy do niewielkiego pasażu. Zaparkowaliśmy w miejscu, z którego widać było kino. Na daszku nad wejściem widniał napis: *Taniec Jima Beama*. To było coś.

Większość filmów w życiu obejrzałem w dzieciństwie. Koszmar gonił koszmar. Fred

Astaire i Ginger Rogers, Jeanette McDonald i Nelson Eddy. Bob Hope. Tyrone Power. The Three Stooges. Cary Grant. Filmy, od których przewracały się bebechy. Po seansie czułem się wyżęty jak ścierka. Przesiadywałem w kinach, cierpiąc fizycznego i moralnego kaca.

Siedzieliśmy na parkingu, wyczekując na koniec popołudniowego seansu.

- Może w środku nie ma nikogo - zaniepokoiłem się. - Może nikt stamtąd nie wyjdzie.
- Na pewno ktoś jest, Hank...

Czekaliśmy. Wreszcie film się skończył i zaczęli wychodzić.

- Widzę 3 osoby - powiedziała Sara.
- 5 - poprawiłem.
- 7.
- 8.
- Jedenaście...

Wychodzili dalej. Poczuję się lepiej. Przestałem liczyć.

W końcu wszyscy wyszli. Za chwilę miał się zacząć pierwszy seans wieczorny.

- Saro, czy myślisz, że inni robią to samo?
- Co takiego?
- Siedzą i patrzą, ile osób wchodzi i wychodzi z ich filmu?
- Na pewno byli już tacy przed nami.

Upłynęło jeszcze trochę czasu.

- Gdzie są ci wszyscy ludzie? - zaniepokoiłem się. - Może nikt nie przyjdzie?
- Przyjdą, przyjdą.

I rzeczywiście, jak na zawołanie zaczęły nadjeżdżać przestarzałe typy wozów, krążąc w poszukiwaniu wolnych miejsc do parkowania. Jeden facet wysiadł z butelką wina w papierowej torbie.

- Zjeżdżają się pijacy sprawdzić wiarygodność filmu - zażartowałem.
- Na pewno się nie oszukają - powiedziała moja droga żona.
- Nie mam sobie równych jako kronikarz wody.
- Tylko dlatego, że żaden z nich nie pociągnął tak długo jak ty. Czy mógłbyś wyjawiać sekret twojej długowieczności?

- Nigdy nie wstaję do południa.

Wyglądało na to, że gromadzi się niezły tłumek. Podeszliśmy do kina. Stanąłem przy kasie.

- Dwa - poprosiłem młodą kasjerkę. - Jeden emerycki.

Potem koleś wziął od nas bilety, przedarł i weszliśmy do środka. Głośniki na cały regulator ryczały o nadchodzących atrakcjach filmowych. Miejsca znów mieliśmy z boku, ale przynajmniej w głębi sali. Zaczęło się oczekiwanie. W kinie siedziało chyba ze 100 osób.

Skończyła się reklama filmów i na ekran wpłynął *Taniec Jima Beama*. Przeleciała czołówka. Zaczął się film. Widziałem go ze 3 czy 4 razy na wideo i znałem prawie na pamięć. Ha, oto oglądałem historię własnego życia. Komu innemu chciałoby się wciskać tę opowieść w usta aktorom? Muszę zastrzec, że nie chodziło mi wyłącznie o napawanie się własnym pępkiem. Próbowałam pokazać, jak dziwne i rozpaczliwe bywa życie niektórych pijaków, a żadnego pijaka nie znałem tak dobrze jak siebie.

Niejeden wielki alkoholik robił przede mną to samo. Eugene O'Neil, Faulkner, Hemingway, Jack London. Wódka oliwiła klawisze maszyny, dodawała im śmiałości i polotu.

Na ekranie akcja posuwała się do przodu.

- Jak myślisz, czy ktoś wie, że tutaj jesteś? - spytała Sara.

- Myślę, że wyglądam jak pierwszy lepszy widz.

- Martwisz się tym?

- Owszem. Nie lubię wyglądać jak pierwszy lepszy widz.

Siedzący przed nami wysoki, szczupły mężczyzna odwrócił głowę.

- Pan wybaczy, ale chciałbym obejrzeć film.

- Przepraszam - pokajałem się.

Akcja toczyła się dalej. Nieoczekiwanie z ekranu padło jakieś świństwo.

- Pfuj - powiedziała dziewczyna przed nami, krzywiąc się z niesmakiem.

- Nie denerwuj się, Darlene - uspokoił ją wysoki towarzysz.

Zaledwie Darlene przełknęła oburzenie, kiedy zaczęła się prosta scenka, w której jedna z bywalczyń baru chełpi się tym., jakoby strzelała najlepszą w mieście minetę.

- Łykam klajster jak żadna w tym mieście - mówi.

- To przechodzi ludzkie pojęcie... - oświadczyła Darlene, kryjąc twarz w dłoniach.

- Nie denerwuj się, złotko - uspokajał ją mężczyzna u jej boku.

Do końca filmu Darlene co rusz zakrywała twarz, ale żadne z dwojga nie opuściło widowni.

Wreszcie film się skończył i publiczność powoli zaczęła wypływać z rzędów. Czekaliśmy, aż wszyscy wyjdą. Cóż, widywało się gorsze filmy, zwłaszcza w latach trzydziestych.

Wstaliśmy z Sarą i ruszyliśmy do wyjścia. Doszliśmy do samochodu i z foteli patrzyliśmy, jak się rozjeżdżają. Opuściłem okna i daliśmy sobie po dymku.

Przed nami wolno przejeżdżał stary samochód, w środku siedział tylko kierowca. Zauważył nas i zaczął machać ręką. Odmachnąłem mu i pojechał sobie.

- Poznał cię - ucieszyła się Sara.

- Ale heca.

- No nie.

Pojechaliśmy zwyczajnie, jak po każdym filmie, do domu.

Na miejscu odkorkowałem butelkę porządnego czerwonego wina. Krew bogów.

W telewizji podawano nie najlepsze wiadomości.

Siedzieliśmy popijając i oglądając telewizję, dopóki na ekranie nie pojawił się Johnny Carson. Ubrany jak z igły, co chwila błyskawicznym ruchem podmacywał węzeł krawata. Podświadomy niepokój o własną aparycję. Johnny wpadł w jeden ze swoich monologów. Ed sekundował mu spoza kadru gromkim, nieszczerym śmiechem. Niezła chałtura.

- Co masz zamiar robić? - spytała Sara.

- Z czym?

- No wiesz, film już naprawdę się skończył.

- Wiem.

- Co będziesz robił?

- Zawsze jeszcze są konie.

- Ale oprócz koni?

- No cóż, napiszę powieść o pisaniu scenariusza i kręceniu filmu.

- Dobry pomysł. Myślę, że potrafiłbyś to opisać.

- Chybabym potrafił.

- Jak chcesz zatytułować powieść?

- *Hollywood.*

- *Hollywood!*

- No...

I to by było na tyle.